

CHORAĞIEW NA DACHU

BIBLIOTEKA
A. G. SYRKINA
= w Wilnie =
2056

JERZY OSTROWSKI

1897

CHORAŁGIEW NA DACHU

POWIEŚĆ



NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE



286389

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0172879

SKŁADY GŁÓWNE:

»THE POLISH BOOK IMPORTING CO. INC.« NEW YORK
»KSIĘGARNIA POLSKA NA ŚLĄSKU, SP. AKC.« KATOWICE

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI
1925

W/194/05p

BIBLIOTEKA
A. G. SYRKINA
= w Wilnie =

Niski, koślawo nawisły strop sufitu przyniatał małą klitkę i walił się nieznośnym brzemieniem na obwisłe ramiona Karczewskiego.

W mętnej żółci światła sączącej się z rozmazanej plamy okna rysował się niedbały kontur poniechanych rąk.

Droga, na końcu której dłonie te stanęły, z tak tragicznie bezsilną maską — była znać niezmiernie ciągliwa i dojmująca. Wiele załamania rysowało się w linii jego ramion opadłych boleśnie.

Musiał przeżyć śmierć swojej mydlanej bańki, w której każdy młody wyrusza na zdobywcze wyprawy. Musiał zrozumieć, że nie odbija całego świata w swej kruchej kuli, że jej tęczywe kolory nie są jego barwą, ani jej łagodna kulistość — jego kształtem.

W zderzeniu z szaremi kamienicami tego obcego miasta rozbił się jego wielobarwny statek, a on sam znalazł się naraz, mętny i brudny w kolorze, niepozorny i śmieszny — na bruku bylejakiej ulicy.

Pozbawiony swej łuski motylej — wyczuwał wprost żywym ciałem każde dotknięcie lepkich palców, zostawiających na nim zagmatwane linje odcisków.

Skurczył się więc w sobie, nastroszył i osowiał, niechętnie wyglądając na świat ze swej dziupli.

Bał się, że sam zacznie patrzeć na siebie oczami tego świata i że dopatrzy się wkońcu „apana“ Zbigniewa Karczewskiego, młodzik w brązowo-żółtem palcie, witanego w redakcjach nieodmiennem:

— Owszem... ale dla nas...

Zaczynał już prawie wierzyć w jedyną i niewzruszoną rzeczywistość, drwiącą zimno każdym szyldem krzykliwego sklepu, latarnią stojącą niezmiennie w tem samym miejscu (choćby się zamknęło oczy, przechodząc koło niej), znanym do obrzydliwości zaułkiem ulicy, wiecznie spotykaną, a nienawistną gębą w tramwaju.

Wepchnięty przemocą w ciasne uliczki miasta, którego planu nie mógł zrozumieć, szedł machinalnie, skręcając w prawo i lewo według wskazówek przechodniów, latarni i napisów.

A szyldy, latarnie i ulice miały te same twarze i uśmiechy, co redaktorowie odwiedzanych pism: łączył ich nieprzenikniony spisek,

widoczny w każdym ruchu ręki, poza którym stała wiedza jakichś podstawowych prawd, nieznanym Karczewskiemu.

I to nieznanne gmatwało jego ruchy i słowa, mimo skrzepów protestu, charczących mu w gardle. Mimo, iż wiódł nieustanny spór z natłokiem rzeczy, które stanęły przed nim i obojętnym półgębkiem uznały się za jedynie istniejące.

— Tak. To my. A właściwie — tylko my.

Nienawidził też siebie za obłudny skurcz szczęk, który mu przywarł już na stałe do twarzy, i za skwapliwy dygot palców, zbierających rozsypane niedbale rękopisy. Głęboko, śmiertelnie nienawidził swego tchórzostwa, broniącego mu zerwać pajęczynę obojętnych uśmiechów i bryznąć przekleństwem w nadęte gęby.

Gryzł w sobie trupie jady bezsilnej wściekłości, żuł jakieś, zieloną śliną ociekłe, słowa, i... wychodził z niezdarnym, bladym uśmiechem, znosząc do swego krzywego pokoiku całe kłęby jadowitych myśli, które wsiąkały w opuchłe tapety i zatrwały atmosferę. A brudne okno, wychodzące na prostopadły dach sąsiedni, nie pozwalało wyparować tej żółtej, dusznej chmurze, włóczącej się po pokoju z kłębami cuchnącego dymu tytoniowego.

Ten nieznośny odór, mający w sobie coś

z poczekalni szpitalnej, zaplutej korytarzy i podłej restauracji — przywarł zda się i nappełnił na zawsze nozdra Karczewskiego, i czuł go wszędzie i zawsze. Przepojone nim było jego ubranie, jego twarz, jego uśmiech i jego myśli.

Dusił się z obrzydzenia.

A na dnie ciężkiej troski zadeszczonych dni émiła jak zęb obolały zwykła, przeciętna, a tem bardziej nienawistna myśl:

— Niema pieniędzy.

Ze wstydem odwracał od niej głowę, ale zachodziła ze wszystkich stron, skamlać natrętnym, żebraczym mamrotem:

— Niema pieniędzy... Niema. Niema...

Naglony tem nieustępliwem dukwieniem, sprawdził po raz setny zawartość wytartego portfela; nie, nic nie przybyło od wczoraj, ani się zaplatało w jakiej skrytce. Wypadła tylko z tajnego schówka blada, amatorska fotografia.

Uważnie, pilnie, zajadle niemal wpatrzył się w nią Karczewski.

— Ładna jesteś — drwił dobrodusznie — gładka. Gładka, jak tamto życie, w Poddębcach, A ja już dałem siedmiomilowy krok. Taak...

Uśmiechnął się prawie pogodnie i schował starannie fotografię:

— Jako dokument — mruknął.

Dźwignął się teraz zwolna z żelaznego łóżka i z zimnym uśmiechem podszedł do spękane go chorobliwie lusterka, w którym można było widzieć naraz półtojej twarzy.

Wygładzał starannie przedziałek włosów i wysilał całą swą mizerną toaletę, nadając sobie pozory elegancji.

— Naturam natura vincere, radzi stary Bacon — mruczał pod niewiadomym adresem — aleć chyba i sztukę sztuką się zwycięża. A bo-daj, że i sztukowaniem — zaśmiał się nieszczerze z marnego konceptu.

Zawahał się chwilę, otwierając pudełko od gilz grające rolę toalety i skarbeca. Wyjął powoli złoty, masywny sygnet z czarną tarczą i oglądał uważnie.

Tak... nie zastawił go przecie, mimo niecierpliwych skurczów głodnego żołądka. A teraz...

Z twarzą przekreśloną wąską stałą uśmiechu kładł go na mały palec.

— Ostatnia partja jeszcze — mruczał, mocując się z wypaczonemi drzwiami — jeśli nie dam mata...

Obmyślał więc wszystkie posunięcia drobnych, nieznaczących pionków, ukośnie atakujących laufrów i brutalnych wież.

Judził też swoją zaciętość wypominaniem

wszystkich upokorzeń, które przylepiły się do jego pamięci. W gorzkiej radości samobiczowania przesuwiał brudne, drobno kapiące jak deszcz miejski, krople swego różańca.

Zacinał się też coraz bardziej i zahartowywał na odprężającą się po ciosie klingę rapieru. A ostrze jej było coraz bardziej zjadliwe, żgające, jak żądło, i uważne na każdy ruch przeciwnika.

Szczęki jego zwarte zajadle, pogardliwie zapominały uśmiechu, gotowe jedynie zadźwięczyć słowem chrapliwem i męskim.

Przed drzwiami „Sprawy“ obmiękły nieco jego wykrochmalone krezy i żaboty, ale wraz nastroszył je dumnym rzutem głowy wtył i ledwie widocznym skrzywieniem warg. Wszedł bez pukania.

W administracji dreptał zwykły tłok, i nikt nie wyczuwał ważności chwili. To było dziwne, ale Karczewski już przywykł do dziwnych praw rządzących światem.

Napadł na pocziwego grubasa zasiadłego obficie w trzcinowym fotelu:

— Jest pan Świątosławski?

— Pan redaktor? — porwał się tamten z przestrawieniem w niebieskich oczach — zdaje się... Zaraz zobaczę...

Krzątał się chwilę nieporadnemi, małemi

kroczkami, nim trafił do drzwi redakcji. Uchylił je i potulnie wcisnąwszy głowę w wąską szparę, pytał głośnym szeptem czy „pan redaktor może przyjąć jakiegoś pana, który...“

— Za chwilę... albo dobrze — niech pan poprosi — odpowiedział podwatowany basem głos.

Karczewski wszedł śmiało, ale uczył się naraż w gęstej plątanie wielu spojrzeń: redakcja była szczelnie wypełniona gromadą mężczyzn, siedzących przy stole i na stole. Zamknięta i sprężysta atmosfera, którą byli otoczeni, utrudniała Karczewskiemu każdy krok, i nim dotarł do małej główki zaopatrzonej w olbrzymie, rogowe okulary, a zakończonej u dołu ciemnym pendzelkiem brody — czuł się już zmęczonym.

Odwrócił się teraz plecami do gromady i świdrował śmieszne okulary:

— Mam do was, redaktorze, mały interes — cedził wolno i niedbale, powstrzymując całym wysiłkiem szczęk kłęby słów, uciskających mu zęby. — Popełnia się tam od czasu do czasu jakieś rymoróbstwo... Bo zasadniczo — proza... Mam tu gdzieś rękopis...

Szukał po wszystkich kieszeniach rękopisu, który czuł tuż pod ręką.

Redaktor celebrował z całą powagą, unikając kpiących spojrzeń bandy:

— Przepraszam... nie dosłyszałem nazwiska.

— Karczewski. Zbigniew Karczewski.

Redaktor wyraźnie zaznaczał lekkim ukośsem brwi, że nie przypomina sobie tego nazwiska z niwy literackiej.

— Czy pan już coś drukował?

— O! — kłamał pobłażliwym uśmiechem. — Ale wątpię, czy znacie... Korona nie łaskawa na kresy... Poezje, nowele, feljetony w „Dzienniku Kijowskim“ i innych... Zbych Karcz — podpisuję...

Rozdmuchując do tych rozmiarów swój jedyny wierszyk z „Dziennika Kijowskiego“, Karczewski z wewnętrznym chichotem odkrywał pierwsze prawo „tego świata“. Nie chodzi o to, kto mówi i o czym, bo każde zetknięcie się dwóch ludzi, to pojedynek — kto kogo poklepie po ramieniu. Ach, więc to tylko to! tylko... To kapitalne!

— Karcz... Karcz... Ależ naturalnie! — „przypomniał“ sobie redaktor, zezując na sygnet. — To wy nazwaliście Kijów — Pałkowem, prawda? Uważasz, Wilk?

— Co? — z nad papierów uniosła się wolno zmięta twarz starej baby, osadzona na rośłych barach niedźwiedzia.

Słuchali zresztą wszyscy mimo wyraźnej mimiki: nil admirari.

— Temat dla ciebie do humoreski: kolega Karczewski nazwał Kijów Pałkowem. Możliwy to zużytkować. Dobre, co?

Nastąpiła niewyraźna cisza. Ani „Wilk“, ani reszta bandy nie dała oddźwięku. Stropiony tem Świątosławski poczuł swą winę w zbytnej przystępliwości i próbował znowu wyniosłej:

— Aha, oktawy... Hm! to trudna forma. „Na szczyty — Meteoryty — Przebity“... Hm... trochę niby...

W tej chwili od sąsiedniego stolika wstał zamaszysty człowieczek i patrzył nieco nieprzytomnie na Karczewskiego, trzymając jeszcze w ręku kilka zapisanych ćwiartek. Zdawał się wsłuchiwać w bardzo odległe dźwięki i naraz zapytał:

— Karczewski? Pan, zdaje się, mówił, że pan się nazywa Karczewski?

— Zdaje się — bąknął drwiąco Karczewski.

— Sidorkiewicz — uściśnął mu wściekle prawicę i trzepał dalej. — Czy czasem nie krewny pana Michała z Poddębiec?

— Syn.

— Ho, ho, ho! toż my prawie sąsiedzi, kolego! Pamiętacie — Ludwiszcze?

— Aa! — Karczewski przypominał sobie

grubego jak antańek gimnazystę, który mu imponował posiadaniem prawdziwego zegarka. Z pewnem zdumieniem patrzył, jak można było na temat tych samych rysów wymyśleć twarz starego satyra.

— Mało sąsiedzi — huczał tamten — stryjce herbowe! Pokaż pan sygnet... Poraj, naturalnie!

Banda rzucała ciekawe spojrzenia, maskowane niedbałym lekceważeniem.

Rosły humorysta mruknął, nie podnosząc oczu:

— Jest taki herb, co to „dwa psy na tarczy, jeden — powiedzmy — wyje, a drugi warczy“.

Tym razem zaśmiano się hucznie: „Wilk“ miał widać uznany monopol dowcipu.

Sidorkiewicz odwrócił się ku niemu gwałtownie:

— Upij się, Wilkanowski, bo ty tylko po pijanemu jesteś dowcipny.

— Mylisz się, siostrzeńcze hipopotama — ja tylko po pijanemu jestem poważny. Wtedy nawet ciebie biorę poważnie.

Banda znowu zaśmiała się.

Świętosławski patrzył po obecnych, gładząc strzępek swojej bródki, wreszcie uśmiechnął się przyjaźnie do Karczewskiego:

— Te Poddębce — to majątek wasz?

— A jest tam kawałek... — niedbale rzucił Karczewski, rozpierając się wygodniej na fotelu.

— Kawał, kawał nie kawałek! — huczał Sidorkiewicz.

— Obszarnik z was, co? — przymilnie zażartował Świętosławski i klepnął go delikatnie po kolanie.

Karczewski uśmiechał się niewyraźnie.

— Ależ — poderwał się naraz redaktor — dlaczegóż ja panów nie zapoznaję? Proszę bardzo: pan Wilkanowski — pan Karczewski, pan Messer — pan Karczewski, pan Tarkiewicz...

Podchodzili kolejno do niego i poważnie ściskali mu rękę, mrucząc niewyraźnie swoje nazwiska. Chwilę stała w powietrzu niezręczna uroczystość, milcząc bezradnie.

— Taak... więc tego — bąkał redaktor.

Karczewski zasiadł głęboko w krześle, ani myśląc fatygować się ratowaniem sytuacji. Wiedział już, że wiersze jego będą przyjęte, i obserwował sobie obleśny uśmieszek zapłątany w koziej bródce redaktora.

Po chwili dźwignął się leniwie i wyciągnął rękę:

— Wpadnę tu kiedy, to mi coś tam... od wiersza — dopingował sytuację — kiedy to wpakujecie?

— W... niedzielę. Tak, w niedzielę. Zawsze na niedzielę dajemy coś z liryki. Publiczność w niedzielę najłatwiej takie rzeczy... tego...

— Przełyka — dokończył Karczewski z uśmiechem, za który miał ochotę wyróżnić w gębie redaktora i siebie.

— Właśnie. Niechże kolega zachodzi...

— Owszem, o ile mi czas... — żegnał się niedbale z bandą.

Schodził po brudnych schodach z dziwnie plugawym uczuciem. Coś, czego szukał na niebie, znalazł nagle pod swymi stopami... w błocie...

— W niedzielę publiczność najłatwiej przekłnie — powtórzył. Psiakrew! Nagła, niespodziewana...

Dawał upust swej wściekłości w ordynarnych, cuchnących szynkiem przekleństwach. Kpił z siebie na potęgę, śmiejąc się całą gębą, wyrzucając z siebie kłęby zatrutego, niechlujnego śmiechu.

— „Poraj“ mi pomógł, a co? ha! ha! ha! Si-dorkiewicz mnie w literaturę wprowadza...

W pewnej chwili coś drgnęło w nim tak boleśnie, tak przejmująco do rdzenia kości i nerwów, że scichł odrazu i szedł szybkim krokiem, kolebiąc się na nogach, jak ogłuszony potężnym ciosem w głowę.

Szedł szybko, nie patrząc na przechodniów,

nie podnosząc oczu od płyt trotuaru, które li-czył gorączkowo, pośpiesznie. Nie śmiał spoj-rzeć przed siebie, gdzie oczekiwała go jakaś spokojna przystań, coś, co go miało ukoić i ochronić. Bał się zbyt dużo nadziei przywią-zywać do tej nieznanej pociechy, aby nie pry-sła mu w oczach i nie rozsypała się na zwy-kły, denerwujący ruch uliczny.

Doszedł tak do jakichś starych zniszczo-nych ławek, zaludniających suchotniczy skwer. Kilka niedołężnych, starczych postaci używało z nieśmiałym uśmiechem łaskawej opieki słoń-ca. I to było już dla nich emeryturą.

Karczewski zatrzymał się na skwerku, zrozu-miawszy nagle bezcelowość i śmieszność swej ucieczki: za nim, wzdłuż całej drogi, w perspek-tywie długich, mierzonych jego nogami, chod-ników — ciągnęła się zdradziecka, cienka, lecz mocna jak żywe ścięgno lina, której harpun tkwił w nim.

Zrozumiał, iż ucieczka jego jest ucieczką szaleńca przed samym sobą. Usiadł na pustej ławce niedaleko jakiegoś kaszłającego staruszka.

Kącikiem mózgu stwierdził ironicznie, iż do-brze trafił, iż w tej przystani niedołęstwa wśród emerytów-ludzi i emerytów-drzew jest jego właściwe miejsce.

Siedział bez ruchu, ciśnięty na zgnitym pień Chorągiew na dachu.



ławy, jak zużyty szmat odzieży. Bezmyślnemi oczami patrzył na środek skweru, gdzie węzłowate, grzybiaste postacie krzątały się około kilku marnych drzewinek, postukując o ich pnie zwartą w obuchu siekiery żądzą gwałtownego ciosu.

Siedział milczący, nasłuchując i wpatrując się w głąb siebie, gdzie w bólu miarowych szarpnięć krwi rodziło się coś nienawistnego, jak dziecko zgwałconej kobiety.

Kształty tej zjawy zarysowywały się przed jego oczami zwróconemi boleśnie wgłąb, aż do ślepoty — coraz brutalniejszym konturem, barwą i wypukłością.

Aż się zachłysnął odrazą i nienawiścią. Powodzenie ranne, które już dawno nazwał upokorzeniem, piekło go w policzki, jak świszczący raz szpicruty.

Widział przed sobą dwie drogi, a obie tak ciężkie, iż wybór między niemi stawał się prawie wyborem między rodzajami śmierci.

Albo przekreślić dotychczasowego siebie i zająć się „pracą“ (jaką?), albo pójść po otwartej już (przez Sidorkiewicza!) drodze i...

Obrzydzenie na nowo chwytało go za gardło.

I naraz cała siła nienawiści zastygłej w ciężkim kawale dynamitu wybuchła przeciw niemu właśnie: poco grał tę kiepską komedję? Więc

niechby raz jeszcze zbierał niezdarnie swoje rękopisy ze stołu redaktorskiego! I poco tego Sidorkiewicza wszyscy djabli...

I cóż on? Czem wagę swej wartości położył? Czy nie winien jako drzewo nie rodzące owocu być wycięty i w ogień rzucony?

Odpowiedział mu głuchy, śmiertelny cios siekiery.

Karczewski drgnął z bólu i z przestachu zwrócił oczy na skwer.

W grupie drobnych, suchotniczych drzewek pracowali ludzie z siekierami w rękach, wycinali słabsze z pomiędzy nich, aby oczyścić miejsce dla pozostałych.

Wszystkie mięśnie drgnęły mu w podbrucie, i zatrzęsł się z wewnętrznego zimna. Z bolesnem oczekiwaniem w rozszerzonych oczach śledził los małego drzewka na skwerze, od którego, czuł to, zależała jego przyszłość.

— Może się ulitują — szeptał, podnosząc się na ławce i wypatrując oczy — przecież drzewko jeszcze młode, słabizna toto, ale jeszcze może rodzić...

Zawzięte ciosy siekiery odpowiadały mu bezlitosnym stękiem.

— Czemu? czemu? — zaszeptał prawie głośno.

— Słabe musi ginąć. Ciasno na świecie — szepnął z drugiej ławki kaszlący staruszek.

Z wysiłkiem odwrócił Karczewski oczy od egzekucji na skwerze, i wyjąwszy z kieszeni smętne resztki wczorajszego śniadania, machinalnie, nie rozumiejąc prawie, zaczął odczytywać skrawek gazety, w które były zawinięte.

Powtarzał szeptem słowa jakiejś depechy, sylabizował ją z trudem, jakby uczył się na pamięć. (Stuk siekier słyhać było coraz bezczelniej). Odwrócił świstek na drugą stronę i sylabizował dalej.

...Zbigniew Karczewski. ...Zbigniew Karczewski... „Iskry buntu“ .. nowela... ...Zbigniew Karczewski.

Nagle zrozumiał i zachłysnął się własnymi słowami, radością i dumą aż do ściśnięcia gardła i połknięcia wzbierających gdzieś w piersiach łez. Zakaszczał się gwałtownie, w paroksyzmie nagłym, wstrząsającym całe wnętrze, z oczami pełnymi płaczu, a radosnemi do dna.

— Gruźlica, co? — zaszeptał współczująco a radośnie sąsiad z drugiej ławki.

Karczewski ciężko obrócił się ku niemu i obejrzał go spokojnie.

— Nie, drogi panie, nie! Nie gruźlica. Zdrów jestem jak byk, drogi panie! Jak byk — powtórzył z satysfakcją.

Prowokacyjnie gryzł kielbasę i bułkę, chrupiąc zdrowemi jak u wilka zębami.

Okrawek gazety schował, jak talizman, na piersiach i cicho radował się swą niecierpliwością. Piekła go ciekawość, aby obejrzeć swe słowa, myśli i zdania, uczzone przez uroczystą mowę liter, które były dlań, jak dla dawnych Normanów świętymi runami, symbolami przemądrzezi całego wszechświata. Czuł potęgę tej wielotysięcznej mowy, która ogłasza niezmordowaniem powtarzaniem odbijanych czcionek całemu światu myśli samotnika, wykute w metalu drukarskim.

Aby przeciągnąć i przedłużyć swą radość, która spłynęła na niego nagle, jak Duch Boży na apostoła, nie nazywał jej żadnem mianem, nie przyglądał się jej zbliska, nie rozpatrywał — zostawiając to sobie — na później. Dość mu było, że czuł nienazwane, ciepłe uczucie radości, wypełniające go od stóp do czubka głowy, jak dobroczynne ciepło słońca.

Przeciągnął się leniwie na ławce, spojrzał na bohaterskie, zawsze młode słońce, a potem obrzucił niechętnem spojrzeniem niedobitki życia tkwiące na zapadłych ławkach.

Sąsiad, kaszlący co chwila, patrzył na niego z zazdrośną nienawiścią, wydzielającą złośliwe zarazki.

Karczewski wstał i spojrzał w twarz jasności dnia, mrużąc zlekka ślepią, jak młody żbik. Oстрыm krokiem odchodził ze skweru w gwar-ny ruch stolicy.

Zatrzymał się chwilę przy drwalach, rąbiących drzewka:

— Za ciasno im, co? — rzucił wesoło.

— A no! — z ciemnej twarzy błysnęły porozumiewawczo zęby, równie drapieżne jak jego — cherlaki trza wycinać.

— Trza! — przytwierdził Karczewski i po tajemnym błysku oczu rozpoznał brata z tej samej, zwycięskiej rasy.

Gwiżdżąc, szedł wśród rozpętanego gwaru ścierających się na arenie wielkiego miasta sił.

Na jakimś zakręcie rozwydrzonej ulicy, wpadł Karczewski na opalonego młodziana, trykającego porywczo a niezdarnie w gęstwinę ciżby.

Nasrożył się ów:

— Cóż do stu... — ale w tej samej chwili rozjaśnił się i huknął:

— Zbych!

— Aa... Maniek!

Młodzian ścisnął mu już prawicę i z szlachecka całował w oba policzki. Kiedy jednak spojrzał w zapadłe nieco, gorejące oczy Zbi-

gniewa, zmieszał się mocno i ratował sytuację niepewnym uśmiechem:

— Ja właśnie do ciebie... stróż powiedział, że cię nie ma, więc tego... szukałem i...

— Do mnie? — zdziwił się Karczewski, badając podejrzliwie błakające się oczy stryjecz-nego brata.

Nie widzieli się od lat kilku i teraz zgoda nie umieli nawiązać zwioteczających nici stosunku, nie wiedzieli czego się imać i nieporadnie badali się wzajem, błąkając bez związku:

— No, i cóż ty?...

— A, no widzisz... tego... spotkanie, co?

— Kawał czasu nie widzieliśmy się...

— A... kawał...

Zbigniew wyczuwał w tym kresowym młodzianie — echa Poddębiec i obawiał się zdradzieckiego haczyka, któryby go przyciągnął na nowo do tego głuchego kąta, nad którym życie przechodziło szerokim krokiem.

W spojrzeniu brata Zbigniew ułowił jednak, z wewnętrznym uśmiechem, rodzaj cielecego zachwyty i uwielbienia dla siebie, syna marnotrawnego. Ten potomek partyzantów i hulajdu-szów, atawistycznym szacunkiem otaczał brata, który odważył się na bunt i uciekł w świat. Taki z dawien-dawna był obyczaj na Dzikich Polach. Tem bardziej zdziwił się Zbigniew, gdy

brat, ocknąwszy się z zachwyty, zaczął wykladać mu jakieś racje doświadczone, stare a prze-mądrzałe, odwozić od próżnej szarpaniny w „tej literaturze“ i przypominać mu, iż jest nietylko „natus“, ale i „possessionatus“, a wreszcie całkiem otwarcie do powrotu nakłaniać.

— Czekaają mnie tam! — kpił Zbigniew.

— Żebyś wiedział! — zaperzył się tamten młodzieńczo. — Ciocia Femcia prosiła mnie i... i stryjek.

— Proszę? i papa łaskaw na mnie, „bęc-wała“? A skądże ty w konfidencji takiej z panem na Poddębcach cum przyległościibus?

— Jakże? praktykuję przecie u stryja — zawstydził się z niewiadomego powodu Marjan.

— Aa, takie buty! — gwizdnął Zbigniew przeciągle. — Sprytny papuś. Nie udało mu się ze mnie zrobić karbowego honoris causa, to ciebie wyszperał. Ho, ho! I praktykujesz?

Zmarszczył się agronom i zamilkł, a Zbigniew drwinkował dalej bez pardonu:

— A my cóż? Paramy się „tą literaturą“, od wierszyka nam płacą i jakoś żyjemy, chociaż hańbimy tarczę herbową. Do rozumnej gospodarki jakoś się nie palimy. Gdzieżby? „Kuda nam durakam czaj pit“? — jak powiadają nasi mongolscy bracia Słowianie.

Ożywił się znowu młodszy Karczewski:

— Masz jakie dochody z pisania? — zdziwił się szczerze.

— Żadna praca nie hańbi, panie bracie. Zarabiam.

Termometr szacunku podskoczył o kilka stopni w poczciwym uśmiechu Marjana:

— No, patrzcie! Morus-chłop z ciebie, a my myśleliśmy, że tu zdychasz... Ciocia Femcia trzydzieści rubli ci przysłała przeze mnie, a stryjo obiecał...

— Niech stryjo schowa swoje obietanki — mruknął Zbigniew — pamiętam jeszcze jego: „Wont! żeby tu ducha twojego nie było!“ Ale ciocia Femcia dobra kobieta...

— Przydadzą ci się blaty — próbował poufalić się wieśniak.

Zbigniew spojrział przez ramię:

— Phy! flota zawsze się przyda, ale nie myśl, żebym nie miał. Teraz właśnie idę odebrać trochę monety do redakcji „Źródła“: wydrukowali tam moją nowelkę „Iskry buntu“.

— Aha! — wieśniak nie wszystko pojmo-wał i miał na ustach jakieś niedomówione pytanie, ale lękliwy nieco szacunek zawierał mu usta, że tylko żuł coś, a uśmiechał się pocziwie.

Przebłagała wreszcie Zbigniewa ta niebieska pocziwość oczu i opalonej gęby, z radosną ulgą

tedy jał wywnętrzać się bratu ze swego powodzenia, wzięwszy go łaskawie pod ramię. Czuł gwałtowną potrzebę wytłumaczenia komuś szeregu dzisiejszych zdarzeń, które mu zaszyły drogę w tej stolicy. Niedarmo czekał na nie niezliczoną ilość szarych dni, godzin, minut, sekund. Czuł potrzebę wytłumaczenia wszystkiego komuś i — sobie. Pragnął, aby ktoś drugi uwierzył w to błogosławieństwo faktów, które pasowało go na kapłana i artystę słowa. Przy czyjejs wierze chciał ogrzać się sam, chciał odpędzić ostatnie dreszcze wątpliwości.

Patrzył teraz na stryjecznego brata, rozrzucając się niemal. Przemknęła mu ukradkiem myśl niespokojna i jak szczur przestraszony krzątała się w głowie, coby było, gdyby ten młokos spotkał go przed odnalezieniem zbawczego strzępka gazety z wydrukowaną nowelą. Pocieszył się jednak karkołomnym, chytrym koziołkiem myśli, stawiającej triumfalny pytajnik:

— A coby było, gdyby znalazł gazetę, przed pójściem do tej nory — do redakcji „Sprawy“?

I z naiwną uciechą konstatował, że nie łamałby wtedy rozpacznie palców na suchotniczym skwerku, że nie piłby żółci zwątpienia i octu myśli, że tylko protekcja otworzy mu drogę w literaturze.

— Sidorkiewicz! Ha, ha! — zaśmiał się triumfalnie. — Mecenas, psiakrew!

Wykładał tedy długo i szeroko zasluchanemu z szacunkiem kuzynowi, jako prasa codzienna jest tylko podłem geszefciarstwem, obliczonym na gusta motłochu, a ta oto właśnie redakcja „Źródła“ składa się z prawdziwych literatów, szczerých artystów.

Zostawiwszy oszołomionego kuzyna przed redakcją „Źródła“, zniknął w ciemnej, niechlujnej bramie, a za kwadrans wyłonił się z jej paszczy, jeszcze bardziej ponoszony przez ogień wewnętrzny. Zaświecił wieśniakowi w oczy pliką „egzemplarzy autorskich“ i poklepał się po pugilaresie.

Już zupełnie swobodnie i po pańsku zainkasował biedne trzydzieści rubelków cioci Femci i ruszył, jako przewodnik, do „Astorji“.

— Tam zbiera się cała młoda literatura — objaśniał kuzyna — wszystko, co żywe!...

Kawalerska przekąska ustaliła ostatecznie pewność triumfalną Zbigniewa, odsapnął też z pychą i zakończył niespodziewanie:

— Powiedz-że tam, iż znalazłem swoją drogę i nie wrócę kwoli nawożenia zagonu ojczystego. Że pokochałem wielkość i siłę, a nic mnie nie ciągnie ku gładkiemu życiu. Tak, powtórz! — zgrzytnął zawzięcie.

Marjan stropił się, uprzytomniwszy sobie znowu cel swej misji, i nieśmiało próbował:

— Chodzi przecież o poświęcenie się, a na jakim polu...

— Nie, nie, szlachetny młodzianie! Mnie nie chodzi o żadnego rodzaju poświęcanie się: życie jest mi radosnem olbrzymiem tworzeniem, a nie poświęcającem się postękiwaniem, chorem na fluksję.

— Przyznasz jednak, że wyrzeczenie się dla innych...

Zbigniew znagła zmrużył oczy ukośnie, jak ryś, i wiercił uparcie w niespokojnych oczach kuzyna:

— Jak się miewa Romka? — rzucił niby zniechcenia.

Marjan sponsował aż do krwawej łuny konch usznych:

— Panna Roma? — bąknął w talerz — zdrowa — dziękuję.

— Dziękujesz? A, no to i dobrze... Cóż tam, pogrzebano mnie na wieki i na czyścowe skazano katusze, co?

— Prze-przeciwnie — zachłysnął się czerwony Marjan — często mówimy o tobie...

— Aż tak? proszę, proszę? Czyż tak trudno o inny przedmiot grzecznego dyskursu, że aż

imienia marnotrawnego syna trzeba używać nadaremno...

I nagle Zbigniew nachylił się przez stół ze złowieszczym szeptem:

— Oddaj to cnotliwej pannie Romie. Tak, to fotografia... Oddaj i powiedz, że zawadza mi to w portfelu. Uważasz? — zawadza.

Nim zorjentował się zmieszany kuzyn kresowy — siedział już sam przy stoliku z fotografią Romy w ręce.

Fotografię tedy schował i pokornie zapłacił podwójny rachunek.

Tyczkowsaty administrator „Źródła“ skrzywił się bolesnym uśmiechem połowy twarzy na znak, iż poznaje Karczewskiego.

— Pan brał honorarjum... „Iskry szału“... nowelka, prawda.

— „Iskry buntu“ — z mimowolną odrazą do tego żółtego, skrzywionego człeczka, poprawił Karczewski.

Administrator zachmurzył się i z miną osobiście obrażonej osoby mruknął:

— Redaktora niema.

Zdawało się Karczewskiemu, iż redaktor do tej pory był, ale wskutek obrazu administratora znikł nagle z redakcji.

— Czy... czy można zaczekać? — zawałał się.

Żółty osobnik otworzył szybko drzwi, wpuszczył Karczewskiego i zamknął natychmiast drzwi zpowrotem, jak gdyby zamykał go w więzieniu.

Po miękim, zciszącym kroki dywanie wszedł Zbigniew do redakcji i usiadł cicho na fotelu.

Wionęło na niego ze wszystkich ścian niesamowite, dziwnie niepokojące technienie: niezliczona ilość obrazów groziła mu rozpaczliwym skurczem groteskowych, rozczapierzonych postaci, rąk, drzew połamanych i zgoła niepojętych linii. Rafinowane wygięcia konturów, zgorzkniałe złamania linii, męczący natłok chorobliwych barw — wszystko to oplatało duszę Zbigniewa niby pajęczyna szalonego pająka, wijącego się w skurczach własnego oblędu.

W nieprzyjemnej, podstępnej ciszy pełnej podskórnego, kolorowego krzyku barw i linii — czuło się nieznośny, zawrotny zapach więdnących kwiatów i mdłych, duszących perfum.

Zbigniew wpatrywał się pracownice w poszczególne obrazy i nałamywał swą duszę do tych załamania i wykoszlawień. Odsuwał od siebie nieśmiałą myśl, iż wszystko to jest dalekie i obce jego zdrowiu i sile.

Wolał potępić swą siłę i nagiąć ją do tej rozpacznej słabości, wijącej się krzykliwie.

Na drodze jego oczu zabłysła nagle przeczysta, wielka płaszczyzna lustra. Na tle gmatwaniny nierozstrzygniętych problemów kształtu, na tle gorączkowej wikłaniny niezliczonych obrazów — ujrzał nagle Karczewski swą dużą, trójkątną głową i banalną, zwykłą twarz.

Wzdrygnął się.

Własna jego, bryłowata postać, odbita z matematyczną, zimną dokładnością, ze spokojnym pogardliwym realizmem — zmieszała go i upokorzyła.

Czuł się tu intruzem, barbarzyńcą, niby dorosły, silny człowiek wśród chorych dzieci lub ciężki marynarz amerykański w japońskim, filigranowym pokoiku.

Z mimowiednym lękiem patrzył na pogięte członki jakiegoś świętego na jednym z obrazów, wyrzucające mu jego ordynarne zdrowie.

Poza temi zniszczonemi, chorowitemi ciałami, powtarzającemi się na wszystkich obrazach, czuł jakąś przepaścistą, olbrzymią a rozpaczłą wielkość ducha, która, dopiero przeczuta — przygnębiła go już swą mocą.

I znów lustro pogardliwie odbiło jego codzienną, zwykłą twarz.

Kiedy był już do szczytu wyczerpany krzyczącą barwą ciszą i pogardliwą ironją lustra, w ciemnem obrzeżeniu drzwi ukazała się dziwna twarz proroka, czy bożka asyryjskiego. Z pod ciemnych brwi płonęły niespokojne oczy, a wielka bladość oblicza, obramowana była czarną, wachlarzowatą brodą.

Karczewski mimowoli uniósł się z krzesła — postać nie ruszała się od drzwi. Przez chwilę

zdawało mu się, że to jeden z obrazów, dotąd przez niego niezauważony.

Nagle z ramion tej postaci urosła druga głowa, kwadratowa, pokryta rudą szczecina, boleśnie kłującą oczy.

Zbigniew ścisnął z całej siły poręcz krzesła, czując, jak fala krwi gwałtownie odpłynęła mu od serca, które tłucze się bezradnie.

Wtem w oczach Zbigniewa dziwaczny portret drgnął, złamał się i ruszył ku niemu.

Blade wargi Zbigniewa nie zdołały wydobyć głosu z gardła, gdy tuż przed nim zamajaczyła twarz z asyryjską brodą. Czuł, że w tem dziwaczmem sanktuarjum zdarzy mu się coś przechodzącego pojemność jego mózgu.

Biała, wypieszczona ręka wysunęła się nagle ku niemu, i martwy, niski głos upadł cicho na dywan:

— Witam.

Na miejsce ciemnej postaci ukazała się postać ruda i niedbale skłoniła się Zbigniewowi, poczem obie rozplynęły się w mrocznych kątach pokoju.

Zbigniew dyszał ciężko, zmęczony jakąś niewiadomą drogą, odbytą nad brzeg przepaści o wyłamanych rozpaczliwie kształtach.

— Ach, ach — pomyślał — to ten obraz koło lustra... jestem nad tą przepaścią.

Nagle z ciemności doszedł go głos niski, uroczysty i powolny:

— Co macie do mnie?

W następnej dopiero chwili zrozumiał, iż do niego mówią. Bez słowa zanurzył się w ciemność, brodząc w niej po piersi. Biała ręka ujęła zwój papieru i cofnęła się zpowrotem w mrok. Omackiem wrócił na swoje miejsce.

Zabłyła lampa, łamiąc światło w wielobarwnych szkiełkach klosza. Pyłki świetlne posypały się na stół i odskakując ukośnie, rozprysły się na obrazach.

Ciemna broda pochyliła się nisko nad białym kwadratem papieru. Kartki szeleściły smutnie, kładąc się jedna na drugiej umarłym gestem.

Człowiek z czarną brodą szepnął w kąt pokoju, jakby wywoływał ducha:

— Szarek.

W kręgu lampy pojawiła się ruda, kłójąca szczecina drugiej głowy. Biała dłoń odsunęła mu zmęczonym ruchem papiery.

Szarek schwycił je lepkiemi palcami i począł obлизywać wypukłym wzrokiem. W rogu mięsistych warg rysowała mu się przykra zmarszczka. Po chwili i on odsunął papiery:

— Wyglądzone — bąknął niedbale.

Karczewskiemu prędko biło serce, podska-

kując co trzy takty nierównym rytmem. Zachłystnął się zmienionym głosem:

— Ja... jakto?

— Sonety... tercyny... oktawy — ciągnął rudy — to już stare. Idziemy naprzód, tamto się przeżyło.

Czarny redaktor kiwnął głową, oczy jego łysnęły na chwilę ku Karczewskiemu:

— Idziemy! — rzekł.

— Więc żadne?... — bąkał nieporadnie Zbigniew.

Redaktor powtórnie wziął papiery, i Zbigniew odetchnął z ulgą. Ta biała ręka usuwała z jego poezji lepkie dotknięcia macek rudego.

— Jeżeli — to tylko to.

Zbigniew podszedł do stołu. Nie mógł wstrzymać nieznacznego drgnienia brwi:

— To? Sądziłem, że najsłabsze?

Nie odpowiedziano mu. Po minucie dopiero rudy podniósł głowę:

— Najlepsze — mruknął.

Zbigniew patrzył pilnie, szukał ich oczu. Gorącą, niemą prośbą kołatał do ich ust.

Rudy zagłębił się w ciemny kąt i jał mu rzucać stamtąd rwane garściami prawdy.

— Zrozumcie. Nie chodzi o dżubaninę jubilerską starej formy. Dosyć tego! Nie chodzi nam o fotografię cuchnącego życia. Mierzi nas to

opiewane życie, choćby filtrowane nabożnie przez własną wzniosłą duszyczkę. Nie opis i nie impresja, nie! To już jest plus-quam-perfectum. Wszystko to jest szanowna „natura“ tylko w różnych sosach. Nam chodzi o wypowiedanie siebie, nie o wrażenie, ale o wyrażenie naszego „ja“, które jest dla nas najwyższą prawdą...

Z drzwi nagle otwartych wypadł szeroki, hulaszczy śmiech i stropiwszy się pod błyskawicą ciemnych oczu redaktora, podkulił ogon i wpelzł pokornie pod kanapę.

Do redakcji wtoczyła się spora banda, niosąca jeszcze z sobą drgające echa krzykliwych rozpraw i jaskrawego śmiechu. Cichli teraz, jeden za drugim, i wsiąkali w mroczne kąty pokoju. W jasnym kręgu lampy został tylko jeden: wielki chłop, z jasną, rozwichrzoną grzywą.

Uśmiechał się dobrotliwie i nagle zagał basem:

— Cóż? dyskusja „zasadnicza“, he?

Nikt mu nie odpowiedział.

— Nie krępujcie się moją mizerną staturą — dudnił dalej. — Walcie dalej: „naga dusza“ i inne części ciała, eksprysk — jonizm i t. d. No, jazda!

Ze swego ciemnego kąta szepnął zjadliwie rudy:

— Krowa i kompas...

Olbrzym drgnął i wpatrzył się niewidzącymi oczami w ponury kąt:

— A, jest i rudy Szarek, wobec tego pasuje: nie wecuję sobie języka na cholewie i nie sprostam...

Jakiś śpiczasty łysy łeb nachylił się przed redaktorem z nabożeństwem egipskiego kapłana:

— Wolno wiedzieć, o czym mówiono? — szepnął tragicznie.

Z czarnej brody wypłatało się jakieś niewyraźne mruknięcie.

Właściciel śpiczastego łba i suchej, pomarszczonej twarzy, zrozumiał znać ów pomruk, bo namaszczone kiwnięciem zaaprobował je i zaczął recytować sucho i monotonie:

— Podstawą — jest forma. Szukać należy najprzód formy. Nie zdołamy wyrazić się bez reszty, jeśli nie skryształizujemy najprzód nowych dróg i metod. Jakiemi kształtami mówić mamy? W jakich i ilu wymiarach tworzyć? Czy uznać perespektywę? Czy i jak wprowadzić ruch i przyszłość do zastygłej formy obrazu czy poezji?...

Zza szafy zakipiało nagle potokiem rozgotowanych, parujących słów, jakby kto znienacka odsłonił wrzący kocioł:

— Na Boga! Bez metod! Bez „ustalania“,

krystalizowania, ujmowania w formy stałe i niezmiennie. Szukajmy tylko. Szukajmy, burzmy, idźmy w przyszłość. Poruszymy zatęchłą atmosferę. Rzućmy w rozpalone ognisko podłą rudę, a czysty, piękny metal sam się wytopi. Szarpać, łamać, dziwić, poruszać, wysadzać z orbit.

Rozdygotany głos mówcy skreślił się w sobie, wyłamał w jakiś potworny kształt i wyskoczył z gardła, rozsadzając mizerny instrument.

Karczewskiemu zdawało się, iż w takt łamiącego się, wyginającego i urywającego głosu — gną się i łamią dziwaczne kształty obrazów, że komplikują się i gmatwają niesamowite ukośne trójkąty barw, kłujące przeraźliwie jego oczy.

Odczuwał w bolesnym skurczu trzewi echa tego rozpaczliwego wołania, które ostremi odłamkami szkła wypadało z krzykliwych piersi mówcy. To też odetchnął z ulgą, gdy ozwał się miękki, prawie kobiecy głos, aksamitną draperją osuwający się na cichy dywan.

— Poco to? Każdy ma w sobie świątynię, zbudowaną w niewzruszonym stylu własnego ducha. Prawda? Poco łamać, szarpać, kiedy wszystko jest zbudowane. U każdego inaczej — zgoda. Ale to tem lepiej. Każdy wyrażać się będzie inaczej, ale łączy nas jedno: kształty

i barwy (tak samo jak słowa i dźwięki) — są dla nas tylko symbolami...

— Ale coś musi je spajać? — szepnął wątpiący cicho głos z mroku.

— Spajać? — zaryczał Szarek. — A poco, szlachetny młodzianie? Czy jeżeli mówię: „lilja“ — nie masz pan jej wizji? A jeżeli powiem: „Katafalk gasi lilje całunkiem całunu gromnicznego. Staruszka kapie woskiem na zielono-niebiesko-złoty witraż. Kaplica wyje do gwiazdnego nieba“... Czy nie masz pan pewnego obrazu?

— Za-zapewne — rozsypał się cichy głos.

— Czy znacie „Rotsogę“ Guillaume’a Apollinaire’a? Jest wspaniałym przykładem, śmiałem zerwaniem...

— Czytajcie! Czytajcie!

Cisza sprężyła się w kabłąk i trwała.

ROTSOGE.

Twarz twoja szkarłatna dwupłatowiec przemienialny
[w hydroplan

Dom twój krągły kędy śledź pływa wędzony

Klucza mi potrza do powiek

Szczęście, że widzieliśmy p. Panado

I uspokojeni jesteśmy z tej strony.

Czegoż chcesz kochany M. D.

90 lub 324 człowiek w powietrzu ciełę, co poprzez
[brzech matki spogląda

Długo szukałem na drogach

Ócz tyle zawartych przy drogach

Wiatr płacze wierzbami

O — twórz — twórz — twórz — twórz

Spójrz, spójrz nareszcie

Staruszek stopy swoje myje w miednicy

Skok skażu Ach du lieber Jott

I płakać począłem pomny naszego dzieciństwa

A ty przedkładaś straszne fiolety

Mały ów obraz kędy wóz dzień mi przypomniął

Dzień z purpury utkany żółty niebieski zielony czer-

[wony

W czas gdym polami chodził z zachwycającym ko-

[minkiem, która sukę trzymała na smyczy

Fujarkę miałem nie mieniałbym jej na francuskich

[marszałków buławy

Odbiegło wszystko nie mam już piszczałki

Kominek zdala ode mnie pali ruskie papierosy

Suka szczeka na lilje

I lampka nocna już szczeźła

Na suknię padły okwiaty

Dwie złota obręcze tuż przy sandałach

W słońcu się rozogniły

A włosy twe jak rzuty

Poprzez Europę są pełne migotów pstrych ogni ¹⁾.

W ciszę błakającą się bezradnie z kąta w kąt
wpadł nagle rozpasany, huczny, żywiołowy

¹⁾ Wiersz Guillaume'a Apollinaire'a, tłumaczony przez
A. Bederskiego w „Brzasku epoki“.

śmiej — rzenie płowego wielkoluda, siedzą-
cego pod lampą:

— Ha! ha! ha! Laboga, trzymajcie „me“, bo
puknę! Ha! ha! Jak... jak to było? „Dom okrą-
gły, gdzie pływa śledź... śledź... olaboga! śledź
wędzony! Ha! ha! ha!

— Jak nie rozumiesz... — warknął rudy.

— A nie rozumiem, serce, nie rozumiem! Ha!
ha! ha!...

— Za mało jestem inteligentny... Ha! ha!...

Olbrzym wycierał łzy szczerej wesołości
i podrygiwał ostatnimi podrzutami śmiechu.

— A, tom się uśmieł, niech was!

Karczewski łypał ostrożnie zpodłba, ba-
dając twarze sąsiadów, a niby nie wiedział, cze-
mu wargi drgają mu nerwowo, odsłaniając zęby,
jak u warzącego psa. Nie wpuszczał do gar-
dła dygotów bezczelnego, rozhukanego śmie-
chu, który mu kłębił się pod piersiami bole-
snym naporem. Potknął się niechętnym wzro-
kiem po rechoczącym jeszcze olbrzymie i zano-
tował skrupulatnie swą przynależność do po-
ważnego grona. Dziwił się jeno niewyraźnej ci-
szy, która kręciła się głucho po pokoju, nie
mogąc znaleźć dla siebie fotela.

— To dobre — wyrzeczono z pityjska zza
asyryjskiej brody, i uspokojona cisza przycup-
nęła gdzieś na rożku.

Nie kleiła się wszelako rozmowa: cichaczem wyciekali z redakcji jedni po drugich.

Karczewski zastygł w jakiejś pozie, która już dawno straciła swój sens. Trwał tak, wychylony i przegięty, niby pytajnik, na który nie dano odpowiedzi.

Oszło miła go i przygnębiła duszna para słów, której kłęby wisiały jeszcze pod sufitem i snuły mu się leniwie a nieskładnie przez zbolały mózg.

Rozłamały się przed nim jakieś złomowiska skalne i ciągnęły oczy w długą, grymaśnie wygiętą perespektywę korytarzy. Stał oto na progu nowego, obcego świata, a żał go wstyd, iż wchodzi weń z pustemi rękami. Szukał niezdarnie koło siebie jakichś zapomnianych, a cennych skarbów, któreby mógł ukazać w tym nowym świecie.

Nic jednak nie znajdował...

Podejmowane okruchy łamały mu się w rękach i rozsypywały na proch miazgi, bezużyteczny. Cały świat dotychczasowy pękł mu w oczach na niezliczone trójkąty i kwadraty, powikłane bezładnie a okrutnie, że oczy krwawiły mu boleśnie.

Zdało mu się, że niema już na tym świecie cichych, spokojnych barw, kształtów i dźwięków. Domy waliły się na głowy przechodniów,

okna wyrywały się z objęć murów, latarnie chwiały pijacko, zmieniając co chwila swe światła na popękanym bruku, wznoszącym się ukośnie do góry.

Drgnął gwałtownie na dźwięk obojętnego, codziennego głosu Szarka.

— Czy szanowny adept naszej wyklętej bandy, ma jakieś... excusez le mot... zajęcie chlebodajne?...

Nie odpowiedział zrazu Karczewski. Nieopisanem zdumieniem (i radością) nappełnił go ten zwyczajny codzienny głos; głos, jakim mówią przeciętni, zwykli ludzie na ulicach, w tramwajach, sklepach... Z ulgą notował, że Szarek nie mówi trójkątami jaskrawemi, barwami ani tłoczącemi się bezładnie słowami z odczytanego wiersza.

Odpowiedział mu więc prawie serdecznie; zajęcia coprawda nie ma, ale zarabia pisaniną no i... z domu właśnie...

Szarek żuł coś w wywiniętych wargach i zezował na spowiniętego w bandażu powagi redaktora. Zagabnął go wreszcie od niechcenia:

— Redaktor nie idzie dziś na „Moralność Dulskiej“, co? Marna bomba...

Wymacywał go ze swego kąta szydliwemi ślepiami i odmierzał kapiące ostrożnie słowa.

Po chwili artystycznej pauzy padło redaktorskie: „Nie“.

Tedy Szarek zaproponował Karczewskiemu wyprawę do teatru, oczywiście na „passepartout“.

Wbrew cichym szeptom niechęci, które podnosiły się w nim ukradkiem, Karczewski poufalił się z Szarkiem i rozповідаł mu coś szeroko.

Koleżeńskim ujęciem pod ramię pasował go bowiem rudy na swego kompana i nieznacznie przeszli na „wy“. W antraktach sztuki zapijano po bohatersku owo łątane koleżeństwo zresztą na koszt „adepta“.

Z pychą rozpierał się Karczewski w drugim rzędzie ciepłej i widnej sali, obok doskonale obojętnego Szarka, który kłaniał się często i w różne strony. Z ukrytym szacunkiem począł Karczewski studjować ową obojętność i uczyć się jej, jak dostojnego ceremonjału dworskiego. Mrużył tedy oczy i wysuwał zlekka dolną wargę, ślizgając się po szeregach różnorodnych twarzy.

Czuł jednak, że jest tylko rekrutem. Mimo szczerých starań karykaturował wspaniałe gesty swego rudego przewodnika.

Zwrócony tyłem do sceny przegląda Szarek zimno i prawie pogardliwie piętra widowni. Oto

kął jego ust drgnął ledwo dostrzegalnym skurczem ironji, brwi uniosły się zlekka, oczy przymknęły. I znowu twarz jego jest spokojna, a oczy nawet jakby powlokły się zadumą. Zapomniał gdzie jest... może tworzy? Twarz skupiona, zimna i krótki ułkon. Znowu ułkon nie dbały, zmrużone oczy i ironja w kącie ust.

I z tym niezrównanym „heinowskim“ uśmiechem, protektor nieodmiennie zapraszał co antrakt Karczewskiego na poczęstunek... Karczewski płacił bez protestu, po pańsku, nie sprawdzając rachunków.

Na scenę nie patrzył. Widział tę sztukę z wyżyn galerji i nawet — teraz wyznawał to ze wstydem — wzruszał się nią. Z drugiego rzędu jednak widać było dobrze szminkę i słychać było świszczący szept gruzlicznego suflera. A przytem — uwagi Szarka... Okazało się, że dyrektor tej budy jest troglodytem z epoki dykwalnej, który nie chce wystawić sztuki redaktora Chacewicza „Noe“.

Potem już wogóle nie bardzo wiedział, co się dzieje zarówno na scenie jak na widowni. Nie był pewien, czy Szarek gra jaką rolę, czy jest suflerem, a on — Karczewski ma coś mówić głośno i z patosem. W oczach mu się ęmiło, i scena kręciła się szybko, zataczając wielki krąg dokoła niego, że musiał się ciągle obra-

cać za nią. Nogi również odmawiały mu posłuszeństwa.

Mimo to nie przestawał pić, rozprawiając przytem głosem nienaturalnie swobodnym i nieco za głośno. W pewnej chwili scena nagle zatrzymała się tuż przed nim, i Zbigniew począł uparcie słuchać, co tam mówią. Drażniła go ta ustawiczna zmiana miejsca sceny, i chciał nareszcie przyłapać aktorów i odkryć, na czem polegają ich głupie figle.

Zapatrzył się więc na scenę i wlepił oczy w mały kołtuński salon Dulskich. Nagle krzesło jego zachwiało się, i Karczewski uczuł najwyraźniej, że znalazł się wśród aktorów. Do niego to mówiła rozmamana pani Dulska krzykliwym, pękniętym głosem: „Zbyszek, bój się Boga, pijesz ciągle“.

— No, to piję! — mruknął rozzłoszczony Karczewski. Dziwił się jednak własnemu postępowaniu z Hanką.

...Przyszła od doktora... jego dziecko nosi pod sercem...

Zimny dreszcz podrapał Karczewskiego po grzbiecie.

Hanka cierpiała, cierpiała bardzo.

Nagle na widowni pisknęło kilka uradowanych, kobiecych śmieszków, zawtórowały im zadowolone prychnięcia panów.

— Śmieje się... bydlę! — warknął Karczewski.

Tragedja tej biednej dziewczyny, uwiedzionej przez niego, opasała mu serce cieniutką, lecz mocną nicią jedwabiu, że ledwo dech mógł złapać.

Kołtuństwo na widowni śmiało się coraz swobodniej, ktoś głupszy czy bezczelniejszy uznał znać scenę za komiczną i ryknął całkiem głośno. Za nim poszli inni. Wreszcie cały prawie teatr śmiał się plugawie, mimo pojedynczych sykań. Aktorzy przestali grać. Karczewski zbladł.

Czuł, jak krew zbiega mu z twarzy, a szczęki zacinają się w niepomahowanej wściekłości. Wstał i obrócił się do widowni.

— Milczeć, Dulscy! — huknął.

W sali zaległa cisza.

Szarek szarpnął znienacka Karczewskiego, który siadł ciężko i oglądał się wkoło wściekłym wzrokiem byka na arenie.

Z łoży gabinetowej, dotychczas pustej, odezwało się ciche: „brawo!“

Przytulny, kobiecy głos, który rzucił to słowo Karczewskiemu, jak różę na piersi — uspokoił w nim odrazu wściekłość.

— Ona rozumie — mruczał rozrzuwniony — ona jedna. Kochanie moje...

Bajdurzył coś jeszcze czule, gdy przerwał mu Szarek:

— Musimy wyjść, bo może być awantura. Ale też wlaście się.

Karczewskiego rozpierał animusz i buta. Spojrzał na Szarka innym zgoła niż dotychczas wzrokiem:

— Nie pójdę — mruknął — kto powiedział „brawo“?... Muszę się zapoznać... Nie pójdę!...

Szarek stropił się i latającymi ślepiami szukał wyjścia z sytuacji. Podwoił jeszcze serdeczność swego głosu:

— Dobrze, kolego. Zapoznacie się. To łoża aktorska... Znam wszystkie... Chodźcie...

Karczewski łypał na niego podejrzliwie, starając się przeniknąć niechlujny uśmiezek. Wreszcie raczył zezwolić, ostrożnie wyszli na korytarz i przemykali się w stronę łoży aktorskiej.

W drzwiach zetknęli się z nagłą z całą tą rozszepetaną, pachnącą i „utlenioną“ gromadką. Na głowę Karczewskiego i Szarka posypał się deszcz zapytań, wykrzykników i śmiechów, ni by kolorowe confetti:

- Czy to pan?
- Nie, to ten drugi pan, prawda?
- Poeta? malarz?
- Bardzo dzielnie!

— My artyści musimy bronić sztuki...

— I trzymać się razem, prawda?

— Niech pan nas zapozna!

Szarek z trudem gramolił się z tego stosu kolorowych i lekkich pytań. Z obleśnym uśmiechem potwierdzał konieczność „trzymania się razem“ i wspólnej obrony sztuki, a z mniej przyjemnym uśmiechem przedstawił Karczewskiego, nie wysuwając go zresztą zbyt na plan pierwszy.

Ale w tym grała już kresowa fantazja. Dwornie zapytał więc:

— Która z pań była tak łaskawą dać mi to ciche, współczujące brawo? Radbym...

Gwar odpowiedzi nie dał mu dosłyszeć imienia, stał tedy ogłupiały, chwiejąc się zlekka na nogach i uśmiechając niejasno.

I nagle tłum pań przestał istnieć dla jego zachwyconych oczu, oglądających słodką twarzyczkę podlotka pod wielkim, strojnym kapeluszem, „dorosłym“ kapeluszem. Owiała go jedyna, niezapomniana woń perfum-kwiatów i odu rzył pachnący jak perfumy głos:

— Mellita Lanetti.

Świętokradztwem wydało się Karczewskiemu uściśnienie tej maluchnej łapki w jego muskularnej, dużej ręce. Trzymał ją ostrożnie, jak

Chorągiew na dachu.

małe, bezbronne ptaszę, i podniósł do ust powoli, lekko...

Szmer zdziwienia i aprobaty przesnuł się w rozwydrzonej gromadce kobiet.

Przy wyjściu z teatru, Karczewski pozostał w tyle i wyplątywał się wściekle z niewidzialnej nici, pętającej mu nogi. Kiedy wreszcie dogonił towarzystwo, Mellita była już obłożona przez uśmiechniętego plugawie Szarka.

Mruknął coś wrogiego, ale nie porwał się do kłótni. Z opuszczoną ponuro głową, włókł się brzegiem chodnika, nie odpowiadając na zachętlive zagabywania aktorek.

W pewnej jednak chwili wzrosła w nim znówu zaczepność. Zrównał się z Szarkiem i czatował na moment ataku. Szarek trzymał go w rezerwie zjadliwym zezem, dowodząc jednocześnie o czemś Mellicie.

Nie chodziło zresztą Karczewskiemu o słowa, które nie bardzo mógł nanizać na jednolitą nić przewodnią: rozdrażniał go i budził głuchy gniew przymilny ton Szarka, gdy mówił do Mellity, a pogardliwy, gdy robił nieznaczące aluzje do niego:

Była więc mowa o samoświadomości, a z kunsztownych okresów i przenośni, sypanych przez Szarka, wynikało niezbiecie, że grupa „źródła-

na“ jest jedyną przedstawicielką uświadomienia sobie własnej jaźni.

I znówu czujny instynkt zaalarmował Karczewskiego o ataku. Szarek mówił:

— Phy, wrażenia, impresje, sentymenciki! Cała ta „twórczość“ — to instynkt, ślepy, zwierzęcy instynkt... Taki sam, jak ten, który każe zwierzęciu szukać odwrotnej płci. Bardzo, bardzo niewiele jest — nas. Nas, którzy jesteśmy twórcami świadomymi, widzącymi przeraźliwie jasno skłębienia naszych dusz. Większość, szczególnie młodych, żyje instynktem, światopogląd ma mętny, pijany — że tak powiem... Nie idzie, dokąd należy iść, ale dokąd pchnie go ślepy nakaz instynktu.

Karczewski słuchał zimno i mężnie. Mroźne powietrze nocy wywiało mu z głowy opary pijackie, i był gotów do podjęcia walki. Tu, wobec kobiety — zniknął jego szacunek nowicjusza dla kapłana, który teraz był tylko rywalem.

Ze spokojną dumą wywalił kopnięciem nogi bożka, przed którym kłaniał się dotychczas, i stanął na nim jak na pierwszym szczeblu drabiny. Mocen był ująć miecz i podjąć walkę: przeciwko sobie miał szczwane doświadczenie, na swój karb mógł policzyć impet.

Nie poznał swego głosu, gdy zaczął mówić

Zdało mu się, że to ktoś obcy mówi jego ustami. Ktoś, kto w jednej, błyskawicznej chwili zgłębił odrazu sztukę tworzenia niebotycznych, choć łamliwych gmachów ze słów, idei i myśli.

— Tak, samoświadomość... Zimne liczenie pulsów swego serca, kontrolowanie najświętszych drgnień duszy. Oto ideał! Nie! Co innego widzieć należy w nowym prądzie, który nas porywa. Co innego! Nie my mówimy, malujemy, rzeźbimy. Mówi przez nas jakaś Moc olbrzymia, nieobjęta... Może instynkt... niech i tak będzie! W takim razie błogosławię ten instynkt i nazywam go świętym instynktem. Czy artysta przytomny jest, gdy tworzy? Czy nie jest on raczej szaleńcem, świętym warjatem, pijakiem boskim? Czy genjusz nie graniczy z obłąkaniem? Otóż tysiąckrotnie wznoszę tego szaleńca i pijaka ponad „samoświadomych“ wyrobników, parobków logiki. Upijmy się naszym genjuszem, skaczymy w świętym tańcu pijaństwa. Czyż w naszych przeraźliwie rozumnych czasach nie jest najpiękniejszym człowiekiem pijany, przed którym nieruchome latarnie tańczą wspinałe sarabandy?

— Ot, ten naprzykład! — warknął Szarek, ukazując na ponurą figurę płaczącą się niezdarnie w mrokach.

W grupie prysnęło kilka śmiechów, lecz wnet zgasił je Karczewski:

— Tak, właśnie tak! — huknął. — Tylko po pijanemu jeszcze umie człowiek naszych dni rozhukać się i rozszerzyć od horyzontu do horyzontu!

Zanucił:

„Hej, serce nam bije,
W wódce niech troski zatona,
Szczерzej i szerzej się żyje —
Cudną, ach, cudną jest noc!“

Mellita otarła się o niego kocim ruchem i wyzywająco patrzyła na Szarka. Nozdrza jej drgały, jak gdyby węsząc krew tych dwóch walczących o nią mężczyzn:

— Pan ma ogień! — szepnęła.

— Tak, mam ogień w żyłach, sercu, głowie — gorąco odrzekł.

Szarek gryzł mięsiste, jak kielbaski, wargi.

— Zajął mnie to, co pan mówił o pijakach — kapryśnym głosikiem drażniła go Mellita — nawet jako tancerkę...

— Niech pani zatańczy — przerwał nagle w napływie pijackiego genjuszu — niech pani zatańczy taniec „pijanej latarni“!

— Bajecznie! — wyprysnęły głosy.

— Bajecznie — zgodziła się Mellita i zmru-

żywszy oczy, jęła szkicować w powietrzu zarysy sceny. — Tak... dałoby się ciemno-zieloną kotarę... (na drugim planie oczywiście). A z przodu — seledynową gazę na całą scenę... i zielone światło z boku...

— A pani? — Karczewski włożył w oczy prośbę o dalsze słowa, których sam rytm go rozmarzał.

— Ja? Ubrałabym się w złoty kostjum indyjskiego Buddy, a na głowę wzięłabym spiczastą koronę w kształcie latarni z zielonemi kamieniami...

— Drogiemi kamieniami — szeptał Karczewski.

— A może dałoby się zielone lampki elektryczne obsadzić — bąknął Szarek — widziałem w „Kordjanie“...

Karczewski nadeptał go wzrokiem jak obłego padalca, ale Szarek wywijał się i coraz wślizgiwał się w rozmowę:

— Trzebaby porozmawiać z dyrektorem „Powszechnego“ o salę...

Mellita szybko zwróciła się:

— Myśli pan, że to naprawdę?...

— Naturalnie! — przekonany basem podchwycił — jeśli ja się za coś biorę... Napewno się uda.

— A pan sądzi, że warto dla ludzi tań-

czyć? — zagadnęła Karczewskiego, znizeniem głosu podkreślając intymność pytania.

Za zwrotem jej głowy, szybko spuścił oczy złapany na gorącym uczynku bezmyślnego prawie zachwytu jej głosem. Nie zważał na drogę, po której słowa jej biegły, nie chodziło mu o treść. Czuł tylko pod każdym słowem narzmiąłą wartość o głębszym kolorze i wyławiał drgnięcia, które mu o tem mówiły.

Bywa tak we śnie: dawno, jeszcze w Podębcach śnił mu się jakiś mały niebieski kwiatek, który był tajemniczym źródłem radości. Zbigniew śmiał się do niego radośnie, przepełniony szczęściem, a kiedy obudził się, miał twarz zmoczoną łzami. Nie mógł jednak ani przypomnieć sobie ani zrozumieć powodu... O! śnił mu się kwiatek...

— Czy pan uważa...

— Ach, tak! Tańczyć dla ludzi? — i niewie Karczewski, co ma mówić: wszystko, cokolwiekby powiedział, będzie tak blade, niepotrzebne... Czy ona usłyszy w dźwięku jego słów tę muzykę, która ując się w słowa nie da?

— Ach, znowu mówi ten Szarek! Mówi gdzieś tak daleko, że ledwie głos jego dochodzi do uszu.

Mówi:

— Dlaczego zresztą Budda? Lepiej już apasz w jakimś ciemnym płaszczu...

— Kawaler księżycy? — brzmi głos Mellity. — Owszem... możnaby, prawda?

— Tak, apasz! — obcym głosem powiedział Karczewski i naraz zachnął się, spojrzawszy w twarz Mellity. Ta drobna twarzyczka nie powinna szminkować się w cyniczne rysy ulicznego cienia:

— Chociaż... myślę — bąkał. — Pani nie będzie sobą... W pani niema nic...

— Och, co we mnie jest!...

Karczewski zatrzymał się na ulicy:

— Pani — wyjąkał zdumiony — pani ma zielone... oczy.

— Jak kot — zaśmiała się i podając mu drobną rękę, szepnęła:

— Zapoznamy się bliżej.

Tak zabawnie wyglądała pod tym swoim „dorosłym“ kapeluszem...

BIBLIOTEKA
A. G. SYRKINA
— w Wilnie —

Karczewski uchwycił się silnie za wręby nowych światów, które odkryli przed nim „źródłowcy“. Uchwycił się cheiwie, zażarcie i na drgających ścięgnach rąk dźwignął się na cypel.

Było to po wydrukowaniu w „Źródle“ jego „Manifestu pijaka“. Dziwnie zimnem żeleźcem utwór ten tkwił w jego żebrach. Był mu bowiem obcy i sztywny, spiętrzony na dalekich, nieprzeczutych słowach, jakby stanowił dalszy ciąg dyskusji z Szarkiem. Myśli grymaśne, załamane dziwnie w swym konturze, zagmatwane w bolesny, krzykliwy chaos.

Myślał o zamknięciu go w bardziej czystą architekturę, ale gdy z za stylowej brody Chacewicza padło niezwykle zachęcające mruknięcie — dał wydrukować...

A potem ten niespodziany zachwyt kolegów, zdziwione spojrzenia Szarka, umieszczenie wiersza w programie wieczoru...

Świtała mu myśl zimna, przenikliwa:

— Ach, więc to tak?

Z lękiem odsunął jednak drwiące poszepty, choć podnosiły głowę i nawet podrygiwały śmiechem.

Wolał oskarżać się o wszelkie winy do kołtuństwa włącznie. Rozpaczliwie wgryzał się w uzasadnienie sztuki, której stał się wyznawcą. Zabierał do domu roczniki „Źródła“, odczytywał artykuły zasadnicze Chacewicza, czytał tłumaczenia, wżerał się oczami w rzeźby, obrazy.

Pod koniec tego okresu miał wreszcie zapas słów, któremi mógł śmiało bryzgać w dyskusjach kawiarnianych, a w cichości, dla siebie — zebrał kilka kuglarskich przepisików, wedle których „tworzył“.

Zbudował był dla tego cały systemat, wymęczony po dyskusjach zajadłych ze sobą i przypięczętowawszy go swą aprobatą, nie rozpatrywał więcej, tłumacząc się poprostu jego istnieniem.

Zresztą wchodziła tu w grę i Mellita. Jedy-nem uprawnieniem do sięgania po nią był wszak jego dyplom „źródłowca“. Nie umiał więc i nie chciał rewidować na zimno...

Trwało to tak dobry kęs czasu: spychał niecierpliwie pustkę bezwartościowych, szarych dni, by doczekać się małej chwili widzenia jej. Chował sobie te małe wspomnienia jak skarb dziecinny: kolorowe szkiełko, lub kamyczek.

Spotkania z nią były wiecznie nowe i cieszyły czarem niespodzianki, niepozbawione zarazem i tego uczucia swojskości, które jest jak odnalezienie rzeczy najdroższej, a zgubionej.

Bo też te niepokojąco głębokie oczy w twarzycze podlotka! Nie umiał rozwiązać tego równania i myślał, że jest ono w innym wymiarze niż jego wysiłki.

Wreszcie — po co?

Oto i teraz beztroskliwie depta błotnisty mrok ulic: dziś, jutro lub któregośkolwiek dnia usłyszysz jej śmiech łaskoczący dziwnie pod sercem i uniesie do swego zimnego pokoju kilka ciepłych słów, słów-kwiatów, słów-ptaków.

Z tych myśli wpadł naraz z głośnem chlupnięciem w dotkliwie zimno kałuży. Drgała teraz całą powierzchnią, marszcząc się tysiącem drobnych zmarszczek złośliwego śmiechu. W zielonem świetle latarni błyskały jej trupie oczy, nie mające stałego miejsca na płaskiej gębie.

Otrząsał się jeszcze z jej dygotliwego lepkiego dotyku, gdy tuż naprzeciwko wyłoniły się z brudnej pomroki ulicznej dwie postacie...

— Szarek i... Mellita.

Zachwiał się. Chciał ich wyminąć spokojnie, ukłoniwszy się zlekka... Tak, chciał nawet uśmiechnąć się obojętnym, lecz uprzejmym uśmiechem. Chciał...

W tem zaskowyczał w nim przejmujący ból, i jak pies z podkulonym ogonem podszedł Karczewski do nich, niezdarnie zachłystując się słowami, a oczami żebrząc zmiłowania.

Szarek odtrącił jego zagadywania obojętnem:

— Spacerujemy.

Karczewski widział dobrze rozszerzonymi z bólu źrenicami, iż powinien odejść od tych dwojga i pograżyć się w beznadziejny, pełny błotnistych kałuż, mrok ulicy. Czuł wśród nich nie subtelną, którą on ciągnął i zrywał samą obecnością swoją.

Nie mógł jednak wymóc na swoim, sporkniałem nagle i odhartowaniem sercu dumnego gestu. Tuliło się bowiem pokornie jak obite, bezpańskie psisko do pachnących sukienek Mellity.

Szedł więc z nimi krok w krok, a twarz paliła go, jak od policzka. Pogardzał tem swoim psem sercem i czuł doń głęboką odrazę, a jednak nie mógł już osiągnąć nad niem władzy.

Bąkał coś nieporadnie, zająkliwe, ratując honor nieznośnej i pięknej boleśnie sytuacji. Zgrabiłymi i drżącymi rękami wiązał jakieś nici, odszukiwał mozolnie skojarzenia, które objęłyby ciepłym związkiem jego i Mellitę...

Aż wreszcie pogarda dosięgła mu gardła,

czuł się upokorzonym do dna i nie miał sił, by się wydzwignąć.

A przytem drobiazg: jego mokre, zabłocone buty człapiące z ohydnem mlaskaniem, obok lakierków Szarka...

Nie mógł już mówić. Dreszcz zimna i wściekłości zciał mu zęby w kurczowem zwarciu, że nożem chyba podważać.

A z tego dna rozpaczy — wstawiała w nim buta i łyskając groźnie ślepiami, prostowała bary.

Stał nagle na środku ulicy z pochylonem łbem i obwisłymi od nadmiaru mocy pięściami.

— Czego?... — podjudził go Szarek.

Głos Karczewskiego zachrypiał w gardle, jak gdyby rodził się z piłowanego mozolnie metalu.

— Szarek!

— Cóż wam?

— Słuchaj... ty! — charczał Karczewski, idąc ku niemu zwolna, leniwie.

Szarek chciał odwrócić do niego pogardliwe plecy, ale nie zdołał ruszyć się z miejsca: oczy Karczewskiego osadziły go i trzymały na uwięzi.

Twarc Szarka nalała się w jednej chwili krwią i równie gwałtownie zbladła; mięsiste wargi posiniały i poruszały się leniwie bez dźwięku. Wyjąkał wreszcie:

— Cóż ty... awantury... ulica przecie...

Karczewski szedł na niego dalej, widząc zalanemi krwią oczami tylko tę nienawistną gębę.

I nagle... nagle mała, dziecinna prawie rączka spoczęła mu na ramieniu.

Karczewski, szarpnął się całym wnętrzem, ale nie mógł się już uwolnić z pod uroku tej małej, ciepłej dłoni. A miodny głos Mellity zaszeptał przymilnie:

— Czego się mój poeta gniewa?

Karczewski obrócił na nią z wysiłkiem oczypułne po brzegi tak szalonej miłości, że zmrużyć musiała swoje.

Zaszeptała mu w ucho łaskotliwym szeptem:

— Zazdrosny?

Patrzyła na niego z rozdętymi chrapkami, oddychając mocno i ściskając mu dłoń.

Z Karczewskiego opadały zwolna czerwone i sine opary. Poczuł nagle ulgę i zupełny, ostateczny upadek sił: dyszał jak po ciężkiej walce.

— No, już, już! Uspokoić się — koła go Mellita, a gdy ujrzała, że odpłynęła od niego ta burza niepohamowana, rozkazała szeptem:

— No, niechże przeprosi tego... staruszką!

I Karczewski podał ciężką dłoń Szarkowi:

— Zdenerwowany jestem — wyjaśnił w formie przeprosin.

Szarek wyrozumiałym uśmieszkiem ratował swoje tchórzostwo. Całe zajście falowało je-

szcze między nimi, ale dążyło już do ułożenia się równą, cichą powierzchnią.

Karczewski prowadząc pod rękę Mellitę, z uśmiechniętem do dna nabożeństwem, genialnem rozumowaniem odkrywał Amyryki:

— Skoro wie, że może być zazdrosny — ergo domyśla się, że... A ponieważ nie gniewa się o to, więc...

Zresztą okazało się w ciągu rozmowy, że właśnie rzecz tyczyła się owego wieczoru, a on — inicjator palcem nie kiwnął dotąd.

— Jakże to? — próbował już podżartować Szarek. — Cóż z was za caballero servante?

Obiecywał więc Karczewski wszystko, uśmiechając się niemal do Szarka („tego... staruszką“!).

Na zakończenie uniósł Karczewski pamięć gorącej pieczęci pocałunkiem na rączce Mellity, nieco nad rękawiczką.

Biegł szybko do siebie i zapaliwszy małą lampkę, z uśmiechem spojrzał po opuchliznie tapet i krzywym suficie:

— No cóż? *Starają się*, biedaki, *być*. A że nie miały dość siły, aby zdobyć się na byt piękniejszy? I tak trzeba je lubić: wiedzą one o tajemnicy i nasyciły się nią tak starannie, chłonęły ją tak skwapliwie i pocziwie, że prawie przestały być brzydkie. Stały się poprostu powierzchnią odbijającą pewne piękne barwy

i obraży. A także — czemu walczył przeciw ulicom, latarniom, redakcjom? Gniewała go ich tajemnica spiskowa... Ależ, niema żadnej! Ot, ten róg ulicy — skręca się za nim, żeby pójść w stronę redakcji, a tamta ciemna masa — to Teatr Mały, może tam pójść i poprosić w każdej chwili o bilet, a tam... tam się idzie do mieszkania Mellity.

Stwierdził też, biegając nazajutrz od rana za sprawami wieczoru, że bądź co bądź jest się „znany“:

— No, nie wiesz? To przecież „ten“ Karzewski...

W ciągu następnych dni rozmienił się na drobne sprawki i małe powodzenia: redakcje, bilety, pozwolenia, recenzje...

Lawirował zręcznie wśród ostrych cypli kamienic i raf miasta. Nie było to ani groźne, ani trudne.

Gdy jednak miał iść do Mellity — zawahał się. Do niej, właśnie do niej nie można iść z duszą tak rozproszkowaną (omal nie pomyślał — zaśmieconą). Może przed jej oczami nie wiele była warta jego poufałość z setkami rzeczy zwykłych i drobne nad nimi zwycięstwa?

Postarał się potrząsnąć pióropuszem artysty i w tem zaczerpnąć tytułu do noszenia głowy wyżej.

Odważył się: wynalazł starannie długą listanę pretekstów i wykrętnych odpowiedzi, nim stanął przed jej drzwiami z głębokim przekonaniem, że popełnia przestępstwo.

Rozkocudana wiedźma obojętnie rozdziawiła drzwi i trzasnęła za nim, że dygotały ze zdenerwowania. Stał jeszcze w ciemnym korytarzu, gdy zza drzwi doleciały go odgłosy ucieczki, przewracania mebli i drażniące chichoty.

Czuł z niesmakiem odpowiedzialność za to, że wszystko wypada nie tak, jak powinno i... jak uplanował, a przynajmniej — spodziewał się.

Wiedźma wyczłapała znowu z mroków korytarza i wpuściła go do ciepłego pokoiku, nasyczonego zapachem perfum.

Chichoty za ścianą nie ustawały.

— Psiakrew! — żuł w ustach. — To nie to, to przecież nie to.

Mellita była jednak nadspodziewanie piękną, o wiele piękniejszą, niż to, co śmiał przewidzieć.

Była uśmiechnięta, ale uśmiech dziergany był na kanwie smutku, i oczy nie umiały ukryć tego. Czemuż nie jest z nim zupełnie szczerą? Onby umiał przecie odczuć...

— A, to pan?

— Może przeszkodziłem — bąkał, zezując na drzwi, za którymi szeleścił szept i wypryskiwały śmieszki. — Jeśli nie w porę...

Chorągiew na dachu.

Jednocześnie czuł, że wszystko, co mówi jest głupie, niepotrzebne, i że powinien zaraz, natychmiast znaleźć inne słowa godne jej i jego.

— Ach, nie — niedbale uśmiechnęła się Mellita — to koleżanki... Kostjummy przymierzałyśmy.

Podniósł zdziwione brwi: śmiesznem mu się wydało, że Mellita może przymierzać suknie. Był pewien, że jest w nich wprost.

Jednocześnie myślał, że tuż przed jego przyjęciem wyłamywał się z gmatwaniny szat kontur jej ciała — skierował jego oczy ku odszukiwaniu i odgadywaniu go pod suknią, sprężyły mu się mięśnie bark i karku. Zapach jej włosów poczuł nie tylko chciwymi nozdrzami, ale każdym ciałem naskórka.

Przymknęła oczy i usiadła miękko na kanapie, a suknia jej popłynęła drobnymi falami po dywanie:

— Czemu pan tak patrzy? — powiedziała cicho, nie patrząc na Zbigniewa.

Przez chwilę myślał, czy ten gest i ten głos nie są... ze sceny, ale wnet obruszył się na siebie.

— Bo jest cudna — powiedział tem goręcej.

Podniosła powieki ruchem, który znowu się wydał...

Ale nie! Co za przywidzenia dzisiaj!...

— A dlaczego jest taki dziwny?

— Ja? — szczerze zdziwił się.

— A tak. To pali oczami, to ucieka, unika...

— Bałem się przeszkadzać, narzucać... — czuł znowu, że mówi nie to, co trzeba.

Zaśmiała się przeciągłym, drwiącym śmiechem, który upokorzył i zabolął Zbigniewa.

— Jest bardzo młody... Ale to dobrze — dodała zaraz.

Siedział dziwnie zdmuchnięty i patrzył na nią z żalem:

— Nie powinna — myślał. — Ona tak nie powinna...

Gdzieś stuknęły drzwi, przycinając ogon chichotów, który włókł się za koleżankami Mellity, zaczepiając się o sprzęty. Nastąpiła cisza. Zbigniew siedział teraz obok niej, zatopiony w kanapie.

Patrzył uporczywie i bezczelnie na odsłoniętą szyję i drobne włosy na karczku. Stała mu się dostępniejszą i bliższą, a jednak... Tak, pękło coś w nim. Och, była to może jakaś maleńka jak włoszek sprężynka, drobny, śmieszny drucik, może zgoła zbyteczny. Napał się swym cynizmem, wiedząc zarazem, iż popełnia świętokradztwo wobec tej innej, dawnej miłości.

Spokojnym, leniwym gestem, jak gdyby ta rzecz była dawno postanowiona między nimi,

przechylił ją ku sobie i nakrył spęczniałymi od krwi ustami — jej usta.

Wpijał się coraz zacieklej, coraz goręcej, łamał ją i gwał bez litości.

W pewnej chwili dojrzał kątem oczu, jak biała jej ręka podniosła się wolnym ruchem i wyprostowała nieznacznie kokardę u sukni.

Oderwał usta. Przez chwilę patrzył w jej omdlone oczy i znowu rzucił się na nią ustami z mściwą namiętnością.

— Całujesz na śmierć! — szepnęła, ciężko oddychając.

— Może... — syczał przez zęby.

Patrzył na nią niepoznanymi oczyma, jak gdyby teraz dopiero ją ujrzał. Ta nowa miłość, miłość do dna zmieszana i zaburzona przyćmiewała sobą tamtą, która umarła przed chwilą. Było w niej coś leniwie krwiożerczego jak kocianiec w takt monotonnej melodji. Wokół głowy Zbigniewa snuł się zapach umierających maków, a z kątów pokoju wstawała ciemnoczerwona chmura, upalna i duszna, od oddechu której wysychało i kurczyło się gardło.

Zwiotczała i mdła słabość Mellity budziła w nim większe jeszcze porywy wściekłości, i uściski jego stawały się prawie uściskami mordercy. Zagubił wszelaką myśl o przyczynie swego szału.

W którymś z opadów piętrzącej się żądzzy zdołał nieocenionym wysiłkiem oderwać obłę, białe macki jej rąk. Kopnął jakieś krzesło, sterzące mu na drodze, z głupawym uśmiechem, nie obejrzał się na tupiące za nim schody i wernął się w mgławą gęstwą ulicy.

Chłodny ziąb osiadał na jego rozpalonej twarzy wilgotnymi kropelkami. Łykał łapczywie powietrze piersią rozpartą do granic pojemności. Cały zapas krwi jego ciała, dotąd zalewający mózg i oczy, rozgotowanym do punktu wrzenia ukropem, rozplwał się zwolna, przywracając świadomość włóknom każdego skrawka skóry. Niecierpliwymi szarpnięciami głowy wydobywał się z czadu, który osnuł go dokoła lepką pajęczyną. W jakiejś przytomniejszej chwili rozejrzał się dokoła siebie.

Był to słabo oświetlony zaułek. Pod ścianami ponurych jak więzienia kamienie snuły się cienie żerujących psów i ludzi.

Podeszła ku niemu zwolna, kołysząc się wyzywająco w biodrach, dziewczyna z jaskrawo umalowaną twarzą i zionęła mu w twarz czkawką wódki:

— Zabawimy się?

Karczewski cofał się zwolna, nie mogąc oczu oderwać od tej larwy. Szeptał z lękiem:

— Czy ty jesteś Mellita?... Ach, nie! — przy-

pomnił sobie. — Ty jesteś Hanka... ta od Dulskich...

— Iza się nazywam — zachrypiała tamta. — Aleś ty dobrze wlany, co?

Obrzydzenie wróciło się Karczewskiemu do gardła i załaskotało do mdłości. Odwrócił się zwolna ku przeczuwanemu podskórnym instynktem środkowi miasta i oddalać się począł coraz szybciej, odbijając się sprężystością od lepkich kamieni ulicy.

Gwizdnęły za nim jakieś złodziejskie hasła, skrzykiwały się nocne szakale, kasające milczkiem, ztyłu. Z kanału niechlujnej niby rynsztok bramy, wydzielił się niewyraźny brudny cień i przybierając zwolna zarys postaci ludzkiej, snuł się za Karczewskim.

Pod latarnią, pełgającą mdławo jak bielmo na oku, wyminął go ów i zajrzał mu bezczelnie w twarz. Przez moment zamajaczyła Karczewskiemu wytarta jak wiecheć morda pijacka, zmięty melonik i żuty papieros w szczerbatych zębach.

Skądś z mroków ulicy rozległo się zachęcające:

— Bier go!

Karczewski zrozumiał, że w tej wyświechtanej mordzie skupił się cały brud i cała ohyda

świata i — trzasnął w nią całym rozmachem ramienia.

Coś upadło miękkiego na lepki bruk i wsiąkło w drobne, grzązkie błoto. Karczewskiego podmuch gwałtowny porwał do ucieczki: biegł w stronę błyskających światełek, zostawiając za sobą ciemne zaułki

Padłszy na łóżko w pomiętem ubraniu, wyławiał zmęczonym mózgiem sens tego dnia. Przewracał się i wił po stłamszonej pościeli nieskończone godziny nocne, nie umiając rozplątać pogmatwanej kądzieli zdarzeń.

Kiedy czerwonymi oczami witał brudny, szary świt, siapiący przez okno jego klitki, w bezradnych dłoniach miał kłęb bardziej jeszcze zakwikłany.

Żywił cichą nadzieję, że rozwiązanie męczącej zagadki znajdzie dziś jeszcze. Zwlókł więc obolałe kości z twardego tapczana i płataniną nóg wykreślił drogę swą do ludzi, w tłum. Kiedy zjawił się w teatrze, bełkotliwy gwar przelewał się już przez balustrady i falował od chwiejących się w ciągłym ruchu drzwi, aż do ślepej ściany kurtyny.

Szarek, z błakającym się w kącie warg tłustym uśmieszkiem, wręczył mu bilet, i Karczewski, odnalazłszy prawie naosłep swoje miejsce, opuścił się w nie ciężko, jak wór.

Cała myśl jego w tych cierpkich minutach oczekiwania skupiła się w oczach rozdzierających niecierpliwie kurtynę:

— Tam zobaczy... wyróży... odgadnie...

Szmery i światła gasły pokolei, i sala spoyała się ciszą i mrokiem.

Ciemniejsze kłęby mroku zapełniały szczerze nie łoże i parter teatru, u stropu tylko migotało nieco poświaty skąpo przesączonej przez mgłę.

Karczewski czuł się zatopionym po gardło w gęstej ćmie i dyszał zmęczony, oczekując na coś niebezpiecznego i wrogiego, co miało się stać za chwilę. Z podziemi sceny wypadł ponury głos gongu i drżał długo z trwogi przed tem, co będzie. Drugie uderzenie przygwoździło Karczewskiego do miejsca, że nie marzył już o ucieczce i trwał w beznamiętnym prawie oczekiwaniu nieszczęścia. Dopiero, gdy rozsunała się zwolna ciężka draperja kurtyny, odetchnął z ulgą:

— Nareszcie choć odrobinę światła!

Scena coprawda zaledwie nasiąkała światłem, zielonem, niesamowitem światłem, ale było to lepsze niż ten duszny i gęsty jak wata mrok.

Zielonkawy ślep sceny nabierał zwolna blasku w czarnej orbicie ścian widowni.

Karczewski przypomniał sobie przeraźliwie

jasno, skąd zna ten gnijący, fosforyczno-zielony blask: takie miała oczy owa kałuża, i takim chwiejnym płomykiem pełgała zezowata latarnia w zaułku.

Scena jaśniała powoli, nie tak jednak, aby światło zakrólowało nad szwędającymi się psami mroku. Przeciwnie: podkreślało ono tylko zwarty brud ciemności i dawało się przezeń pochłaniać i rozwadniać.

Po chwili można jednak było zauważyć już zarys postaci ludzkiej, która skupiała na sobie najwięcej światła, a może nawet promieniowała je.

— Mellita! — zachłysnął się Karczewski i zagryzł wargi do przejmującego, ostrego bólu, aby nie krzyknąć głośno.

Mellita w tym złowieszczem, gnijącym świetle zaułka! W tem trupiem świetle, połykanem przez bardziej jeszcze trupi mrok.

Zwolna prostowała się szczupła, nikła postać i nabierała żywości konturów. Za kilka sekund Karczewski dojrzał jej twarzyczkę... Tak, to była Mellita, ale bardziej dziewczęca niż zazwyczaj. Wydawała się młodszą i szczuplejszą, a twarzyczka jej była pełna lęku.

Zerwała się nagle, spłoszona jakimś odległym świstem, rzuciła się olbrzymim susem trwogi w bok i spojrzała w bezlitosną zieloną

głąb zaułka. Serce Karczewskiego skoczyło także w oszalałym podrzucie i zatrzymało się nieruchomie: pamiętał ten gwizd!

Czuł, że musi w tej chwili, bez straty czasu biec jej na ratunek i zarazem wiedział z rozpaczliwą pewnością, że nie zdoła ruszyć się z miejsca.

A oto zaczęło się dziać coś potwornego:

Z najczarniejszego kłębu mroków poczęła się wydzielać zgarbiona postać z podniesionym kołnierzem płaszcza. Twarz była jeszcze ukryta, ale Karczewski wiedział nieomylnie, że z podniesionego kołnierza wychynie wytarta morda z pożutym papierosem w szczerbatych zębach.

W ponury mrok wsączyła się teraz niesamowita melodia, pieśń nocy i zbrodni. W groźnych jej dźwiękach uchwycił Karczewski śpiewane niedawno przez siebie słowa.

„W wódce niech troski zatona!”

Zerwał się z miejsca:

— Nie! nie! — waliło mu w głowie. — Nie można pozwolić!... Ja wiem, kto to jest! Ja wiem... To... to jest kałuża. To — jest noc. To — tamten z zaułka...

Szeroki ziew zdziwienia popłynął przez głowy:

— A — a — a!

Płaszcz ciemnej postaci pękł wraz z silniej-

szym akordem melodji i zza podniesionego kołnierza wyrzała twarz Mellity.

— Siadać! siadać! — sykano za nim, i ktoś pociągnął go za ubranie.

Karczewski siadł jak automat i patrzył nieprzytomnie z bólu oczami:

— Ona! ona! Z umalowaną gębą, jak tamta, z papierosem w ceglastych wargach, w pijackim, pomiętym kapeluszu!...

— Ale któż jest tedy tamta?

I nagle myśl zimna zjeżyła mu włosy na karku:

— Dwie są Mellity. Dziewka i ta... którą on kochał.

Gorączkowo, niezdarnie prosił dokoła o lornetkę i wlepił chciwe oczy w twarz Mellity, która wyrosła tuż przed nim olbrzymia niby twarz Meduzy, cyniczna, bezczelna, rozpustna...

Patrzył długo w jej oczy migoczące fosforescencją, a oderwawszy się od nich z trudem, zwrócił się z bolesnym uśmiechem do spastego sąsiada:

— Ona ma zielone oczy — zwierzył się — gnijące...

Sąsiad obrócił się ku niemu z niejakim wysiłkiem i wypuczył wole oko:

— Która?...

Karczewski obejrzał go z politowaniem:

— Jedna jest przecie.

Tłusty pan długo kombinował, aż uśmiechnął się, przymrużywszy figlarnie powiekę:

— Piliśmy?... Niech pan się przejdzie po korytarzu, tu duszno.

— Duszno — powtórzył Karczewski i naraz ucieszył się. — To można stąd odejść?

I wśród niecierpliwych sykań przedzierać się począł ku wyjściu. Odetchnął dopiero w jasno oświetlonym bufecie, mówiącym mu spokojnie o przyjemnej i sytej codzienności życia. Jego widok poruszył w Karczewskim automatyczne, codzienne odruchy: coś jadł, pił, skręcał pieczołowicie papierosa z okruchów tytoniu wygrzebanego w kieszeni...

Nie myślał jednak nic. Głowa jego była wywiana, nie znajdował w niej ani jednego ziarna myśli, tylko chmury plew i ciemnego kurzu snuły się bezsensownie.

Stracił też rachubę czasu i ocenę miejsca. Zdało mu się, że zawsze tak chodził z kąta w kąt.

W jednej z wielu podobnych chwil do bufetu wpadł niespokojny gwar i kręcił się bez celu po sali, zaglądając gorączkowo we wszystkie kąty. Tuż za nim weszli ludzie gestykulując żywo i rozprawiając głośno.

Przy oknie skupiła się gromada dziennikarzy i literatów, najhałaśliwsza ze wszystkich.

Pierwszy dojrzał Karczewskiego Sidorkiewicz i przemocą wyciągnął go z kąta. Dawał się prowadzić jak automat: witał się ze znajomymi, rozmawiał. Świątosławski wpadł na niego z przyjacielską burą.

— Cóż-to, kolego, obraziliście się na „Sprawę“?

Karczewski odpowiadał coś, ściskając mu rękę, przyczem część mózgu, która reagowała na wrażenia zewnętrzne, zaznaczyła mimochodem, że należy w odpowiedniej chwili zrewidować swój stosunek do „Sprawy“.

Zarówno jednak to, jak rozmowy z innymi, działały się pomimo i obok Karczewskiego. Główny warsztat jego mózgu zajęty był całkowicie odmienną pracą.

Nie wiadomo, kiedy znalazł się Karczewski za stołem, przy którym cała brać hucznie się rozsiadła. Naglony gwałtownymi skurczami głodu, pożerał Karczewski tajemnie sterty zakąsek, kiwając pobłażliwie głową na rzenie Sidorkiewicza, oświadczającego mu się z szerokim uczuciem przyjaźni.

Zadzwieczał naraz dzwonek i rozsypał się drobnymi, terkoczącymi kulkami, na bufet, stoliki i podłogę.

— Panowie! zaczyna się!

Nikt się nie ruszył od stołu. Karczewski tem bardziej pograżył się w ogólnym huczku, że nie miał odwagi wyjść poza obręb jaskrawego światła i zanurzyć się w ciemnię widowni.

Rzucił się w gorączkowy, pijacki wir rozmowy, kłębiącej się nad stołem.

Krzyczeli jeden przez drugiego, wypadając całkowicie ze swej roli, nawet Chacewicz śmiał się dziwnym, drobnym, trzęsącym śmiechem.

Sidorkiewicz zwrócił się nagle do Karczewskiego:

— Słuchajcie, Karczewski, pijemy bruder-szaft, dobrze?

Przepletli ręce, wypili, pocałowali się.

Karczewski zrobił się nagle i bez wyraźnego przejścia nadzwyczaj serdeczny. Całował ze łzami w oczach Sidorkiewicza i gadał coś bez ustanku, chcąc zagłuszyć krzyczące w nim myśli:

— Uważasz, Bronek, ty jesteś artysta. Ja... wiem, ty jesteś artysta...

— Głupstwo—bełkotał Sidorkiewicz—niema, bracie, artystów... wszystko uwa—asz... szulery... szulery — powtarzał z uporem — ja jestem szuler, i ty jesteś szuler i on... i on... i on...

Tykał ponuro palcem przed siebie ukazując

jąc pokolei Szarka, Chacewicza i Świętosławskiego...

Szarek się zmarszczył i zabulgotał:

— Ty — może być, ale ja nie.

— Nie? — zdziwił się samten — no... to się napij ze mną, bo uwa—asz... niema artystów... bracie!

Świętosławski śmiał się przyjemnie i zawiadamiał wszystkich pokolei:

— I ja się napiję! A... a jakże: napiję się!

— Ale „niedźwiedzia“! — ogłosił ponuro Sidorkiewicz.

— Cóż to za „niedźwiedź“? — ironicznie mruczał Szarek.

— Już ja... przyrządę! — mruczał Sidorkiewicz, ustawiając dwie szklanki — ja... urządę...

Drżącą ręką nalewał piwa ze skupioną twarzą profesora chemji, potem wódki, koniaku i wreszcie likieru.

Płyn zmieniał coraz barwę i wkońcu przekształcił się w obrzydliwą już z wyglądu szarawą bryję. Sidorkiewicz podsunął szklankę Szarkowi:

— Jak nie jesteś... szuler... to się napij... i tego, psiakrew!

Szarek skrzywił się, ale spojrzawszy na przechylonego groźnie przez stół Sidorkiewicza, wziął szklankę do ręki.

Wychylili obaj jednocześnie.

Sidorowicz skrzywił się tylko paskudnie i zaczął szperać między przekąskami. Zato z Szarkiem stało się coś dziwnego: ów „niedźwiedź“ był znać ostatnią kroplą w jego całodziennem pijaństwie: oczy zawróciły mu się wtył, ukazując żółtawą podszewkę białka, ręce trzepały się bezsilnie, nie znajdując oparcia, a usta chwyciły łapczywie powietrze.

Pijackie towarzystwo wybuchnęło śmiechem i nie zamyślało pomagać delikwentowi.

Wreszcie Szarek zakrztusił się gwałtownie, zachrząkał, przełknął jakąś zakąskę i otworzywszy tłustą gębę wysadził obrzydły, żółty ozór.

Towarzystwo ryczało, piszczało, trzęsło się i tupało nogami.

Szarek chwilę patrzył na nich z podelbą, potem uśmiechnął się głupkowato:

— Ja... ja... nie jestem szuler — śmiał się wewnętrznym tłustym śmiechem — ja jestem... artysta!...

Sidorkiewicz krzyknął do niego z za butelek:

— Ty?... ty jesteś artysta?... Niby dlaczego?...

— Dlaczego? — śmiał się idjotycznie Szarek — a... a na przykład ten wieczór sztuki... chorao... chorau... choreografi-icznej? To przecie.. mój pomysł...

Karczewski zaczął się w sobie i drżał jak

przed drapieżnym skokiem na ofiarę. Nie mówił nic i usunął się z pola widzenia Szarka.

Świętosławski nachylił się tajemniczo do ucha Szarkowi i szeptał na całą salę:

— To nie twoja zasługa, Szarek, tylko Mellity... o!

— Mellity! — szepnął w assyryjską brodę Chacewicz.

Karczewski wpatrywał się wściekłym wzrokiem w zamilkłe nagle towarzystwo i nizał na pamiętliwą nieć zemsty obłeśne uśmiechy.

Sidorkiewicz powalił się całą masą swego zdrowego cielska na ramię Szarka i ział mu w twarz:

— Słuchaj... Szarek... psia ci mać... drogo ci kosztuje to... — kiwnął głową w nieokreślonym kierunku.

Towarzystwo stropiło się nieco, mimo gęstych oparów, kłębiących się we łbach. Świętosławski prychnął i bełkotać jął niezbyt wyraźnie:

— Uwa—asz, Sidorkiewicz... w ten sposób o kobiecie...

Sidorkiewicz odpychał go, nie patrząc nawet w tę stronę i walił się coraz bardziej na roześmianego obłeśnie Szarka. A ten czkał raz po raz, drgając wypuszczoną kamizelką i uśmiechając się bezmyślnie.

Chorągiew na dachu.

— A żebyś wiedział! — mrucał. — Ale mnie stać na to... Bo i Mellita to nie taka zwyczaj...

Szerokim rozmachem rozjuszona ręka spadała nagle na twarz Szarka i plasnęła miękko, wkłęśle, jakby trafiając w gliniastą, galaretowatą masę.

Drugi rozmach przewrócił Szarka wraz z krzesłem i wbił go pod stół, między porzucone butelki, rozlane wódki i odpadki jedzenia.

Stało się to tak szybko, że pijane łby ledwie po chwili wyłupiły oczy na stojącego nad Szarkiem Zbigniewa.

— Oby...ywatelu — jęczał Świętosławski — zwróćcie uwagę...

Ale Zbigniew nie zwracał uwagi, dysząc, nachylił się nad pełzającym na kolanach Szarkiem.

— Jak honor szanuję — zahuczał naraz bas Sidorkiewicza — ten młodzian broni przedmiotu...

Zbigniew zwrócił się ku niemu tak błądy, że Sidorkiewiczowi spelzły z ust kpiące słowa. Odsuwając się nieco, mruknął:

— Ależ, sąsiedzie... kiedy ona naprawdę jest u Szarka...

Przerwał mu przeraźliwy trzask butelki. Zbigniew, huknąwszy o stół, zatoczył się ku drzwiom.

— Ale swoją szosą, impet ma — kresowy! — huknął Sidorkiewicz, wyciągając Szarka z pod stołu.

A Zbigniew biegł naosłep, prowadzony dziwną mocą instynktu, który wskazał mu małe drzewiczki przy orkiestrze i powiodł przez ciemne schodki za kulisy.

Owionęła Zbigniewa woń fałszem przepojona i szminką, podniecająca i drażniąca.

Potykał się wśród stosów rupieci, porozrzuconych tu i ówdzie, wstrętnych i zbytecznych teraz, gdy znalazły się poza oświetlonym czworobokiem sceny. Równie zbyteczni i niechlujni byli ludzie wałęsający się wśród tego rumowiska. Wszak dopiero wyjście na scenę tworzyło koronę z wyświechtanego kawałka błyszczącego papieru, a króla — z opasłego pijaka, o bezczelnej mordzie.

Zbigniew roztrącał ludzi i rupiecie, kołując wśród płaskich skał i rozpiętych na płótnie drzew w stronę, gdzie wyczuwał serce tego brudnego wnętrza — garderobę.

Kiedy jednak stanął przy drewnianej ścianie, nie myślał jeszcze, iż jest u celu. Ocknęły go dopiero jazgotliwe, piskliwe ujadania ni to pinczerków pokojowych. Zatrzymał się tedy z bezwonnymi garściami, które obciągały mu ciężkim zwisem węzły ramion. Długą chwilę obracał skołowaciałym mózgiem, nim go nastawił na ton odpowiedni i mógł rozumieć, co się działo.

Ale wtedy przeszła go tak jaskrawa, tak przeraźliwa ostrość widzenia, iż wydał się sobie prawie jasnowidzącym. Znał już tajemny cel istnienia tych mrocznych wnętrzności, przeznaczał ich wartość do głębi i uśmiechał się mądrym, zimnym uśmiechem. Wiedział jeszcze jakąś większą, jedyną prawdę, choć nazwa jej wymykała się z pod ręki. I z tym samym wiedzącym uśmiechem słuchał głosów z drewnianej budy, prześwitującej złocistymi talarkami sęczków.

Tak, to była Mellita...

Słyszał jej głos, ten nie na scenę, ale na garderobę życia przeznaczony. Słuchał go uważnie, ucząc się jego tonu, badając go zimno. Taką więc była, gdy nie patrzył na nią wzrok mężczyzny.

Zbigniew powoli, spokojnie otworzył drzwi.

Pisnęły zgodnie trzy czy cztery głosy, i nerwowe, drażniące śmieszki zachichotały z za sukienek i szmatek, któremi się pookrywały na prędcie.

— Nie można! nie można!

Mellita go już dojrzała i kaprysiła uroczo.

— Panie Zbychu! Noo! Proszę sobie iść!...

Śmiał się bezgłośnie Zbigniew, patrząc na nią. Rozczochrane niby w furji włosy, nie licowały zgoła z buziaczkiem „w ciup“ wycią-

gniętym, a pot spływający po szmince podkreślał istniejące zmarszczki, dodając do nich nowe.

Zamknął starannie drzwi i odchodził.

Kiedy już był przy schodach, skrzypnęły znowu, i dogonił go głosik:

— Panie Zbychu!

Nie zatrzymał się ani na sekundę. Nie drgnął w nim żaden nerw, żaden mięsień nie zawahał się, oddalając go miarowym krokiem od kulis, które mu pokazały się tak wyraziście.

Jakiś znajomy pan, z poważną łysiną zagadał jowialnie:

— Oglądał kolega „kuchnię“?

Zbigniew zatrzymał się z przyjaznym, zdawkowym śmiechem:

— Dzień dobry panu. A tak „kuchnię“.

Od szeregu długich dni świat wchodził do niego tylko raz na dzień, przybierając postać mrukliwej stróżki. Nie kwapił się też Zbigniew ku porozumieniu z tem wszystkim, co przechodziło koło jego domu, monotonnie człapiąc w błocie ulicznym.

Zaopatrzwszy się w zapas obrzydłego „drejkenigu“ czy innej złośliwej machorki, osnuwał się chmurą gryzącego dymu, siedząc na skołatany tapczanie.

Starał się nie widzieć otaczającej nienawiści ścian i mebli, mimo, iż nie opuszczały żadnej sposobności, aby mu ją okazać.

Łąkł się w nim tylko wstręt tem większy, że czuł w sobie zastygłą w niekształtnej bryle gorzką masę, której bał się dotknąć, aby go nie zatrula całego swemi wyziewami.

Był to otoczony zwątpieniem wielki bakcyl gruźliczny, którego sen zapewniał chwilowy

spokój. Kiedy jednak próbował myśleć o czemkolwiek innem, czuł natychmiast z trwożną pewnością, że czegoś brak w jego myślach, że są one kalekie, niedołężne lub zgoła fałszywe. W chwilach tych rozumiał, że nie może pominąć owej stwardniałej bryły, że musi podjąć z nią walkę i usunąć ją lub zalać się cały materją, która z niej pęknie. A nie miał dość siły. Siedział więc skurczony jak ranione zwierzę, lub włóczył swój harpun za sobą po pokoju.

Któregoś dnia swego pustelnicstwa uczuł nieznośne skręty wewnątrz siebie, jak gdyby zwinęta dotychczas sprężyna rozwijała się, kalecząc ściany kiszek. Spróbował — jak to robił od pewnego czasu szukać niecierpliwe podrzuty letnią wodą z dzbanka i dymem papierosa.

Bolesne ssanie małego pyszczka ustąpiło nieco, a po chwili uczuł nawet niezwykłą lekkość i sprawność swego ciała. Mógł kurczyć się do niewidocznego prawie punktu w przestrzeni i rosnać, dosięgając olbrzymich kształtów. Powierze stało się o wiele spoistsze w stosunku do ciała: można było unosić się na nim i opadać w rytm falowania podłogi. Nieprzyjemne było to tylko, że głowa szybko kręciła się dookoła swej osi, przybierając nienaturalne pozycje.

Pokój zachowywał się obojętnie, a nawet

podziwiał niby zdolności osiągnięte przez Karczewskiego. Ów podziw jednak objawiał w formie, o której wiedział, że denerwowała Zbigniewa. Mianowicie całem swem wnętrzem, niby szumem muszli ciągnął monotonna: „a-a-a-a!“ biorąc coraz wyższe tony i wwiercając się w ucho.

Zbigniew znalazł jednak na to środek; trzeba było wsłuchać się w cichy stukot robaczka, tocącego drzewo. Nie słyszało się wtedy ironicznego podziwu koślawej klitki.

Zczasem kołysanie podłogi, a z nią i łóżka stało się zupełnie przyjemne. Szczególniej wznoszenie się dostarczało miłej emocji, a wystarczało dotknąć ręką brzegu łóżka, aby wahanie na moment ustawało.

Mógłby też w każdej chwili wprost wznieść się w powietrze, gdyby nie lenistwo słodkie, które go opanowało. A za tą lekkością ciała, przysła lekkość i ostrość myśli, którą z radością zauważał. Mógł nią rozcinać niby mieczem wszelkie, najbardziej zawiłe węzły.

Nie rozcinał jednak nic: wystarczało mu radosne poczucie tej świetnej ostrości miecza, kryjącego swą skoncentrowaną moc w pochwie ciszy.

Nie tworzył też nic, choć czuł w sobie wszelkie możliwości: był niby zwarzjowany rzeźbiarz, który patrzy urzeczony w blok marmuru, kryjącego w sobie setki i tysiące rzeczy niestwo-

rzonych. Jeden posąg wykuty staje się przecie jednym tylko posągiem i martwieje, jak wszystko, co już się stało.

Niewiadomo ile czasu upłynęło, gdy wzrok jego padł na niewyraźną, plamę drzwi i począł na niej tworzyć projekcje obrazów myślowych. Był to najwyższy stopień potęgi; Karczewski wiedział o tem, ale nie pysznił się tem: była to rzecz naturalna dla niego.

Projekcje tworzyły się zresztą nie pod nakazem myśli, ale według praw sennych obrazów: dowolnie i kapryśnie.

Dlaczego naprzykład teraz ujrzał postać owego malarza o płowej czuprynie? Nie myślał chyba o nim od czasu, gdy go widział wówczas w redakcji. Potem jednak zaczęły się dziać rzeczy jeszcze dziwniejsze: drzwi się poruszyły, znikły, znowu ukazały się, i postać malarza nabrała konturów bardziej wyrazistych.

Zbigniew stwierdził z uśmiechem, że jednak mara senna może posiadać rysunek bardzo przejrzysty. Obraz ten mimo, że trwał już zbyt długo, nie drażnił go: w każdej chwili można przecie przestać go śnić.

Malarz stał chwilę w progu, poczem zbliżył się nieco do łóżka, i wokoło niego zahaczało niewyraźnie:

— Cóż wy, kochasiu?

Ten dudniący hałas podrażnił Zbigniewa, i postanowił sobie śnić o czem innem, ale malarz nie znikał.

— I tak bywa — tłumaczył sobie cierpliwie Karczewski. — Odsuwa się sen, a on wraca. Muszą być jakieś prawa...

— Cóż wy, kochasiu — dudniło znowu — zniknęliście jak senna mara?

Zbigniew uśmiechnął się, zważywszy komizm sytuacji i bezczelność własnego snu, który usiłował odwrócić rolę.

— Czytałem coś takiego — przypominał sobie.

Słuchał zresztą i patrzył dalej z pewnem zainteresowaniem.

Malarz patrzył na niego podejrzliwie dłuższy czas poczem zniknął z pola widzenia, i słychać było jego głos odbijający się w studni klatki schodowej:

— Pani dozorcyni! Hop, hop!

Z dołu przypłynęło:

— A cego tam? Drze się, jak...

— Niech pani przyjdzie na nasze szczyty. Złożymy konsyljum.

— Także-ci!

Po chwili słychać było cichszy nieco głos malarza.

— Uważa pani, kolega zdaje się zachorował...

— No, pewnie. Od wody i papierosisków zdrów nikt nie będzie.

— A co! Trzebaby coś dać do zjedzenia...— sentencjonalnie zauważył malarz.

— Hale! — potwierdziła ironicznie baba.

Malarz spojrzał na nią grobowo i sięgnął do przepaścistych kieszeni. Przeszukiwał je pokolei, nie spuszczać groźnych oczu ze stróżki. Wreszcie wygrzebał kilka miedziaków i wcisnął je stróżce pańskim gestem:

— Tylko raz-dwa! — rozkazał.

— A...a — zawahała się.

— Co znów?

— Bo tam jest dług u tego sklepikarza, bo pan brał na kredyt, a...

— Kobieto! — uroczyście rzekł jej malarz — zali w mieście naszym jeden jest sklepikarz? zali nie rozmnożyli się oni jako stworzenia nieczyste?

— Niby... żeby u innego wziąć? — wyciągnęła praktyczny wniosek stróżka.

— Intuicja jest potęgą kobiety! — mruknął basem malarz.

Stróżka patrzyła z przejeđnanym uśmiechem na bary dryblasa.

Za chwilę jednak znów otworzyła drzwi:

— A cego kupić? Bo jak chory...

— Czego — zafrasował się olbrzym — a no... czy ja wiem?... chyba...

I nagle z determinacją:

— Wódki i serdelków.

Przez cały czas Zbigniew leżał nieruchomy, uśmiech tylko znikł mu z twarzy: bas malarza i gderliwy głos stróżki wdzierały się w jego zamkniętą niby szklana kula świadomość i budziły dziwne wątpliwości.

Zmarszczył brwi. Ciężko było wychodzić z głębokiego leja, dążąc do małego krążka światła tam, u góry... Krąg stawał się z każdą chwilą większy, i światło coraz bardziej raziło oczy. Wreszcie ostra jasność stanęła przed nim, i kula pękła nagle.

Tuż koło swej twarzy zobaczył deseń ściany, w którym dopatrywał się zwykle profilu mnicha w wysokim kapturze. Przypomniawszy sobie, że jest to właśnie deseń w jego pokoju, w domu numer... przy ulicy...

Dalej poszło już inne: zobaczył palto swoje na gwoździu, miednicę, dzbanek... Uświadomił sobie zupełną swoją bezwładność (lekkość znikła bez śladu) i takie dziwne ściśnięcia wewnętrzności, jak gdyby stały się one konwulsyjnie zwartą piastką dziecka.

Malarz rzucił na niego okiem i zagadał:

— Poznajecie mnie? Artur Makowski.

Zbigniew uśmiechnął się twierdząco, a malarz ciągnął dalej:

— Szarpnęło was trochę, ale to nic. — Zaraz zakąsimy...

Z radosną ulgą chorego dziecka, którem się opiekują, słuchał Zbigniew słów malarza.

— Ale z was to numer! — huczał tamten. — Zamknął się i ani dudu, nikogo nie puszcza. Myślę sobie: to ty pewnie, kochasiu, głodujesz. I okazało się — moja prawda!

Wróciła stróżka z zapasami, i malarz zaczął gospodarować na dobre.

Odsunął przedewszystkiem wstydliwą firaneczkę i skompromitował lokal kolegi, obnażeniem małej kuchenki. Napakował jej też zaraz pełne gardło papierów i szczapek — gotował herbatę. Stał nad parującym czajnikiem z wyciągniętymi rękoma i basował uroczyście:

„Kwasorody, kwas węglowy

Zlewam w kocioł platynowy...

Dmijcie duchy“!

Zbigniew śmiał się cichym, radosnym śmiechem, kiwając z politowaniem głową.

Malarz zaś z powagą alchemika dolewał alkoholu do brudnej szklanki i niósł w wielkich niezdarnych łapach wytwór swego kunsztu. Ostrożnie dmuchając poił Zbigniewa tym odwarem i karmił skrobany serdelkiem.

— Mógłbym być akuszerką, co? — huczał.

Zbigniew uśmiechnął się do niego tak szczerze i całkowicie, jak może nigdy jeszcze w tem mieście obcem. W uśmiechu tym otworzył bez

nieufności całego siebie. I naraz między jednym łykiem a drugim objął malarza serdecznie i wymamrotał coś niezdarnie serdecznego.

Malarz zakaszał się gwałtownie i chciał widocznie wysilić się na stosowną do sytuacji odpowiedź, ale po kilku niewyraźnych bąknięciach zrezygnował i huknął:

— No, i tego, kochasiu... Mów mi Tunek poprostu.

Potem się nieco zawstydył, widząc oczywisty brak związku swej odpowiedzi ze słowami Zbigniewa. Ale Karczewski znalazł znać jakąś więź, bo uściśnął mu serdecznie rękę.

Rozmarzony dziwnem ciepłem idącym od wnętrza jego chłodnego dotąd ciała, Zbigniew zapadał w cichy sen, po którym zbudził się znacznie silniejszy. Tunek był znowu przy nim i z huczną radością witał jego zmartwychwstanie. A kiedy Zbigniew zaciągnął się z rozkoszą pierwszym papierosem, malarz zadeklamował niemożliwym akcentem:

„Drei Tage der Frosch war krank.

Jetzt raucht er wieder. Gott sei dank!“

I zaraz objaśnił:

— Dlaczego żaba ma palić—nie wiem, ale tak mi mówił jeden felczer, żydek, że jak ktoś po chorobie pali — to dobry znak.

Jakoż dziwna diagnoza malarzowego żydka

sprawdziła się: Zbigniew przespawszy około czterech godzin, wstał i naciągnął na siebie szaty.

— Alem wysubtelniał! — ironizował oglądając się w lusterku.

— A tak — przytwardził Tunek — „szcerniał, schudł, ale dziwnie wyszlachetniał. Ten przed rokiem swawolny, ładny chłopczyk mały“ i tak dalej... Ale, wybacz, co ci strzeliło do łba?...

Jeśli komu to jemu właśnie mógłby Zbigniew powierzyć swój gorzki ból. Te jasne oczy były dlań ulgą i otuchą. Ale kiedy z determinacją sięgnął do najgłębszej pieczary, gdzie owa zastygła bryła oczekiwała swej chwili — już nic tam nie znalazł. Aż zdziwił się nikłością goryczy, sądził, iż bardziej nadgryza ona duszę. A był w nim tylko wielki spokój.

Płynęły dnie za dniami, a Karczewski obracał jeno ku słońcu swoje chłodne ciało i sycił się jego ciepłem. Zatulne, wygodne samolubstwo tak ogarnęło godoszczętnie, że nie widział prawie obok niego istniejącego życia, nie wiedział czy malarz jest i jak jest. Nie ucuwał i nie zauważał gospodarnej opieki tamtego, przyjmował całość bytu za jedną ciepłą spójnię i nie przyglądał się jej zbyt dokładnie.

W początkach marca śnieg zaczął brudnieć i tajać, posłyszawszy z rozmokłych pól wieść o cieple wiosennem.

Tunek zaczął teraz wystawać w oknie i patrzeć ponad dachami miasta w zamglone pola i chwytać w nozdrza rozwilgły zapach wiosny.

Wreszcie któregoś dnia obładował się stalugami i ruszył z domu, a za nim powłókł się Zbigniew. Mijali niecierpliwie brudne kamienie, sterczące nad brudnymi uliczkami, które mało jeszcze lub nie zgoła nie wiedziały o wiosnie. Minęli potem rozwalone, drewniane budy przedmieścia i wyszli w pole.

Wielkimi krokami rypał olbrzymi malarz przez rozmiękle skiby, a w wielkie ślady jego stóp wstępował machinalnie Zbigniew. Doszli nad ołowiane fale rzeczki, bulgoczące gniewnie od głębi w ramach słabiutkiej, nieśmiałej zieleni.

Zbigniew, porzucony gdzieś na pniaku, patrzył na pracę malarza, który szerokimi rzućkami zaznaczał plamy obrazu.

Leniwa bezmyślność Zbigniewa tajała zwolna w ogrzewających promieniach.

Zwrócił powoli oczy na rozstawionego mocno w korzeniastych nogach malarza budującego swoje dzieło: zazdrośnym okiem badał jego zwartość w jednorodnej bryle wykutą.

Kiedy obrócił oczy w głąb siebie, dusza jego poruszyła się ze snu zimowego. Kopał teraz w sobie głęboki kreci korytarz, odrzucając niecierpliwie zewnętrzne okrucy i piargi. Staczały

się jednak z powrotem pod nogi, przypominając się nawyrywki: „A ja? a ja?“ Nie mógł wśród tego usypowiska odnaleźć rdzennej skały, stanowiącej fundament jego duszy.

Mozolnie skręcał na wszystkie strony zeszywniały jeszcze kark, usiłując rozpoznać drogę i zrozumieć, gdzie się znajduje. Odgadywał swój stosunek do otaczającego świata, ale do zupełnego, jasnego rozwiązania dojść nie mógł.

Oto na przykład człowiek wiąże nic trwałą między sobą a słabiutkim szkicem zieleni, tworzącej się po za nim. A jakiż jest jego, Zbigniewa, stosunek do tej rzeczki, do pnia, runi zielonej?

Pytał tak i nie znajdował odpowiedzi.

A tuż obok niego działo się coś młodego i pewnego. Tworzyło się nowe dzieło, którego nie było dotychczas w całym wszechświecie. Dzieło rzeczywiste, a wyższe ponad zwykłą rzeczywistość, bo promieniejące z siebie zawartą moc człowieka.

Zbigniew uczył w sercu ciepły przypływ niezrozumiałej wdzięczności dla tego olbrzyma:

— Tunek?

— Hę?

Karczewski z porozumiewawczym uśmiechem wskazywał brodą na obraz.

Chorągiew na dachu.

— Ano, jakoś wychodzi — mruknął malarz z niedźwiedziem ukontentowaniem.

— Tunek?

— He?

— Zrób mnie...

Tunek obejrzał się na niego:

— Ciebie? Ano... dobrze... — Ale skąd ci to?... —

— Widzisz... widzisz... — błąkał się odwykłym językiem — to jest ważna rzecz...

— Olejno?

— Co? — zdumiał się niepomierne Zbigniew.

— No, pytam się, czy olejny portret, czy... — malarz patrzył niespokojnie na skrzyw twarzy Zbigniewa.

— Ja nie o to — wykaształ wreszcie Karczewski — myślałem tylko. — Zagubiwszy się oczami po czystych chmurach, zapomniał już o czym mówił: leniwie jeszcze obracał się jego znużony mózg. Zabłąkał mu się teraz wzrok na rozpięte płótno:

— Jak tak malujesz, to co? — zapytał.

— Jak maluję? — zdziwił się Tunek. — No, to maluję... Wywnętrzam się... czy jak tam...

— A... — mocował się Zbigniew — teraz rzekę malujesz?

— No... rzekę...

— Ale ta rzeka zostanie?

— No, a coś chciał? — zaśmiał się tamten.

— Tu przecie nic jej nie zmienisz, nie zapanujesz?...

— Pewnie!...

Cisza sunęła koło nich po delikatnym błękiecie.

— A wiesz, Tunek, że w średnich wiekach, strzelali do portretów?

— Strzelali?...

— No, albo tam szpilką w serce... Jak malarz chciał się zemścić, to malował portret i przebił go, a ten człowiek umierał — nieskładnie tłumaczył się Zbigniew.

— E, banialuki! Chociaż — może... Jaksa wierzy.

— Kto?

— A jest taki... Jaksa się nazywa. Teozof czy tam okultyk...

Na drugi dzień od rana zasiedli do portretu.

Malarz przejął od Zbigniewa milczącą uroczystość: stanął naprzeciw niego i patrzył przenikliwie.

— Widzisz mnie? — pytał Zbigniew.

— Uhm. Tylko... czekaj, tło musi być ciemniejsze...

Zbigniew porzucił i zaniedbał całe ciało w odrętwieniu bolesnem, aby wydobyć na jaw istotny rdzeń ducha. Siłował się z nalotem mętnym, obsiadłym wszystek jego świat; rozdzierał

go mozolnie, szarpał rozpaczliwie jego ciągliwe sploty.

Ale też docierał zwolna do jasności. Czuł, że coś w nim okrzepło i przepaliło się z rudy kruchej na czystą, zwartą bryłę metalu.

Wreszcie zaczął widzieć: na głębokim fiolecie i granacie skłębionego cielska chmur, pierśią pochyłoną prujący fale wiatru, idzie po bryłowatej ziemi.

Tak. Tak właśnie: mimo wszystko idzie i mimo wszystko siły szuka.

Zapamiętał się w tej walce z niewidzialną siłą wiatru, w piersi całej czuł radosną omdlałość zwycięskich mięśni, parł naprzód i zwyciężał i panował. Największą bowiem radością jest przymierzenie swej mocy do mocy innej, aby swą wartość potwierdzić i bawić się swobodnem tej mocy użyciem.

Mimo więc obolałości szermierczego ciała szedł a szedł, mocując się i przemagając, póki nie ocknął go głos:

— No, zobacz. Zresztą musisz być zmęczony?...

Słodko omdlałym krokiem posunął się Zbigniew ku stalugom.

Długo stał, żując bezmyślnie w zębach jakieś pytania niepewne, nim plamy obrazy uło-

żyły mu się w oku i starały się o bryłowatości swej przekonać.

A więc tak, to był portret. Nawet zdaje się dość podobny. Tło ciemnej kotary, twarz w ciepłych kolorach, kołnierzyk, kłapa marynarki... Stanowczo, bardzo podobny. Tylko, że Zbigniew tak się zmęczył, że już nie mógł pozować i zapadł się w fantastyczne wąwozy otomany. Palił obaj w milczeniu, kierując uważnie koła i strumienie dymu. Z niego też wypływała się leniwa gawęda:

— Tunek...

— Hm?

— Czybyś mógł taki portret... no, taki jak ktoś jest naprawdę?

— Nie podoba ci się mój?

— Nie, ja nie o to... Tylko widzisz, żeby taki portret jak... ktoś ma duszę. Portret duszy. Albo jakim ten człowiek powinien być.

— E, to już literatura. Tematy, fabuła. Ekspresjonizm z dyskusji narodzony.

— Nie, Tunek... bo ty tak jakoś... po wierchu. Ale pomyśl — przecież chodzi o moc władania.

— Skąd? Artyście chodzi o przesianie przez siebie świata, jak przez pryzmat tęczy. O wyłanie tego, co świat w niego kładzie — jeżeli

ci już o teorii chodzi. A najprawdziwiej — to malować, jak się widzi.

Zbigniew patrzył na niego uważnie, gdzieś tuż nad brwiami i szukał mozolnie czegoś w sobie:

— Wiesz, Tunek... wiesz, że we mnie wcale niema... że ja nie jestem artystą...

— Ale, cóż ty? Każdy ma swoje zdanie...

— Nie, nie! Ja wiem. Ty masz rację. Myślałem... o, ja wiele myślałem... Myślałem, że tego szukam, Sztuki, a ja nie...

Tarł niespokojnie czoło, wyrzucając z siebie te boleśnie zaskrzepłe słowa. Wiedział, że idzie, ale dawne drogi wsiąkły przed jego stopami w piach pustyni, a napróżno wyteżał oczy, nowych szukając...

W cichem a dyskretnem uszanowaniu obchodził go teraz Tunek, bezradnie na jego szarpania patrząc. Bo zbudzony w Zbigniewie ruch kłębił się i parł, a przejmował go ból nieuświadomienia i bezcelowości.

Cisza niecierpliwa kołatała się teraz między płótnami niedokończonych „natur“ i bolesnych ułamków twarzy, nie umiejących zdobyć się na moc do tworzenia całości.

Przeszło wiele dni nijakich, dni, które barwy nie miały.

W gęstej ich szarzyźnie bezradnie szamotał się Karczewski. Chodził teraz z kąta w kąt po pokoju, niepotrzebnie zaglądając w kąty, przesuwając obrazy, grzebiąc w stertach rzeczy rzuconych bezładnie za szafę lub kanapę.

Zaledwie jednak wydobył szkic przekreślony lub kawał materji — rzucał go zawiedziony i znowu włożył się wkoło.

Raz przysiadł dłużej w którymś kącie i ucichł nieruchomo.

— Co ty tam? — oderwał się Tunek od roboty.

Dziwnie skrzywioną twarzą obrócił się ku niemu Karczewski. Trzymał w ręku dziecinną książkę o Indjanach, jakiś „Duch“ czy „Wygnaniec puszczy“. Książka była rozkrzyczana ja-skrawością niechlujnych obrazków, a na brzegach albo i wprost na środku kartki kłębiły się bezładnie rysunki niewprawną ręką rzucone.

Tunek uśmiechnął się wstydliwie:

— A... to, widzisz, moja pierwsza książka... Na niej zacząłem malować... Te rysunki tam... popchnęły mnie...

Karczewski kiwał głową.

— Wiem, wiem. Odrazu wiedziałem: to cię popchnęło, i odrazu trafiłeś... I tak aż dotąd...

Uważniej spojrzał na niego Tunek:

— A cóż ty?

— Ja? — Karczewski odszedł ku oknu i nie odwracając się — Pamiętam, byłem wodzem indyjskim. Na starym orzechu schronisko tajemne, łuki, oszczepy. Potem marynarz: połamałem wszystko, tratwę na stawie zbijałem. I znowu ułan i znowu rycerz. I tak...

Machnięciem ręki rzucił to wszystko między stare rupiecie, leżące za szafą. Nie odwracał twarzy od okna.

Tunek szedł ku niemu powoli, przekładając barwny pęk pendzli z ręki do ręki:

— No, tak, widzisz — mruczał — ale cóż tam... Każdy chłopiec...

Zgrzytnął Karczewski fałszywym śmiechem po szybie:

— I teraz nie wiem, czym Indjanin, czy marynarz, czy ułan...

Krzuszył się malarz w niezaradnych gestach, wytrząsając kolory ze swych кіści:

— No, tak, tak. No, tak, Ale zawsze-ć... zawsze... Szukałeś...

Nagłym porywem uściśkał Karczewski jego pstrokatą od farb bluzę;

— Bóg ci zapłać, Tunek! Bóg zapłać...

A ten rubasznym śmiechem, pokrywając drganie łez:

— E, bo się krzywisz jak zmokła kura. Grunt się nie przejmować i tego...

I nagle olśniony myślą:

— Chodźmy do Jaksy!...

— Cóż on?

— Zobaczysz... zwarjowany chłop, ale coś widzi innego, niż my.

Gorączkowo zakrzętał się Zbigniew:

— Chodźmy, chodźmy.

Biegli po grząskim śniegu, stłamszonym na błoto brudnem człapaniem wielu nóg. Samotna latarnia stała wystraszona na rogu ulicy, pełgając nerwowo anemicznem światelkiem na widok niespodzianego przechodnia.

Niechętnie patrzyły na nich wąskie uliczki i groziły co chwila zamknięciem i tak wąskiej drogi. W pewnej chwili zastąpiła im rzeczywistość poprzeczna kamienica, ślepa do wysokości pierwszego piętra, niby mur więzienny. Przesmyknęli się jednak ciemną kiszka przechodniej bramy i nagle wychynęli na ruchliwej,

widnej ulicy. Z niejakim trudem znaleźli sobie miejsce w nieprzerwanym prądzie ludzkim, który pełzał w dwóch kierunkach, dwoma glistami, ocierającymi się o siebie. W świetle lamp i witrzyn sklepowych huczał monotony gwar. Od czasu do czasu, wytryskał fajerwerk śmiechu.

Odwykły słuch Karczewskiego drżał boleśnie od turkotu i gwaru bijącego jaskrawo i przevalającego się w kłębach przez uszy.

Odetchnął z ulgą, gdy z cichym sykiem zamknęły się za nim ostrożnie wielkie drzwi, i dyskretny dywan podawał ich coraz wyższym stopniom.

Na zakręcie padły im pod stopy kolorowe światelka witraża. Przez nozdrza przesunęła się tak bardzo znana woń kadzidła, i zaboląła w sercu tęsknota za czemś minionem, a tak wrośłem w duszę.

Zaledwie błyskiem przelotnym zdołał pomyśleć Zbigniew, że w tym domu rude światło uliczne przesiewa się w tę barwną, witrażową tęczę. Czy nie takim oknem winno się być dla rudej latarni świata?

Malarz zapukał w specjalny sposób, i drzwi otworzyły się same. Zdziwione oczy Karczewskiego, szukając kogoś ukrytego w ciemnym korytarzu napotkały uśmiech Tunka:

— A widzisz!

I odpowiedziały cicho:

— Więc cóż to?

Ale trzeba już było wejść w drugie drzwi.

Objęły ich półcienie i półświatła sączące się z małej różowej lampki gdzieś w kącie zakwitłej. Tu już wyraźnie snuł się zapach kadzidła. W nierównych pełganiach lampki wylańwały się z mroku szale porozwieszane na ścianach, ciemny posążek na małym stoliku jakby w ołtarzu osadzony, świeczniki, nieco broni wschodniej...

W monotonnym drewnianym stukocie chwiało się przed nimi niewyraźny kształt: odchyłał się daleko wtył i skłaniał ku przodowi, jak gdyby miał paść na kolana.

Stali już dobrą chwilę, i Karczewskiemu biegały drobne igielki po skórze: rozumiał, iż jest świadkiem niesamowitego obrzędu.

Tunek nachylił się mu do ucha:

— On tak całymi dniami kołysze się w fotelu.

Podeszli bliżej, i Tunek zagadał, próbując nieco zmatować swój bas:

— Dzień dobry. Pozwoli pan... przyjaciel, Karczewski, poeta.

Wtedy ujrzał Karczewski dziwną śpiczastą głowę, ogoloną zupełnie, i duże złote okulary.

Jaksa nie podał im ręki, kiwnął się tylko krzesłem i powiedział:

— To dobrze.

Koloryt jego głosu miał coś cudzoziemskiego. Zdawałoby się mogło, że to mieszkaniowiec innej planety raczy mówić tutejszym językiem.

— To dobrze — powtórzył. — Każdy poeta. Niektórzy więcej. To dobrze.

Karczewski z trudem nałamywał się do światła i dźwięków, panujących w tym świecie.

I naraz, niespodzianie dla samego siebie, wyznał otwarcie:

— Nie jestem wcale poeta. Nie wiem, kto jestem.

— Szuka — usprawiedliwiał go Tunek.

Stali obaj przed Jaksą, oczekując wyroku.

— To dobrze — przemówił ten swym dziwnym głosem. — Ciągłe szuka. Każdy. Ale prawda — jedna.

Karczewski wysunął się naprzód i stanął w promieniu jego oczu.

— Pan wie — mówił szybko, potykając się niezdarnie i czując, że głupie słowo „pan“ nie pasuje do tego człowieka — pan wie. Niech pan powie. Ja...

— Prawda jedna — mówił Jaksza — wiara i wiedza. Ludzie podzielili i gubią. Nie trzeba wierzyć, trzeba wiedzieć. Duch większa prawda niż ciało. Zamknę oczy — nie ma ciała. A ja jestem. Ja — duch. To nawet filozofowie wasi —

Kant, Descartes. Duch — pewnik, a rzeczy same w sobie — niepoznawalne. Może ich nie ma. Ale ja — napewno. Ja duch.

Karczewski naprężył chciwie wszystkie mięśnie wychylony ku niemu.

Jaksza mówił:

— Trzeba rosnąć. Duch będzie potężny. Będzie panował nad światem. Nad tem, co ludzie — rzeczywistość...

— Ależ tak! Właśnie tak! — krzyknął naraz Karczewski i uchwycił silnie rękę Jaksy. — Panie, więc jak to... jak zrobić... którędy?...

Jaksza uśmiechnął się, wstał z fotela i zanurzył w ciemność. Po chwili wynurzył się z powrotem, niosąc grubą książkę.

— Hatha yoga — odczytywał z pietyzmem Zbigniew, a litery tych słów stawały mu się świętymi runami.

Więc to tu, w tej jedynej księdze jest to, czego tak mozolnie...

Uchwyciwszy ją zadrośnie oburącz, sunął wielkimi susami do domu, zaledwie słuchając gadaniny malarza:

— A co, dobrze, żeśmy poszli, co? Morowy gość, co? On powiada, że może jak dotknie ręką... i migrenę i inne choroby...

A zauważywszy niecierpliwe drgnięcie warg Zbigniewa:

— Nie, ja przecież nie... Kto go tam wie, zresztą.

Karczewski wżerał się zaciekle w ten nowy świat. Odnajdywał złoża potężnej rudy radu, niespożyte, niewyzyskane źródła mocy.

Ufnie wmawiał sobie przykłady i dowody, dobrowolnie otaczał się atmosferą nowej wiedzy, utwierdzając się w jej prawach.

Przychodziły nań przypływy, unoszące go gwałtownie z ziemi i zawieszające w powietrzu w postawie czyhającego jastrzębia. Drapieżnie spadał na ziemię, próbując swych szponów i znużony oporem skał, znowu ostrzył dziób w samotności.

Chodził opity świadomością swej mocy między nijakimi ludźmi świata. Wszystkie jego żyły nasycone były twórczą, promieniejącą energią, której znał prawa wschodu i zachodu.

A było i to radosne próbowanie swej mocy w cichych wieczornych chwilach: przenosił się w inne miejsca, stawał w obliczu ludzi i zmuszał ich, aby myśleli o nim.

Nie sprawdzał nawet skutków swej mocy — był jej pewien.

Siedzi więc w rogu kanapy, skulony jak pajak, umiający z samego siebie wysnuć najdłuższą pajęczynę, która nawet jego własny ciężar utrzyma.

Siedzi...

Blado przypomina mu się lekkość jego ciała, wówczas... przed przyjściem Tunka. Mógłby wtedy unieść swe ciało w powietrze, bez cienia wysiłku, gdyby mu się tylko chciało. Ale — nie raczył...

Ale teraz przychodzi myśl blada, zimna, uśmiechnięta nieznacznie: nie tak to było! Osłabły był i ocieężały jak pień drzewa, z naciętymi ramionami gałęzi. Dźwignąć się nie zdołał.

Byłoby i teraz to samo?...

Szybko, szybko ryją niezliczone, małe krety pod chińskim murem. Potężnym, szerokim murem z kamienia. Cieniutkimi strugami sypie się miał, i niezliczone otwory drążą się w kamieniu.

Kiedy krzyknie — ustaną na chwilę, odskoczą... A ledwie oczy odwrócił znowu, ostrożnie ryć poczynają i coraz prędzej, prędzej...

— Może ta siła... Ale nie, to nie może być złudzenie... Przecież wie, przecież uchylił zasłony...

I w niespokojnym ruchu zbiera się: pójdzie do niego, do Jaksy, do mistrza...

Albo... tak, tak!

Nateża ostrą klingę myśli, wierci nią ściany, domy, kłęby mgły i trafia do tak znanego pokoju. Pełga, jak zwykle mała lampka. Ale oto dziwna głowa Jaksy! Głowa egipskiego kapłana

Wtajemniczonego... Szuka oczami jego oczu Karcewski. Patrzy długo, usilnie i prosi:

— Przyjdź. Umocnij...

Długo nie zwoździ oczu ze złotych okularów, niecierpliwie odsuwając mgły natrętnych, niepotrzebnych myśli.

Nie rusza się z miejsca, choć ciało skomli mu bolesnym skurczem wielu mięśni. Z uśmiechem cierpiętliwym ofiarowuje swój ból jakiemuś wyschłemu Bóstwu, które lubuje się w cierpieniu swych wiernych. A za ten ból — coś mu stać się ma...

Nagroda jakaś marzy mu się za ból życia. Więc dalej-że przymnażać trzeba cierpienia, aby uradować i ubłagać bezkrwiste Bóstwo swoją krwią, aby mu sine usta zczerwienić.

Nie wierzący swemu szczęściu słuch chwytą głos kroków. Idzie ktoś krokiem równym, jakby siłą niewidzialną ciągniony.

— A więc jednak!... Bolesna myśl przeniknęła zwarte zapory materji. Triumfuje wiedza tajemnych sił.

Radość potęgi wraca ciepłą falą do serca:

— Mistrz idzie. Na wezwanie przychodzi... Oto już drzwi...

Drzwi się otworzyły. W ciemnię pokoju, nasyoną po gardło oczekiwaniem cudu, wpadł w bryłowatych kłębach zwalisty bas malarza:

— Cóż ty, jogo, pociemku siedzisz?

I lampa jaskrawą paszczę rozziwiała na cały pokój.

Z głowy Zbigniewa kipiała z sykiem ostra smuga pary, a w pustej głowie boleśnie obrażały się wyschłe gałki oczu.

Próżno wydobywał z gardła próby głosu: charczało tylko niezdarnie, śmiesznie..

— Choryś? — zaniepokoił się Tunek.

Pokręcił głową.

— E, bo te twoje warjacje... Bardzo dobrze, praua i tak dalej, ale musisz przecie jeść... Przecież chyba nie na serjo?

Próżno wbijał mu słowa zpowrotem do gardła napięciem rozstrożonych oczu.

— A ten Raka... jak mu tam... Ramaczaraki to jest niemiec. Świętosławski mi mówił. Spotkałem go... Pytał się, więc mówię... że pranę wdychasz i brzuch sobie uduchawiasz. Zgadało się. Więc powiedział. Nazwisko... ale nie pamiętam...

Zbigniew uśmiechał się chytrze a głupkowato. Usilnie mrugając oczami, patrzył na Tunka krzątającego się w najjaśniejszym kręgu lampy.

A ten, nie obracając się, rzucił za siebie ciężkie bryły swego basu wprost na głowę i piersi Zbigniewa.

— A znowu ten Jaksa...

Zamknawszy szybko za sobą drzwi biegł Zbigniew do Jaksy.

Chorągiew na dachu.

Jak zawsze cicho zamknęły się drzwi, odcinając głowę tumultowi ulicznemu, który chciał się tu wcisnąć, wionął teraz w twarz Zbigniewa zapach starych, nieprzewietrzanych szaf, i duchota połąskotała w gardle.

Drzwi były uchylone, i słyhać było głosy, dudniące z długiej kiszki kurytarza.

— ... jutro przyjdę! — poleciały już na schody prędkie, okrągłe jak piłeczki słowa, i za nimi wyskoczył mały, korpulentny człowieczek.

Jego krótkie, gumowe nóżki, odbijały się sprężysto od stopni, i za chwilę znikł już za zakrętem schodów. Jeszcze tylko obejrzał się i kiwnął uśmiechniętą, czerwoną twarzą.

Niepewnie wszedł Zbigniew do kurytarza i nachylił drzwi do pokoju.

Długo stał tam, na progu i kiwał sobie głowę.

— Aha! aha! — mruczał bezmyślnie i coś tam sumował w huczącej głowie.

Nie się zresztą nie stało wielkiego. Tak, Jaksa był chory. Leży na otomanie przykryty kilkoma szalami, na krześle stoją naturalnie buteleczki, w pokoju pachnie lekarstwami i chorym człowiekiem. Jaksa ma na głowie małą czapeczkę, i to jest właściwie najważniejsze.

— A, to pan! To dobrze. Co mi jest? To już dawno — nerki. Był doktor...

— A to ten mały, tłusty??...

— Tak, tak. Dobry doktor, specjalista. Nie kazał pić... O, wyleczy napewno, obiecywał.

— Może coś panu?...

— Dziękuję...

Ze zdziwieniem słucha Zbigniew tej rozmowy. Słucha jak jego głos wymawia swobodnie „panu“, i jak Jaksa mówi „dziękuję“ „doktor“ specjalista“.

— Albo nogi... tak, tak. Są tak opuchnięte, że nie mogę udźwignąć.

Obojętnym, choć ostrożnym ruchem unosi Zbigniew ciężkie, rozpuchłe, sine nogi, i mimowolnym dreszczem napełnia go dotknięcie tych twardych, wielkich łydek. A pierś Jaksy jest zapadnięta, wąska, i ten kontrast jest czemś tak nienaturalnym, że Zbigniew szybko odsuwa się się od chorego.

— W moim wieku — chrypi Jaksa — to niedobrze. W moim wieku...

W jego wieku? więc on ma jakiś wiek? A tak, prawda: Jaksa to ten żółty staruszek w czapeczce flanelowej.

— Sześćdziesiąt trzy lata — mówi Jaksa.

Zbigniew pali papierosa pod oknem: usiadł bokiem na stoliku i pali sobie papierosa.

Patrzą na siebie długo, i Jaksa powoli odwraca oczy, udaje, że błądzi niemi po suficie

i nagle chowa je pod ciepłe szale. Ale Zbigniew mówi zimno:

— Odniosłem panu książkę. Przeczytałem.

Jaksa nie może już dłużej udawać:

— Tak — mówi niepewnie — człowiek jest słaby. Jeszcze słaby.

„Jeszcze“... Sześćdziesiąt trzy lata... „Jeszcze“... Ale Zbigniew ma dwadzieścia cztery i kocha się w słowie „już“.

— Więc pan nie może? — przypiera Jakse, wstając ze stolika.

— No, cóż? — mruczy tamten — znoszę spokojnie...

— Pan dobrze wie, że to nie to... Jeśli myśl — to rzecz... a tak przecież uczycie... dlaczego nie działa?...

Jaksa podnosił kilka razy swą żółtą twarz od poduszek, ale Zbigniew miotał w niego bzykające, szybkie strzały, które powalały go z powrotem na pościel.

— A pan woła doktora „specjalistę“... i ta... kamfora... Gdzież władza nad materją? Wy... wy — krztusi się Karczewski, i nagle kończy dziecinnym grymasem:

— A ten Ramaczaraki to Niemiec, a nie żaden tam Indus...

Jaksa kiwa głową jak manekin:

— Słaby jeszcze człowiek. Słaby jeszcze...

— Jeszcze! — parska Karczewski — więc kiedyż...

I naraz wstyd mu za siebie: ten chory staruszek...

— To niedobrze. Niedobrze — mówi Jaksa. — I miała siostrzenica przyjechać. A tak — to niedobrze. Niema kto...

I Karczewski został u Jaksy.

Rano przychodził doktor, zawijał rękaw u koszuli i kłuł w chudą rękę.

Po tem zostawał mały siniak i ciemna plamka od jodyny.

Karczewski gotował na gazie kleiste potrawy i zupki i podtykał je choremu. Kłócił się z nim: nie pozwalał solić, nie dawał pić...

Jaksa kapryśnie mantyczył i wytykał Karczewskiemu pedanterję. A odejść Zbigniew nie mógł: na widocznych przez skórę kościach uczył się chłodnej, rozbierającej ironji. Nie skończył jeszcze ostatecznie swej mądrej nauki, chciał do dna rozgrzebać manekina swej wiary.

Potyrał się tedy Karczewski między rozbebeszonym łóżkiem starego a brudnymi szklankami na oknie.

Doktor mówił do niego:

— Dasz pan... Przygotujesz pan...

Był raz Tunek i mełł papierosa razem ze śmiechem. Miał go pełną gębę. Ale Zbigniew

nie odchodził, bo... bo... Nie pamiętał już dla-
czego, ale ochapiało mu się, że kiedyś obmyślił
sobie ważną przyczynę.

Teraz... teraz to nie chciało mu się myśleć.
Utarło mu się życie w zatęchłym pokoju niby
krok wydeptanych pantofli.

Gdzieś za ścianą dudni ciężki wóz, i ściana
głucho drga odgłosem wtórnym. Na wyższym
piętrze stuknęły drzwi, i ktoś schodzi prędko
po schodach w nierównym tempie galopu.
Szkłanka cicho zadzwoniła.

Idzie ktoś po schodach, zatrzymał się.

— Tutaj?

Stuk w drzwi. Zbigniew poderwał mięśnie
i wraz opadł leniwie na miejscu, woła:

— Otwarte!

Jaksa otwiera oczy:

— To niedobrze — mówi. — Tak głośno —
to niedobrze.

Ktoś bezradnie płacze się po korytarzu
i wreszcie staje w drzwiach.

— Czy pan Karczewski...

Zbigniew wolno wstaje i niezdarnymi ru-
chami ściąga swoje rozchełstane na piersiach
łachy:

— Marjan?

Marjan ma na rękę narzutkę i stek ze sre-
brną główką. Twarz opalona i osuszona szero-

kiemi wiatrami, smukłe uda silnie napinają ob-
ciste rajtuzy. Jest sobie śmiały i pański:

— Co ty tu?...

— Widzisz, przyjaciel... choruje, więc tego...

I czuje Zbigniew cały zaduch tego pokoju,
jak gdyby węszył go nozdrzami oczyszczonymi
już przez zapach polnego powietrza.

— ...widzisz... pielęgnuję, bo miała być sio-
strzenica...

— Przyśle się pielęgniarkę — mówi Marjan.

— Jakto? jakto? — dławi się słowami Jaksa. —
To niedobrze. Ja nie pozwolę. Niedobrze...

Zbigniew patrzy na żółtą twarz staruszka
i jego bławe oczy, a potem trafia na stanowczą
twarz Marjana i wie już, że nie będzie tu ani
chwili dłużej.

— Musisz jechać zaraz. Ojciec umarł — mówi
Marjan.

A widząc, że Zbigniew nie rusza się:

— Pisaliśmy do ciebie już z miesiąc będzie.
A, że nie podałeś nowego adresu... Pewno —
zawahał się — pewno ubranie trochę lepsze
kupisz...

Zbigniew zatrząsł się naraz, oblepiony ze-
wsząd wstrętem.

— Tak, tak, oczywiście. Dziękuję ci. Ser-
deczny z ciebie chłop.

A do Jaksy:

— Jak pan widzi — muszę... Przysłemy tu kogo...

Jak stał wyleciał na schody, nie biorąc najmniejszej rzeczy ze sobą stamtąd. I to ubranie, w którym spędził cały ten czas... Prędszej! och, prędszej!

Marjan bardzo zmęźniał; jak to on spokojnie mówi:

— Moja dorożka czeka.

Wielka firma, którą zna się tylko z szyb wystawowych. W przedpokoju szwajcar, drzwi uchyla... co to? zawahał się... Zbigniew zatrzymuje Marjana:

— Daj mi pieniądze... Rozumiesz, zawsze to...

— Ależ proszę cię... (nowy portfel skrzypi dyskretnie).

— Panowie życzą? — Mdły ukłon, małe zdziwienie, rozdziałek żółtych włosów pochyła się posłusznie i znika.

— Sportowe? — dziwi się Marjan — myślałem takie... miejskie?...

— Właśnie — wiejskie! — odbija Zbigniew. — Cóż mi pan daje? Przecież to lichota. Mówiłem, że łosiowe.

— Bardzo ładna imitacja! — sumituje się albinos.

— Po — wia — dam pa — nu!...

Przy butach mała dyskusja fachowa.

Marjan:

— Sztywne cholewki o wiele lepiej się prezentują!

Zbigniew:

— Mój kochany, żaden szanujący się sportsm...

Podobni są do siebie bardzo, kiedy tak schodzą po szerokich schodach, a uprzejme lustro odbija ich postacie.

Przystanęli rzekomo dla zapalenia papierosów: ukradkiem, po uczniowsku zerkają w lustro.

— Aha! jeszcze stek... i portfel... i do kąpieli i do fryzjera i bielizna chrupiąca, chłodnawa...

No, i oczywiście do restauracji. Zbigniew wpadł w szal rozrzutności: wszystkie potrawy, które omijał ostrożnie z powodu ceny. I wino.

Marjan jest bardzo miły kompan. Oczywiście nie można go traktować tak, jak wówczas — z Parnasu. Zresztą, Boże mój, ten Parnas...

Dopiero w hotelu nieco ochłonał Zbigniew:

— No, a cóż tam... w Poddebach? — i natychmiast cały czerwony po konchy uszu. — Jak było... to... z ojcem?

Słucha z uważną przykrością. Wreszcie — dziwna rzecz, że z ulgą — dowiaduje się: nie

miał dla syna cieplejszego słowa. To jakby uwalnia od żalu, od nieszczerzej maski.

— No, a wogóle w Poddebach? — powtarza raźniej.

— Nie wiem, co cię właściwie...

— „Ciuch“ żyje? — stawia Zbigniew rzecz odrazu na właściwym torze.

— „Ciuch“? Ech, bracie — macha ręką Marjan.

— No?

— Ma się rozumieć! Dwadzieścia dwa lata — to i dla araba dużo...

— A „Sołtys“ i „Sołtyska“?

— Są, i jeszcze dwa kuce ojciec dokupił. Taka czwórka powiadam ci! Chociaż Tarach powiada, że chłopci się śmieją:

— Ot, to — każe — pany z Poddubić na telatach poichały.

— Ha, ha! A cóż Tarach? karbowym?

— Ciągle. Ożenił się. Dzieci ma.

— Dzieci? Kapitalne! Tarach — jako pater familias... To i już swoją armatę na kołku zawiesił?

— Gdzie tam! Ciągle puka... Ale ma dubeltówkę — od ojca...

— Pi, pi! A jest co zwierza?

— I za chmielem na stawkach i na dużym stawie. Ba! dziki były zimą!

— No?

I coraz, coraz nowe pytania wykluwają się z twardej skorupy pamięci. I w wagonie jeszcze i w bryczce.

A bryczką przyjechał Chaber: w garściach czwórkę niespokojną trzyma, bałagunami brzęczącą.

— Czterolatki — tłumaczy — ujeżdża się to-to powoli... Zdrów, zdrów!

Z wewnętrznym uśmiechem napotyranego po świetle ciała sadowi się Zbigniew w miękkim siedzeniu. Pocziwy Chaber nogi derką obtyka...

I z miejsca:

— Ehe-hej, hej! malutkie! Poo-szły dzieci! — gada śpiewnie. Skrzypnęły skóry, miękkim podrzutem skoczył tarantas, i wraz zady końskie wpadły w pracowity kłus, odrzucając kawały szerokiego traktu poza siebie.

— To moje — zdziwił się naraz Karczewski. — Moje konie... i bryczka i pola... i dom...

Obsadził się mocniej i do Marjana;

— To ty zarządzasz teraz?...

— A, no... po śmierci stryja... Ale ponieważ niedługo... nie tego... nie będę mógł...

— Żenisz się? — z tej płataniny wyciągnął Zbigniew.

— A ty, skąd?

— Ha, ha! Nic. Tak domyślam się.

A po chwili:

— Obejmę gospodarstwo.

Ożywił się Marjan:

— Właśnie! Bo obawiałem się...

— Nie masz czego się obawiać. Obejmę — sycił się słowa zawartością. — Wezmę zarząd. Pokażesz mi wszystko...

— Naturalnie. Naturalnie.

Znów na konie patrzy z lubością Zbigniew: każdy skręt ich ciała jest jego własnością.

I ten człowiek nerwami leje związany z czwórką nagich, miedzianych ciał, ten człowiek — także jego jest.

— Chaber!

— Słucham panica! — szczerzy zęby w mazarzeniu zaciętem Chaber.

— Pod wierzch dla mnie... znajdzie się?

— Jeszczeby?... A może — chytrze uśmiecha się stary — może panicz ze stadniny sam?..

— Dobra myśl. Ujeżdżę sobie...

— Mamy po Migdale... takuśki... złoty kałtan.

I znowu Ali, deresz i po Ciuchu kary, ogierek...

— Po Ciuchu?

— Ale krzynę warjuje.

— A — mówi Marjan — ten to wóz połał. W zaprzęgu nie chce. Może pod siodło... Miałem nawet...

— Będzie dla mnie — ucina Zbigniew.

Miał jeszcze pytać o stary kasztan nad stawem, o cegielnię rozwaloną, gdzie straszło, ale... jakoś zbyt urósł na to.

— A dwór to nowy stoi, może panicz nie wie?

— Dwór?

— A tak — rzuca Marjan — ojciec postawił.

Sypał się już stary, więc, rozebrał...

— Stary rozebrał — szepcze Zbigniew.

— Na tej jesieni już stojał.

— A.. a — wstydliwie mruczy Zbigniew — podobny?

— Czy ja wiem? Tak sobie...

— Biały? ganek jest?

— Ganek jest, z tarasem nawet. A dom... Nie, nie jest biały. Taki... deszczułkami obity. Zresztą zobaczysz...

Nic wielkiego. Ale tak jakby ktoś puszek siwy obtarł zę sliwki. Dziecinada wreszcie.

— Tak, może być, że za obszerny był. Tak, niepraktyczny, naturalnie. Któżby palił w kominkach...

Konierównoodrzucają zady, dzwonki w uszach brzęczą, miękko opada się na siedzenie.

— O, to Komaszyce!

— Poznał panicz — wdzięcznie uśmiecha się Chaber.

— A tam, co?

— Gruszków. Nowy folwarek. Brodowscy

panowie podzielili się. Pan Henio się tu obudował, a pan Jan się ostał w Brodowie.

— Taak... A to już wieża Korostyszowskiego kościoła?

— A już... A tu skręcimy zara...

— A tu na lewo na Ily się jedzie?

— Panicz wszycko pamięta! — razowa twarz fałduje się w zdrowym uśmiechu.

— Z chmielem jeździłem tędy, furgonami...

I wspaniały zapach chmielu żywo przypomina się nozdrzom. Chmielem pachniał wówczas świat cały. A inne zapachy: pomidorów w ogrodzie, przez który chodziło się na „wyprawy“, liści „indyjskiego“ orzecha, skóry w gabinecie ojca...

Oto czerni się już bryła drzew wśród równych, niskich pól. Serce skacze w głupiej, dziecinnej radości, powtarzając wkółko:

— Poddębce! Poddębce!

Już i droga wiśniami sadzona, już i brama gumna.

Serce, śmieszne serce komu lub czemu śpiewasz swoją króciutką modlitewkę?

Tarantas podskoczył w bramie, bryzgnął na strony kałużą i zmienił muzykę swych kół.

Aha, jest stary śpichlerz, tylko... mniejszy o wiele. Stelmasznia zamknięta... A gdzie szopa z maszynami? Aha, w stodole stoją... spaliła się...

Nic jeszcze nie mówmy! Nic jeszcze... Może coś przecie będzie takie, jak dawniej, zupełnie takie... Może coś odpowie na niecierpliwy stuk serca w zamkniętą bramę przeszłości.

Dwór...

Pod magnackiem, odwiecznymi lipami podmiejska żółta, drewniana willa z cementowanym, wykrygowanym tarasem.

— Jak można? jak można?

Trzask z bicia i szybszy wyrzut miedzianych ciał.

— Tak. Nie trzeba myśleć. To, co było — zostało. To nic, że tu zniszczone. Tamten świat w nienaruszonej całości zamknięty został w sercu. A teraz...

— Chaber, jutro rano konie dacie dla mnie i pana Marjana.

— Rozumiem. Czy... Tarantas?...

— Cóż ty nas chcesz jak żydów obwozić? Pod siodłem!...

— Rozumiem — w uśmiechu szerokim mówi Chaber.

A i ciocia Femcia, o której się zawsze zapomina! Płacze, kiedy ją Zbigniew całuje w pochwale zatroskaną twarz.

— Nie trzeba, cioteczko, płakać, nie trzeba. Wszystko co mija — zamykać trzeba w tajem-

nym sepeciku i nie płakać, gdy życie burzy białe dworki z gankami.

Wchodzą młodzi ostro do sieni, w tupocie śmigłych butów:

— No, cioteczko, kolacja!

— Ach, prawda! — zbiegają się koło ust kłopotliwe zmarszczki — zaraz, zaraz...

Zdrowe, a przaśne jadło: chleb swego wypieku, sytny, a mdławym nieco, masło, śmietanka („dopiero zbierałam“).

— A pamięta ciocia, zawsze lubiłem nadzienie z kurcząt?...

— Pamiętam, serce. Mówiłeś, że jak będziesz duży, to samo nadzienie jeść będziesz... — i znowu pocziwie oczy w łzach.

A Zbigniew jest taki, jak wówczas w restauracji, z Marjanem: będzie używał za te wszystkie dni brudnego głodowania. A i inni także...

— Cioteczka niema żadnej pomocnicy, gospodynii?

— Ja, serce?

— No, przecież nie można się zamęczać. Weźmiemy kogoś.

— Ależ serdeńko moje!...

— Nie, nie. To już postanowione.

— I Chabrowi — rozmyśla jeszcze w wysoko posłanem łóżku Zbigniew — i Tarachowi

trzeba coś... Ordynarję się powiększy... Chabrowi chłopaka do pomocy.

W czystej, uroczyście-sztywnej pościeli, w chrześzczącym sianie śpi się zdrowo, bez snów dusznych, gorących.

.....

Zbigniew obudził się wcześniej, ale nie wstaje jeszcze. Okienicy złote serce drga w ciemnym łonie pokoju, mruga, uśmiecha się. Pod cienką derką sławucką mięśnie napinają się sprężyste, ciagliwie.

— Rraz! — wstaje się odrazu i rozłamuje skrzydła okienicy. Rajtuzy, buty i mycie w wielkiej miednicy na niskim stołku.

— Aha, to gabinet!

Na porwanej ceracie biurka kilka zeschłych kłosów i świstek nieczytelny „...korców ...owsa 14... na siew... żyta...“

Pogardliwie ciśnięte księgi rachunkowe, a na nich zwycięsko rozwalił się pleciony harap wołyński. Tu nie szanuje się papieru.

Na oknie kawalerskie gospodarstwo: butelczka zeschłego na kamień atramentu, śrubki i gwoździe, klucze na wygładzonej deszczuлке, sznurki, podkowa, pudełko świecących hufnali...

A! jest i ta stara skóra dzicza, wytarta w środku do połyskliwej, żylastej nagości. Drewniana kobyłka do siodeł, na której — żółta

dera. Zeschnięte i zakurzone wianki z dożynek (takie śmieszne, złote czapy). Ceratowa kanapa tak dobra w gorące dni żniw. Dostraja się człowiek dziwnie łatwo do niemówionych rozkazów i zwyczajów tego pokoju: oto książki klapnęły bezradnie, na ceratową kanapę i już próbuje się harapu. Strzela się z niego doskonale, więc radość z nieomylnego nałogu ręki.

To jest pokój, gdzie wpada się po klucze do spichrza, zmienia zabłocone buty... A tylko czasem, czasem zapala się upstrzoną lampę i wali pięścią w zaplamione książki:

— Nie zgadza się, psiakość!...

Na buty wyczyszczone z przesadnym szafunkiem szuwaksu opadają coraz chmury much, i bije się junacko harapem po nogach.

Żółty piasek w ganku skwierczy pod podszwami. Stoi się wysoko tak, że widać cały staw i dach obory na lewo.

Płuca nabierają świeżego powietrza rannego i rzucają w stronę gumna potężne:

— Chaa — ber!

Stłumiony odgłos echem odpowiada.

I znowu:

— Koo — nie daa — waj!

Ruch we dworze:

— Pan wstał!

Drepcze niespokojnie ciocia Femcia:

— Myśleliśmy, że po podróży... Nie chcieliśmy budzić...

Szybko połykają kęsy śniadania i przegryzają w połowie słowa:

— Pod Dębówką? Żyto.

— A tam chłopski...

— Chłopski. Niedawno znowu dwie sosny...

— Od Hów? Można zacząć od Hów...

— Co odwykłem? Zobaczysz mnie na szkapie.

I już niecierpliwe wybieranie kurtek i batów. Troskliwe skłopotane oczy odprowadzają ich niespokojne ruchy, jakby na tatarów szli.

Przed gankiem dwa konie. Chaber stoi między nimi, przy pyskach wodze trzyma. Groźnie pohukuje zza uśmiechu na tańce kokietliwe:

— Stój, ty!

Prędko, prędko podrzucają w pysku żelaza i skrzypią tęgiem spięciem rzemieni niecierpliwe, śmigłe konie. Każde ich ścięgną celowe, a śmiałem pięknem zarysowane. Podkasane tułowia, ogon jak ster, chciwe wyrzutów nogi stalowe.

Zbigniew okiem się przymierza: dawno bo, dawno wyłamał się z nawyku rozkosznego. Wysadził się z siodła sam. Ale... Ale trwało tylko chwilę: strzemion próbuje pod pachą, puśliska strzepnął, przełożył wodze do lewej i odbił się od leniwej ziemi. Żyje się teraz po-

dwójnem biciem serca. Tańczy się teraz ruchami konia, a jemu swój ruch w żyły się wlewa gorącym tętnem. Wolnym się jest nieruchawości ziemnej. Tańczy się.

Ech! zasiedli obaj głębiej i bryznęli ziemią z miejsca. Poo — szli!

Z każdym zwrotem ciepłego ciała końskiego, odnajdywał w sobie Zbigniew wrodzoną sztukę i wrastał w siodło. Nie namyślał się, nie kierował ruchami, lecz poprostu — był. Był sobą i koniem, sprawdzał legendę o centaurach i poezję w życiu szlagona chwycił.

Sadzili obaj wyjeżdżoną koleją, rzuconą tu na znak drogi. Konie wyparskiwały z siebie dziarskość sytą i szły ostremi susami, póki nie zgrzały się zdrowym, pachnącym potem.

Obaj wraz to spostrzegli i zwolnili chód. Marjan z uznaniem spoglądał z pod oka na „wsiad“ Zbigniewa:

— Dobrze niesie? — zapytał.

— Kapitalnie. Po Migdale?

— Tak. Od Sulejki.

Dreptali teraz równym trucheikiem, przerzucając się ciepłemi od wstającego słońca słówkami. Orna ziemia słodko i wilgotno dyszała, kołysząc świeżą runią.

Wieś wyłaniała się z mgieł w rzeźkości rannej, ciepła zatulność snu dymiła ze wszy-

stkich kominów. Słysząc było nawoływania i ruch roboczego dnia.

Odwrócił się w siodle Zbigniew, kułak na tylnym łoku oparł i rzucił okiem na drogę zdobytą: kawał jej było. A po obie strony rozrzucały się połacie sytnej ziemi. Na ziemi tej był panem i czuł to rozkosznie w dumnym spojrzeniu, z wysokości siodła.

— Kiedyż mógłbym ci zdać?... — wpadł mu w te myśli Marjan.

— Dziś zaczniemy.

Zaczęło się więc przemierzanie sypkich gór zboża w śpichlerzu i wyliczanie mozolne, kilkakrotne: sprzedano na siew, na ordynarję...

Chodzili wraz z Tarachem po wozowniach, stajniach i całym obejściu, potem wertowali wąskie, długie księgi rachunkowe, sprawdzali kwity, obliczali jakieś raty, listy...

Na Zbigniewa sypały się te sprawy cichym, a ciągłym szelestem mierzonego zboża. Obsiadał na nim stęchły zapach spichrza i ostra woń stajen. A przytem raz wraz jakby gubił strzemień i czuł, że podskakuje śmiesznie, nie umiając wpaść w takt.

— Z owsem trzeba ostrożniej, nie wystarczy — deliberował Marjan.

— No, to... tego, zmniejszyć...

— A po ile pan dziedzic każe wydawać? —
i Tarach jakby się uśmiecha kątem oczu.

— Po ile?... — bezradnie mruczy Zbigniew
i coś niby rachuje — hm, po ileby tu?...

A teraz ufnie opierają się o niego wszelkie
sprawy.

— Co pan dziedzic każe krowom zadawać?

— Czy do ogrodu kilkoro czeladzi nie mo-
żnaby?... (Ciocia Femcia).

— Sucha koniczyna się kończy...

— Możeby stadninę popędzić na oziminę?

— Jakto, na zboże? — chce się zdziwić
Zbigniew i wraz połapie się — hm, możnaby...
Albo — zawołaj Taracha.

Tarach wsuwa się ostrożnie do gabinetu
i zeisza swoje podkute, do roli przywykłe buty.
Nieznacznie wstawia swoje:

— Dopraszam się panicza, mnie się jedno-
cześnie wydaje, że trzebaby...

I kiedy wytłumaczy wszystko:

— Jak panicz jednocześnie rozkaże.

Dopiero na koniu, w polu, czuł się Zbigniew
pewniejszy. Pod okiem młodego panicza robota
posuwa się raźniej, odzywają się wstydlive chi-
choty, i raz wraz zerwą się piskliwe piosenki:

„Tecze ryczka
Newełyeczka
Z wiszniohoho sadu,

Kłycze kozak

Diwezynońku

Sobi na poradul

— Drą się „chochły“ — z mazurską wyż-
szością mruczy Tarach. — Bo on teraz z panem
ciągle: i nieraz w gabinecie papierosa pańskiego
zapali. Stateczny się zrobił, ważny.

Jemu też zostawiają panicze gospodarstwo
i jadą z wizytą: Marjan stropiony nieco, Zbi-
gniew dziwnie spokojny.

— Do Nowego-Stawu! — rzucają Chabrowi.

W równych kołysaniach tarantasu obijały
się o siebie ich obce myśli. Gdy domyślili obaj
do jakiegoś krańcowego punktu, zrozumieli, że
trzeba wszcząć rozmowę, by rozwiać ciemne
skłębienie myśli.

— Kiedy ślub? — jakoś zbyt już grzecznie
spytał Zbigniew.

Marjan zaczerwienił się, choć tego właśnie
pytania oczekiwał:

— Tego lata — odrzekł szybko.

— Ach, tak — cedził uprzejmie Zbigniew —
i pani Pruszkowska oddaje wam majątek?...

— Wiesz, nie poruszałem tych...

— To porusz, porusz te sprawy. Żebyś na
swojej habendzie siedział. Jako, że szlachcie
na zagrodzie.

— Nas te sprawy — zapłonął znowu Marjan.

Z zimną pogardą spojrział na niego Zbigniew i raptownie zawiązał rozmowę z Chabrem:

— Jutro zaczniemy ujeżdżać tego karego...

— A, no — półobrotem przesiada się Chaber — można...

— Ale wałacha trzeba z czwórki wyrzucić: krótszy jest.

— Krótszy, proszę panicza, ale jak ciągnie, to narówna. Ja mu już rzemienie wydłużył, żeby od orczyka był dalej. Ale ma się wiedzieć, że nie ze wszystkim... tego...

— Możeby wymienić gdzie...

— O, to paniczu — ożywił się naraz Chaber — w Horodyszczach jarmark będzie na święty Wojciech. Pojadziem?

— Pojedziem! — wesoło godzi się Zbigniew.

Marjan nastroszył się osowiałością, ale przez nieruchome wargi płynęły mu niecierpliwe szepty. Wypełzły zdradliwe polipy rumieńców na smągłe policzki i spełzały znowu.

— O, już i Nowy-Staw — poprawił się na koźle Chaber.

Zbigniew przejrzał śmiałym rzutem swoje serce i znalazł zupełny spokój. Poprawił nieznacznie żakiet.

Zajechali z kawalerską fantazją przed ganek, a Chaber nie chybił ani o włos od schodów:

wprost z tarantasu zeszli na próg oszklonego ganku.

— Aha! poziomki z mlekiem — przypomniał sobie Zbigniew i nagle poweselał.

Było to podczas dość licznego, a niespodziewanego zjazdu. Pani Pruszkowska przemyciała się wśród gości ze swym kościstym uśmiechem, który miał być przyjemny, i zniechęcająco zapraszała do jedzenia.

Zbigniew — wówczas jeszcze Zbyszek — dojrzał poziomki z mlekiem i szykował się do straszliwej hekatomby, gdy przewiercił go słodki a przekonywujący głos pani Pruszkowskiej:

— Ty, Zbyszku, nie lubisz poziomek, prawda?

A wówczas Zbyszek z odwagą rozpaczy:

— Przeciwnie, proszę pani, przeciwnie!

Zawtórował mu powszechny, radosny śmiech, który wziął do siebie. A przytem Roma okazywała mu przez kilka dni bezbrzeżne lekceważenie.

— Ha, ha, ha! Poziomki — podśmiewał się wewnętrznie.

Marjan sterczał już dawno przed lustrem, bezcelowemi, ciągłemi ruchami poprawiając koafiurę, kołnierz i krawat. Był zimno zrozpaczony i napęczniały złością.

Tem bardziej swobodnie przedefilował przed lustrem Zbigniew, konstatując z zadowoleniem skończoną poprawność wyglądu.

Niespokojny, z trudem zciszany rozgardjasz snuł się po całym domu. Raz czy dwa zdawało się nawet Zbigniewowi, że uchwycił słodki głos pani Pruszkowskiej.

Na ganku rozległo się naraz obijanie butów z błota, dwa grzebięcia o żelazną wycieraczkę, i wszedł pan Pruszkowski.

— A co, he? Przyjechaliście — obejmował ich, całując tradycyjnie z obu stron.

Nie zmienił się prawie: bodaj czy nie miał nawet tej samej maciejówki i tej samej grubej laski. Nieco pochylił się i posiwiał, ale miał równie szczupłą staturę i naiwnie zachwycone oczy.

Zbigniew pobłaźliwie zaczepił jego niezmiennie ukochany temat, nie fatygując się nawet o pozory:

— A cóż tam pańskie araby?

— He? A tak, tak. Zobaczysz. Powiadam ci, kupiłem jednego od chłopą, ale musiał mieć w krwi przynajmniej...

— Dzień dobry panom — oszczędnie miłym głosem wyjrzała ku nim pani Pruszkowska.

Skoczyli więc do ucałowania rączki; Marjan z uroczystą dokładnością, Zbigniew z tłumionym uśmiechem.

— Poziomki — omal nie mruknął.

— Proszę panów do salonu.

— He? A tak, do salonu — przytwierdził pan Pruszkowski i zaraz stropił się pod wymownym spojrzeniem żony, zwróconem na jego buty.

Po chwili wahania wszedł jednak do salonu i skwapliwie przysiadł się do Zbigniewa:

— Lubisz jeszcze konie, jak dawniej, co?

— Więc pan ze stolicy? — odsunęła go małżonka.

— Tak — łaskawa pani — skłonił się Zbigniew, wesoło gotując się na ciężką grudę wiejskich rozmów,

— Wieś pana zapewne nudzi — uśmiechała się arystokratycznie pani.

— O, wieś ma swoje uroki! — bezczelnie szastał frazesami Zbigniew.

— No, tak... zapewne...

W niemrawy nastrój oczekiwania wpadły szepty z za przymkniętych drzwi, i wszyscy z ulgą zaniemówili.

Weszła Roma i dwie niewiasty, nieznanego wieku i przeznaczenia, ni to kuzynki, ni to kłucznice, bez których dekoracja dworu nie byłaby zupełna.

Marjan łapczywie rzucił się do przywitania, podkreślając swoją tutaj pozycję, co jednak przyjęto z kwaśnym nieco uśmiechem. Więc stropiony ustąpił miejsca stryjecznemu bratu.

— Więc pan ze stolicy? — uśmiechnęła się Roma.

Zbigniew omal nie parsknął śmiechem, powtórzył jednak najcyniczniej:

— Tak, łaskawa pani.

Mruknął potem swoje nazwisko obydwum paniom i cofnął się na miejsce.

— Z Poddębiec? — nagle podjęła jedna z nich.

— Tak.

— Znałam pana ot takim — pokazała od ziemi.

Zbigniew nie był tem rozczulony.

— Z świętej pamięci ojcem pana przychodzimy sobie cioteczni.

— Ach, tak.

Dama zamilkła, z godnością starego mebla stercząc pod oknem.

— A jakże sobie radzisz z gospodarką, he? Marjan przecie... — podjął pan Pruszkowski i stropił się. Temat był drażliwy.

Ratowała sytuację panna Roma. (Jaka ona straszliwie podobna do matki!):

— Czytałam pański utwór w „Źródle” — łaskawie oświadczyła.

— Proszę?

— A tak. U państwa Roguskich. Bardzo... śmiało.

— Zbyt łaskawa pani. Ja sam...

— Ciekawa jestem pańskiego poglądu...

— Och, pani — skrzywił się w uśmiechu Zbigniew — wszystko to była poprostu zabawka. Tak, właśnie. Wszystkie to poglądy... Teraz będę bardzo zadowolony, jeżeli dobrze dobiore czwórkę swoich kasztanów; jeden jest krótszy... — brutalnie skończył Zbigniew.

— He? Krótszy? — zapalił się pan Pruszkowski — mówiłem Marjanowi, ale on teraz... Wiesz, chodźmy do stajni, pokażę ci...

— Ależ, Dyziu, pan nie jest odpowiednio ubrany!

— He? — zatrzymał się w połowie drogi pan Dionizy.

— Owszem, jeśli panie pozwolą — wstał Zbigniew — jestem koniarzem wprost z powołania...

I w niechętnem skrzywieniu atmosfery wyszedł za panem Pruszkowskim, który poza promieniem oczu małżonki odżył odrazu.

Ujawszy Zbigniewa pod rękę, gadał w podnieceniu:

— ...Łeb jak u sarenki, wysoka pęcina, ogon w odsadzie... Powiadam ci, przynajmniej pół — krwi...

Omawiali ważne sprawy ujeżdżania, potem

przeszli na „poprawianie rasy“ i na idealnych stangretów, „których już teraz niema“.

— Książę Sanguszko, ojciec, miał, powiadam ci, Franka... Ech, to był!... Raz, pamiętam... w Krzemieńcu... Tam góra taka wysoka i zakręt... a jarmark był... Konie młode... Buda była z błaznami... Wyskoczył taki w kolorowych szmatach... A te jak póó—jda! A Franek jak zacznie prać! (z harapem jeździł zawsze). Książę woła: „Czyś się wściekł?“ A ten pierze... I dopiero na samym zakręcie: „Tpru — pruu!“ i stanął, he?

Araby pana Dionizego były to zwykłe brzuchate mierzynki, i tylko entuzjazm gospodarza mógł się w nich dopatrywać „krwi“. Niedługo też wrócił Zbigniew do dworu, porzucając pana pana Dyonizego wśród jakichś gospodarskich zajęć.

Opanowało go nagłe zniechęcenie, i chciał jaknajprędzej wracać do domu. Przerażała go nawet myśl o ceremonii pożegnania. Na ganku jednak zastał rozradowanego do głębi duszy Marjana z cichą i uprzejmą jak zawsze panną Romą i musiał zostać na kolację.

Trudność podzielenia czterech kurczaków na siedm osób, wzięła na siebie pani Pruszkowska, co udało się tak znakomicie, że jeszcze cały kurczak został na półmisku.

Zatrzymywano ich jeszcze do zostania, ale wystarczająco miękko. Konie okazały się pod gankiem, a Chaber ostentacyjnie karmił czwórkę ze swego worka.

Usiedli, owinęli się derkami i w jednym skoku zanurzyli się w ciemność z jasnego kręgu oświetlonych okien. Mignął tuż obok czarny kontur bramy, i wnet wpadli w cicho szeleszczący piasek wysadzaną drzewami drogi. Konie zwoływały biegu i szły teraz szparkim, długim stępem, prychając rażno.

Wilgotny wieczór snuł się gęstemi tumanami, przeplatane ciemnym dymem jałowca, ciągnącym się od pastwisk. Po obu stronach bryczki stały wysokie ściany nocy, nasyczone dalekimi odgłosami: marząco rechotały żaby, przypominając coś niezmiernie bliskiego, aż do bólu słodkiego w piersiach.

Wracały dalekim nawrotem wspomnienia długiej jazdy z miasta, senna ocieężałość na ramieniu matki, dalekie szczekanie psów i metalowa inkrustacja księżycy na głazach przydrożnych.

— Pojedziem przez dworskie pastwisko: bliżej będzie — mruknął Chaber.

Konie skrzyły prawie z miejsca i ukazały naraz cztery lśniące zady wysoko nad kozłem. Instynktownym ruchem siedzący poddali się

się skokowi bryczki i już toczyli się z góry po cichym, równym dywanie. Coraz z ciemności wyłaniał się czarniejszy jeszcze kontur wielkiego chwastu lub kierz rozrosły i nikł pod pudłem tarantasu.

Aksamitnie dudniały kopyta po prężnym gruncie, przy równym akompaniamencie kół. Psy zaszczeakały głośniejsze w bliskiej, a niewidocznej wsi, poczem tarantas przechylił się ku dołowi, i konie ostrożnie chlupały nogami w wodzie. Sprychy bełkotały siąpiwie, sącząc małe strumyczki na stopień bryczki. I znów twardy tupot poniosł ich równym kłusem. Wjechali teraz ostro w kępę drzew i potoczyli się między dwoma szeregami białych chat.

Zbigniew długo nie mógł się wyznać w okolicy, aż głucho zadudnił most: wjechali do Podębiec od strony wsi.

Konie zatrzymały się przed czarną plamą bramy, i Chaber wołał zachryple:

— Bra—ma!

Wreszcie brama zaskrzypiała i odsłoniła jaśniejszą nieco przestrzeń. Konie skoczyły w nią, gwałtownym łukiem skręciły w lewo i szły ostro aleją ogrodu.

Z za krzaków rozbłysły światelka okien i Chaber, poprawiwszy się na siedzeniu, palnął z bata.

Psy zerwały się od ganku i w żarliwym galopie obszczeakiwały bryczkę.

Z trudem rozginali zaciekle nogi, wstępując na stopnie ganku. Objęło ich miłe ciepło osiedla, i przywitał smakowity zapach jadła: ciocia Femcia przezornie przygotowała kolację.

Po ślubie Marjana, Zbigniew został sam na gospodarstwie i siepał się nieporadnie w płatacinie spraw. W połowie lipca wybrał się więc do miasta i w zakurzonej księgarence Syndykatu, wygrzebywał wszelką mądrość agronomiczną. Ruszył potem bez wyraźnego celu, usiłując zabić czas pozostały do odjazdu.

Minęło go kilku miejscowych elegantów, którzy ironicznie obejrzeni jego wysokie, zabłocone buty. Rzeczywiście, niewygodnie było w nich chodzić po koślawych kamieniach ulic. Wlókł Zbigniew obolałe nogi po sennie zakurzonej, głównej ulicy miasta i upatrywał bylejakiego schronienia.

Spłowiełe kolory wszystkich szyldów i domów oraz zapstrzone wystawy harmonizowały z beznadziejną nudą miasta. Słońce odbijało się duszną chmurą od spieczonych i spękanych kamieni.

Ujrzawszy kawiarnię, która była ongiś pociągającym owocem zakazanym, Zbigniew wszedł do niej z pobłażliwym uśmiechem.

Siedziało tam kilku jegomościów, przerzucających się kęsami rozmowy.

Zbigniew gryzł z poświęceniem sztywne jak tektura ciastka i chował nogi pod krzesło.

— Brak kultury, powiadam — dudnił jakiś stateczny grubas — czy u nas kto czyta, interesuje się...

Zbigniew poruszył się niecierpliwie.

— Tak, panie. Ale ja mówię — polityka! W Europie różne, panie, aljansy, a my, panie...

Zbigniew zapłacił i wyszedł, ścigany niechętnymi spojrzeniami. Szedł prosto do hotelu, gdzie stały konie. Po drodze kupił papierosów. W brudnej, ponurej kiszce stajni majaczyły opuszczone smutnie łby kasztanków. Chaber siedział na progu, gryząc słomkę. Zobaczywszy Zbigniewa wstał.

— No, cóż Chaber? Nic tu po nas w mieście, co? — przyjacielsko zagadał Zbigniew.

— A no, musi, proszę panicza! — uśmiechnął się szeroko Chaber.

— Masz tu, zapal sobie — dał mu paczkę.

— Pięknie dziękuję — wyjął krzesiwko z złotym knotem i krzeszał starannie.

Zbigniew nachylił się i przytknął swego papierosa do tłących się, postrzępionych nitek.

— No, to zakładaj! — wyprostował się.

— Słucham panicza.

Za chwilę turkotali po wrzaskliwej ulicy, wytrząsając się na wszystkie boki. Na rogatce podskoczyli jeszcze wyżej i wpadli w cichszy nieco gwar szosy.

Gdy tylko było można, Chaber zjechał na wyjeżdżoną obok, „polską drogę“. Kasztanki parsknęły, i włożyły się pilniej w półszorki. Chaber usiadł półbokiem i zagadał:

— Zaczynają już żąć.

— Aha. U nas też chyba niedługo. Na łąkach...

— O, na łąkach można, jak nic...

Rozglądali się obaj uważnie.

— Ale musi nasz owies dzie większy,
proszę panicza?

— O, pewno.

— Tu „nieważna“ ziemia, pod miastem.

— Nasza lepsza.

Nie dojeżdżając do dworu, wysiadł Zbigniew na granicy pól poddębickich i odesłał Chabra do domu.

Usiadł na wysokim kopcu, pokrytym trawą i białymi baldachami chwastów:

— Moje — pomyślał, rozpuściwszy oczy po szerokiej przestrzeni. Leniwym ruchem zanurzył głowę w gąszcz traw. Wyrósł tuż przy twarzy jego, wielki las pietraszników, cykorji, bodzisków i tymotek. Nieznane mu owady najfantastyczniejszych kształtów, gospodarzyły tu bez-

trosko, a tuż nad wierzchołkami tego lasu rozpięły się białe runa chmur.

Od owego zetknięcia z ziemią szła w żyły Zbigniewa spokojna ale nieustępliwa moc. Nasycił się pierwotnymi jej pokładami, wiedząc, że staną się niewzruszonym fundamentem jego gmachu.

Nierychło dźwignął się z trawy i spokojnym krokiem szedł wśród dwu hufców pszenicy i żyta, oddających mu pokłon należny. Głaskał w przechodzie ich suche główki, próbując jędrności ziarna:

— Trzeba żąć — rozmyślał gospodarnie.

Po drodze wypędził krowę z żyta i pogroził laską pastuchowi-niemowię, który biegł zdaleka, piszcząc:

— Pu—tiu! pu—tiu!

Pocałowałszy go w rękę, niemowa objaśniał coś rękami, wskazując w stronę stada i piskając dziwnie. Zbigniew kiwał dobrotliwie głową: zrozumiał, że pastuch skarży się na nieporadność swoją w tak dużym stadzie i o pomocnika prosi.

Tedy niemowa uspokoił się i na swego pokurcza pisnąwszy, pokicał przez miedze.

Zdało się Karczewskiemu, że bełkot niemowny pastucha był samej ziemi głosem do zrozumienia niełatwym i uradował się bardzo.

Wyrozumiał przecie przaśny a zdrowy sens życia na tej to wsi i władania się uczył. Gospodarski instynkt rósł w nim jakby bez nauki całkiem, i coraz śmiej rozglądał się w swoim dziedzictwie.

Nie tego jednak i nie następnego dnia wziął się do mądrości agronomicznej: kurzyła się ona spokojnie w związanej paczce pod biurkiem. Ale któregoś skwarnego popołudnia rozgrzebał ją wreszcie i zagłębił się w czytaniu... tytułów. Przejrzał rysunki przedstawiające rasy i defekty końskie, westchnął nad jakąś tablicą statystyczną.

Wzmógł się jednak na siłach i wgryzł się w najnudniejszy szpargał „o składnikach gleby“. Mocował się odwykłym mózgiem z długim monotonnem dukaniem wyskakujących prędko liter. Był to szybki, pracowity, trzęsący kłus, który go nużył i rozłamywał kości...

Obudził się już pod wieczór na tej samej ceratowej kanapie, książka zaś rozczapierzyła się, niby rozdeptany owad, na pogiętych kartkach. Podjął ją, cisnął płasko na stół i poszedł wydawać obroki.

Zwolna tężał w sobie i prawdziwym panem się stawał. Setki rozmów, napomknień, widoków zamykał w sobie i na pożytek wznoszonej budowlu używał skwapliwie. Rósł w nim ten mach,

z wyżyn którego na podległe mu królestwo pozierając, obejmował je coraz silniej we władzę.

Tarach przeszedł nieznacznie na „panie dziedzicu“ z poufałego nieco „panicza“. Poważnie wysłuchiwał teraz dyspozycji Zbigniewa, i rzadkie były jego:

— A mnieby się jednocześnie wydawało...

Dzień z dniem wiązało się rozważną kalkulacją i obmyśleniem, a z drobnych zarządzeń, doglądań i ponukań rosła zdrowa, zwarta w sobie całość.

Dał mu to zrozumieć pan Dionizy, który utracił w swoim państwie ostatki władzy i często zaglądał do Poddębiec:

— Radzisz sobie, he? Myśleliśmy... mieszczuch... tego... A ty, panie, lepiej niż niejeden...

— Naprawdę? — ucieszył się Zbigniew.

— He? A naprawdę.

Jakoż, tuczony pańskim okiem inwentarz, świetnie się przedstawiał, tem bardziej, że Zbigniew w zawziętości gospodarskiej piłował o najmniejsze postronki, czy hufnale, a nawet raz na miesiąc krowy czyścił, co jako żywo nie było we zwyczaju okolicy.

Rosły złote chaty zboża na osmyczonych po rekrucku polach, a Zbigniew nie wstydził się skoczyć w środek gromady i uczyć się zakładać węgły stert na trwałe postój zimowy.

— Baczyte! — szeptały dziewczyny — jak zwyrta je siał

To znów szedł między podcinające rozczochraną czuprynę zboża i przygadywał:

— Ho, ho! Nie będzie w tym roku przodownicy, czy co?

Wypryskiwały zduszone śmiechy, i raźniej wżerał się w szyszk zboża ukośny klin żniwiarów.

Gumno stało teraz pustkami, wywiane dozna. Nudziły się bezużyteczne budynki, pozbawione swego żywego, ruchliwego wnętrza. Leniwa spiekota leżała sennie w opadłym miękko kurzu.

W tą pustkę wszedł któregoś dnia Zbigniew i uczył konieczność zerwania jej drgającej ciszy i napełnienia jej swoim działaniem. Przeszedł oborę i stajnię fornalską, zajrzał do spichrza, wozowni — wciąż nie mając o co ręki zaczepić.

W cugowej stajni zastał tylko starego Migdała, obojętnie stojącego w swej klatce. Kiedy jednak Zbigniew wszedł głębiej w ciepłe wnętrze stajni — ujrzał, że w drugiej klatce kłębi się jakaś czarna masa.

Zaciekawiony podszedł bliżej: czarny łeb zakończony u góry różkami ostrych uszów, z rozdętymi chrapami i szalonym okiem obejrzał się na niego gwałtownie.

— Ciuch? — błysnęło mu wspomnieniem.

Ów Ciuch, który był od najdawniejszych lat symbolem wszelkiego żywiołu, na którego sadzał każdego rycerza pasowanego w swych marzeniach? Ciuch, wielki kary ogier, z bestjałsko rozwiniętym karkiem i piersiami, na którego odważał się wsiąść tylko Tarach? Ciuch, o którym opowiadano historie jak o człowieku: „było to wtedy, kiedy Ciuch zerwał się z arkana“. „Ciuchowi znudziło się wtedy i rzucił się“...

— Ciuch, czy?...

Ten sam potężny kark, oczy błyskające białkiem, uszy tak często tulące się w przypiływie złości...

— Tak, nieodrodny syn... — Zbigniew napawał się jego drapieżną, mściwą urodą, rozbuchaniem wciśniętą w drewnianą klatkę.

Naraz Zbigniew rozdał chrapy tak, jak ten zwierz w klatce, zbladł i jął powoli odmykać skobel.

Ogier stulił uszy i klapnął obnażonymi zębami tuż nad głową Zbigniewa. Czarny pysk stracił w tej chwili swoje podobieństwo i zmienił się w smoczą paszczę apokaliptycznej bestji. Człowiek skradał się drapieżnie ku zwierzęciu, trzymając za sobą zdrańcze powrozy uzdźwienicy.

Szybkim zwrotem tułowia ogier zmierzył w jego stronę i rznął kopytami w głuche deski

klatki: człowiek skoczył już na żłób i uchwycił go pełną garścią tuż nad nozdrzami, dławiąc oddech.

Poczęła się milcząca uparta walka: ogier darł łeb do góry, chrapiąc wściekle i obnażając wielkie zęby aż do krwawych dziąseł, człowiek cisnął łeb ku dołowi i ostrożnym ruchem podnosił uzdę. Naraz żelazo stuknęło o rozdziawione zęby, i uzda opłotła łeb nieznosnym uchwycem. Nie pomagało szamotanie łbem, ni wspinanie się dęba: wodze uzdy przeciągnięte przez koło u żłobu ciągnęły powoli łeb ku dołowi i zatrzymały go na moc w upokarzającym ugięciu karku.

Ogier chrapnął i zezował wściekle ku górze na stojącego nad nim człowieka: czatował na odwet.

Teraz człowiek oparł mu silnie rękę na grzbiecie i wlał w nią cały swój ciężar. Rozpaczliwie wbijając zęby w żłób, koń walił nogami naoslep poza siebie. Ale naraz na grzbiet jego spadł ostry, piekący raz i jeszcze, i jeszcze... Każdemu wyrzutowi nóg odpowiadał karzący, przenikliwy bat. Ustał więc, dysząc wściekłością, i tylko potężny zad jego podrygiwał skurczami piorunowych uderzeń.

Teraz łeb jego został naraz uwolniony z uwięzi,

a cała moc panowania nad nim przeniosła się wtył, na grzbiet, gdzie uczuł znowu ciężar.

Ogier stał chwilę w niepewności, a tę chwilę wykorzystał człowiek: całą mocą zwrócił potężny łeb w stronę otwartych drzwi klatki i nacisnął kolanami. Ogier wyskoczył na ceglany korytarz stajni, zaszamotał wściekle łbem, ale uczuwszy nowe pchnięcie, wyskoczył na dwór.

Tu uczuł wreszcie, że jest wolny, że tylko to coś obcego, co spadło mu na kark jak ryś, gwałci jego rozmach. Wygiąwszy grzbiet w doskonały łuk, wyrzucił nogi naukos wtył i jeszcze raz, potem spał się na tylne nogi. Stał z rozdziawioną paszczą, przebijając przednimi nogami w powietrzu, i był już pewien zwycięstwa, gdy między uszy spadł mu potężny grzmot pięści, który go oszołomił i rzucił na kolana.

Z wściekłym chrapnięciem porwawszy się z ziemi, ogier rzucił się w szalony galop, wyskakując z siebie w każdym susie. Gnał dokoła gumna, przechyliwszy się potężnie ku środkowi, potem osłępły z pasji, rzucił się kędys wprost przed siebie...

Zbigniew stalowymi nożycami nóg wcinął się w potężny grzbiet, z pochylonem naprzód ciałem i ustami półrozwartymi w niewydanym, chrapliwym okrzyku bojowym. Nie dbał o następny czas, o koniec tej rozpętanej walki —

czuł tylko, że zwycięża potężny, rozhlukany żywioł, że narzuca mu swą pańską wolę.

W pewnej chwili zamajaczył mu przed oczami mętny zarys parkanu, został uniesiony w powietrze i długo spadał z powrotem. Uczuł dalej, że koń zatacza się pod nim, potyka i leci gdzieś na bok.

Był moment, że noga Zbigniewa dotknęła już ziemi, i nagła pokusa zachwiała jej ufą niewzruszoność. Ale trwało to ułamek myśli zaledwie: Zbigniew odepchnął pogardliwie ziemię i dał się unieść nowym porywom żywiołu. Ogier stał chwilę po upadku, rozkraczony głupawo i naraz porwał się z ordynarnem kwiknięciem, dobywając wszystkich sił.

Gnali prostą drogą, zacichłą w spiekocie dnia, a teraz wzburzoną do dna kłębami kurzu, otaczającymi jeźdźca i konia.

Ogier chrapał szorstko, a jego stalowe mięśnie mdlały w napięciu pod rozpaloną czarną skórą. Począł ustawać. Ale teraz zaświstał nad nim złowieszczy bat i siekł skórę nakrzyż. W ucieczce od tego bólu ogier zapomniał o ciężarze jeźdźca: wyrzucił swe ciało naprzód i naprzód. Czarny toczący się kłęb niósł się jak kometa, zakończona ogonem tumanu.

Zbigniew panował już całkowicie nad piękną

bestją; rozwarł nieco zemdlony uścisk nóg i odawał twarz wiatrowi pędzącemu zprzeciwka.

Naraz między jego oczy, białe wprost przed siebie, a długą linię drogi, wcisnął się ciemny punkt i szybko zbliżał się ku niemu.

Przebiegły galopem jakieś myśli i refleksje, ale zacięta w szczękach woła domagała się jeno pędu przed siebie. Nim Zbigniew zdołał rozróżnić powóz z Nowego Stawu, Marjana i Romę, już zostawił ich daleko poza sobą. Usłyszał tylko krzyk kobiety:

— Jak można!

Poczem rozróżnił turkot biegnący jego śladami.

Ogier zestrachany spotkaniem, tulił uszy i rwał naukos od drogi między rozstawione kopy zboża po niskiem ścierniu. Szarpał się z nim jeszcze Zbigniew i już nawracał ku drodze, gdy zrozpaczony skok przeniósł go nad jedną kopą. W drugą runął ogier piersiami i padł na ziemię zziąjanym, zapienionym pyłkiem. Zbigniew odleciał jeszcze dalej, ale w tej chwili zerwał się i stanął nad powalonym zwierzęciem. Ogier z wysiłkiem wyprostował przednie nogi, oparł się na nich i dźwignął zad. Stał teraz skruszony i pokorny, drżąc na całym ciele i ciężko robiąc bokami.

Zbigniew ujrzał przez czerwone koła miga-

jące mu przed oczami, gromadę ludzi, między którymi rozróżnił Taracha i Chabra.

— Co pan dziedzic?

— Na ogierze?

— Że też nie zabił!

— Ce skażena hadiuka!

— Ne daj Boh takoho żrebcia!

Zbigniew stał z gołą głową wśród swojej gromady i dyszał radośnie. Wielki triumf jego wylał się w pospolitych słowach:

— Ujeździłem juchę.

Tarach kręcił głową:

— Pamięta pan dziedzic Ciucha, co to ten warjat jest po nim?

Zbigniew przytaknął.

— A przecież już był ujeżdżony jakem na nim jeździł, ale tak!...

A Chaber:

— No, już nasz pan dziedzic, to.. to nie wiem!...

Teraz dopiero zaterkotały koła, i z za kopie wyszli szybkim krokiem Marjanowie. Roma ujrawszy go całego, zwolniła kroku i ścięła usta:

— Przestraszył pan... nas.

Zbigniew zgiął się w reweransie:

— Ogromnie żałuję. Była to poprostu moja zabawa. Nie chodziło mi o cieszenie czy straszenie kogokolwiek po drodze — i uprzejmie — a tem mniej państwa.

Roma słodkim głosem:

— Przyzna pan jednak, że to... nierozsądne.

— Łaskawa pani, nieraz warjacja jest mądrzejsza od rozsądku, a już napewno — piękniejsza.

— Tak, jeżeli to brać literacko...

— Nic nie biorę literacko! — ordynarnie bryznął.

Coś zawisło między nimi w powietrzu, i Marjan nieporadnie patrzył kolejno w oczy, zaniepokojony i zły.

— Ależ — zakrzętał się naraz Zbigniew, w nadzwyczajnej uprzejmości — niech-że państwo do dworu... Ja zaraz...

Dał karemu wygrzebaną z kieszeni kostkę cukru, którą ten przyjął ufnie i dał się poklepać. Zbigniew pottrzymał mu chwilę przed nozdrzami swoją dłoń i mruknął:

— Poznaj pana:

A do Taracha i Chabra:

— Będzie się także nazywał — Ciuch!

— Rozumiemy, panie dziedzicu.

Marjan jakoś krzywo zezował na nich i wraz zaczął wybierać się do odjazdu:

— My tak tylko... przejazdem. U nas też żniwa... robota...

— W każdym razie myślę, że na dożynki.. W tę niedzielę...

Słabo obiecali i ruszyli za chwilę. Marjan

obejrzał się jakoś zazdrośnie czy smutnie. Wpadli w tuman białego, lekkiego kurzu.

.....
Dla Zbigniewa dożynki były prawdziwym świętem: już od rana czuł ten radosny niepokój, który znał z dziecinnych radości gwiazdkowych. Ale było i coś więcej: duma i święta niemal powaga. To była przecie uroczystość jego gospodarstwa, jego zbóż, jego pól.

Z nabożeństwem tej chwili przeplatały się drobne sprawy i kłopoty mile przyjmowane za to, że przyczyniały się do rzeczy głównej:

— Czy Tarach nie za mało piwa kupił?

— Po muzykantów jeszcze fura nie poszła!

— Stoły trzeba chyba wynieść na dwór, pod lipy? W starym dworku świętowano w dużej sali, ale teraz...

— Gdzie choiny do ubrania stołów? A ławy...

Jak w każdym święcie — uśmiechały się ukradkiem wzajem robione niespodzianki, tajemnicze przygotowania, których umyślnie nie widziano.

W miarę jak dzień popielił się i przygasał, Zbigniew coraz bardziej podzegał swój niepokój: ledwo ciocia Femcia ze śmiechem wypędziła go z kuchni, już wpadał w drogę dziewczynom rozkładającym łyżki i widelce.

Z wielkim trudem wyrwał się z tej kręta-

niny i usiadł na ganku, w pogotowiu oczekiwania. Uroczyście zapiął wszystkie guziki kurtki i siedział sztywno jak w ławce kościelnej.

— Panie dziedzicu, muzykanty przyjechały.

Obejrzał więc czterech żydów uważnie, wskazał im miejsce, skąd zakazał się rozchodzić, i znowu wrócił na swój posterunek.

Muzykanci wzięli się dopiero do strojenia instrumentów, a tu już prawie szaro... Nie zdąży! Aha! światło przygotować...

Biegał po domu, wyciągając szuflady:

— Gdzież te świece?

Potem odkorkowywał butelki. I właśnie kiedy nadał się nad ostatnią, ściskając ją zawzięcie kolanami, od czworaków wykwitły jaskrawe i piskliwe głosy dziewczyn:

„Aj, u naszoho didyca

„W pole stojała pszenycja“...

Wściekle szarpał korkociąg, myśląc z zalem i oburzeniem:

— Zawsze nie tak wypada...

Wybiegł wreszcie na ganek, wycierając ręce o spodnie, obok niego, ale nieco ztytu, znalazła się ciocia Femcia, potem zbiły się w drzwiach dziewczki z kuchni... A śpiew rósł i rozlewał się i zbliżał:

„A u naszoho pana

Hryczka rano siejana!“

Chorągiew na dachu.

Zbigniew zastygł na przodzie ganku w twardej postawie i obejmował oczami gromadę idącą ku niemu wolnym, kolebiącym się krokiem. Stanęli wreszcie tuż pod gankiem, u nóg Zbigniewa, i wnieśli snop śpiewu ku górze.

Zwolna zszedł Zbigniew po stopniach i odebrawszy złotą czapę słomianą, wręczył przodownicy złoty pieniądz, potem uroczyście, pozwoli ukoronować się.

Żydkowie z własnej pobudki ucięli jakiś majufesowy tusz, bardzo śmieszny i bardzo miły.

Rozległy się okrzyki, ułożone znać zgóry, oraz improwizowane:

- Chaj żywe, nasz pan didycz!
- Szczob wam szczastliwyłość wo usiom!
- Daj wam Boh, harnu żinku!
- Sława Bohu!

Zbigniew przepijał w ręce Taracha, który ze znawstwem przejął buławę butli. Podchodzili teraz kolejno, zadzierali do góry głowę szybkim ruchem pijących kogutów, poczem krzywili się z należnem obrzydzeniem, oddawali kieliszek i dziękowali. Dziewczyny zaś popijały, odwracając się wstydliwie na bok i wlewając resztę z kieliszka.

Obiadali zatem długie stoły, godnie biorąc się do potraw, dymiących w donicach i miskach.

Zbigniew chodził między nimi, przepijając i zachęcając do jedzenia.

Ciamkali z przekonaniem, sapiąc we wasy mężczyźni, a kobiety uważnie i z dystynkcją przykładając do ust dziób łyżki.

Nagle, z wielkim animuszem uderzyli w nich muzykanci polką zawadjacką. Młodzież ruszyła zaraz od stołu i nieśmiało łączyła się w pary. Zbigniew podszedł do przodownicy, objął ją wpół i gracko zawinał dokoła. Muzykanci podwoili impet, a wślad za dziedzicem napełniła się polanka za stołami, tańczącą gromadą.

Zbigniew przytupywał i zawracał, improwizując zwarjowane „pas“ w takt dziwnej polki muzykantów miasteczkowych. Rozgrzane już temperamenty wybuchały okrzykami zadziwrystemi.

— Hopaká! — rzucił Zbigniew w gromadę jak zarzewie.

— Hopaká! Trepaká! — buchnęła cała gromada i skłębiła się w sobie zajadle. Nawet starsi wstali od stołu i wzmocnili koło zacieśnione wokół pierwszej pary.

A ci mieli się znać ku sobie: młody chłopak z kozackim lokiem włosów, wystającym z pod czapki, i ciemna dziewczyna w haftowanej koszuli.

Żydkowie zanieśli się porywczą a monotonną melodią.

— Ech! — ja! — wrzasnął chłopak i wraz usiadł na piętach, uderzając w ręce.

Zaczem poderwał się, stając na pięty i znów spadł, uderzając głośnym, szybkim werblem po cholewach. Takimi rzutami zbliżał się do dziewczyny, która, ująwszy fartuszek, wstydliwie drobila sprężystymi nogami.

— Uch — ja! — huknęły wkoło wrzaski i całe koło jęło przytupywać i przyklaskiwać.

A ten, w środku, zerwał czapę, odrzuciwszy ją gdzieś w bok i nacierał coraz zuchwalej: nie spodziewanemi obrotami wił się dokoła dziewczyny, skakał wściekle, uderzając rękoma w obcasy, spadał i odbijał się sprężystością. Kiedy zaś dziewczyna, ciągle drobiąc, cofać się zaczęła wtył, chłopak niedbale półodwrócił się od niej i jął błyskawicznie wyrzucać nogi do przodu, ująwszy się pod boki. Zaczem dziewczyna zbliżała się nieznacznie, zerkając ku niemu, aż skoczył, objął ją wpół, zakręcił wściekle i skłonił się przed Zbigniewem. A już w kole stała druga para...

Naraz trzasnął dwukrotnie bat tuż przed gankiem. Zbigniew odwrócił rozognioną twarz: z Nowego Stawu. Witai ich jeszcze, gdy nadjechały następne: z eleganckiego amerykana wysiadał młody jeszcze pan z małemi, zaczesanemi płasko wąsikami, z wyniszczonej nieco naj-

tyczanki — pyzaty szlagon z chudą małżonką i trojgiem czy czworgiem jeszcze osób, z rozkraczanego tarantasu — przysadzista dama z wzrostkiem w bluzie gimnazjalnej i czapie z palmami.

Znał ich Zbigniew wszystkich jeszcze z wesela Romy.

Młody pan Noskowski wyskoczył elegancko i cisnąwszy zarzutkę, smakowicie obliżywał się w stronę dziewcząt:

— Przepióreczki tu sąsiad chodujesz, chę?

— A my tak bez pardonu! — basował Marciński — wyładowując swą tyczkową żonę i jej rodzinę miejską, która obsiadła skwapliwie jego chude dziesięciny.

— Proszę, bardzo proszę — mruczał Zbigniew.

A Marciński wypychał przed siebie kolejno: ponurego człowieka z bujną czupryną, tłustą kobietkę z miną kucharki i równie tyczkowanego jak żona — podlotka.

— Pozwoli pan — elegancko basował — brat żony, jego żona, siostra żony...

Zbigniew ścisnął rękę ponuremu panu, który wyzywająco oświadczył mu:

— Kwiatkowski jestem.

Witai dalej jego pulchną żonę i przyjął lekceważąco podaną rękę podlotka. Potem biegł wy-

dobywać z tarantasu panią Nusię Znamierowiczową, wdowę, i witał jej syna.

Z rumorem wchodzili goście do dworu, wśród ciszy zapadłej nagle na dziedzińcu. Zbigniew obejrzał się z żalem na gromadę i naraz zbiegł po schodach:

— Szczęż wy ne hulajete? — huknął ochoczo. — Ceż wsio dla was zrobieno! Hopaka!

— Chaj żywe sto lit! — huknęło z gromady, ale szczyrzej i huczniej, niż pierwej.

Eh — ja!

Zbigniew rozsadał gości przy stole, który dzięki cudom cioci Femci był już nakryty i zastawiony. Pan Noskowski zasiadł kamieniem przy pani Nusi i szeptał jej coś zawzięcie.

— Aż, niewiedzieć co! — spłonęła korpulentna wdowa. — Pan Ludwik zawsze...

— Panie Ludwiku — spłynęło uprzejmie z ust Romy — gdzie żona? czy...

— Chora, chora! — prędko zbył pan Ludwik i zwrócił się do panów. — Czytaliście panowie gazety?

— Ja tam nigdy... — zaczął basem Marciński i uciał.

Zbigniew obojętnie nalewał kieliszki, słuchając nieustannego rytmu kozaczka za oknem. Mało co słyszał z przemowy pana Ludwika.

A ten głosił:

— ...To jest oczywiście casus belli — powód do wojny... Austrija posłała Serbji takie... ultimatum... Z tego może być panie...

— Ha, może owies pójdzie w górę? — westchnął nabożnie Marciński.

— Niby dlaczego? — napadł go ponury brat żony.

— No, jakże, Adeczku? — bronił się szlagon. — Kawalerja przecie i ta... artylerja, a konie bez owsa, panie tego...

Marjan rozglądający się dokoła, jakby nie poznawał miejsca, milczał zawzięcie.

— A daleko od nas ta Serbja? — zwróciła się pani Nusia do swego gagatka, nie wiedzącego, co począć z czerwonymi łapami.

— Na bałkańskim półostrowie — mruknął łamiącym się głosem.

— To... ileż mil dla przykładu? — popisывała się dalej.

— Mil? — mruczał do talerza — my w gimnazji na mile nie przechodzili...

Coś obcego, twardego dostrzegł Zbigniew w tej osmyczonej po rekrucku głowie i badał ją niespokojnymi oczami. Na przekór zimnym falom dreszczu rozdrażniał niejasne wspomnienia:

— W której-że klasie „kawaler“?

— Bardzo dobre noty dostał — skwapliwie

terkotała pani Nusia — tylko jeden inspektor przydzira się...

— Inspektor? — powtórzył Zbigniew, i nowy dreszcz przepłynął w jego wnętrzu. — A kto jest?...

— Majakowski.

— Maja... — Zbigniew myślał, że męczy go znowu ciężki sen szkolny, jak to bywało kilka lat po wyjściu z „gimnazji“. Znowu nie będzie rozumiał co mówi do niego nauczyciel, znowu nie potrafi sobie przypomnieć, co to za lekcja... Ale potem przecie obudzi się.

— Taki łysy, rudy? Z boków ma takie kępki... — gorączkowo kreślił ręką nienawistną sylwetę.

— On sam — ożywił się gimnazysta.

— Łaciny uczy?...

— Łaciny.

Zbigniew z nienawiścią patrzył na czarną bluzę gimnazysty, ze świecącymi guzami. Czuł za nim wrogi świat, który był mu dotychczas tak szczęśliwie daleki. Teraz wstawał przed nim w swoim odrębnym całokształcie i groził każdym guzikiem munduru, każdym oknem wielkiego żółtego gmachu, każdym słowem, brzmiałem szorstko i wrogo.

— Pan był w naszej gimnazji?

— Byłem... — osłabł Zbigniew.

W ciężkiej, bezmyślnej ciszy, która zapadła między nimi, wybiła się rozmowa z drugiego końca stołu:

— Cóż? my tu jak odcięci od świata... — huczał Marciński — po tygodniu przychodzi wszystko. Mój Nuchim przywiezie czasem „Kurier“, to człowiek wyczyta, jak ma czas...

— Ja na miejscu Francji — oświadczał pan Ludwik — stanowczo skorzystałbym... Zabrać Alzację, Szwajcarję...

— A Niemcy? — ponuro rzucił Kwiatkowski.

— Niemcy? No, cóż — Anglja pomoże...

— Zresztą wojny nie będzie — oświadczył Kwiatkowski.

— Proszę? Informacje... — pan Ludwik odjął kieliszek.

— Żadne tam... Proletariat nie dopuści.

— Phy! Kto? Ten Hryćko czy Hawryła?...

— Nie będzie wojny — upierał się ponury szwagier Marcińskiego.

— A ja powiadam — podniecał się pan Noskowski — że cała Europa, panie... tego...

— Aby tylko daleko — wmięszała się pani Nusia — to niechaj.

Pan Noskowski był rozdrażniony:

— Otóż to, że ja twierdzę... Nasz żołnierz jest doskonały, taki kozak na przykład...

— Właśnie! — ożywił się Marciński — dzie-

wieć lat temu będzie... Miałem na folwarku do ochrony pięciu... Wyjechał tylko z nahajką... starszy ich... jak huknie: „Won!“ to cała banda jak wróble...

Pan Ludwik niecierpliwem oczekiwaniem zepsuł mu i zmieszał cały smak opowiadania. A teraz wracał do swego:

— Napewno cesarz niemiecki zrobi przy mierze z naszym...

Jakoś zbyt już skwapliwie wplątuje się Zbigniew w rozmowę z Marcińskim:

— Młóci pan?...

— Tak tam... Na ordynarję... Poczekam, może ceny...

— A teraz?

— Phy! Nuchim mówi, że spadną jeszcze, ale łże, jucha.

— Buraki pan miał?

— Niby, trochę... Ale cóż? nasza cukrownia... Ale sąsiad podobno stadninę...

— A tak — poprawia się Zbigniew — mój Migdał, jak pan wie...

Nawet ponury Kwiatkowski obraca się ku niemu. Pan Ludwik urywa rozmowę i dziwi się:

— Od Sanguszeki?

— Tak, właśnie. I dlatego stadnina...

— Ja wolę zimno-krwiste...

— Ale co pan!... Na nasze roztopy? Po bruku, do wożenia piwa to tak, ale...

— No, a pańskie chyba tylko pod wierzch?

— A do remontu? — broni Zbigniewa za perzony Marciński.

— No, tak... do wojska...—mruży pan Ludwik.

Zbigniew trafia znowu na tę zimną, obcą ścianę i zawraca gorączkowo. Nawet z reweransem w stronę pana Ludwika:

— Zato pana obora...

— A tak! — odyma się nieco tamten. — Holenderki i Szwycy...

— Widzę, że pan stał się zapalonym gospodarzem... — cedzi Roma z drugiej strony.

— A no, widzi pani — rubasznie śmieje się Zbigniew — na swoich śmieciach...

— Tak, tak — przytwardza Marciński — niech nikt do mnie. Ja tu pan.

Osiadali się twardo na krzesłach, odrzucając głowy, nawet chuderlawy pan Ludwik jakoś godniej...

W tę chwilę wdreptała kłopotliwie ciocia Femcia. Gorącym, usługującym szeptem sączyła przedziutką, zastrachaną wieść:

— Urządnik... do ciebie... papiery jakieś...

Ale już twarde buty łomoczą miarowo, i wielki chłop, w mundurze, przy szabli... Aha, to Fiedoszczuk, urządnik, ale...

— Ja do pana didycza.

Mówi jak każdy Hawryło czy Apanas, ale coś obcego w nim, czy poza nim. Może to, że łeb ma osmyczony jak ten... gimnazista. I te guzy błyszczące... Wygląda, jakby znał inspektora Majakowskiego...

Małe, trwożliwe poruszenie przy stole: odzrucone wtył głowy schylają się, ciągną ku sobie ni to gęsi zastrachane:

— Może wódki mu?...

— Może coś?...

— Może...?

Zbigniew wstawał zwolna, aż wyprostował się piersią naprzód podaną w obronie:

— Cóż?

— Mobilizacja. Wam przyzw w wojennuju służbu! — twardo odbębnił Fiedoszczuk, uria-dnik.

A gimnazista przechylony przez ramię Zbigniewa, z ponurem zadowoleniem wyławiał metalowe, błyszczące słowa:

— Jawit'sia niemiedlenno... srok ischodit... prikaz...

BIBLIOTEKA
A. G. SYRKINA
= w Wilnie =

W duchocie rozgrzanych ciał i odzieży, w mętnej migotaniu latarki, trząsł się Karczewski w takt zająkliwego stukotu wagonu.

Leżał na górnej półce, rozesławszy pod sobą palto, i podnosił od czasu do czasu ciężkie, stężale oczy. Z wyżyn jego legowiska widać było nieruchome kłęby ciał, tam i sam rozrzucone.

Wszystko w wagonie drygało śmiesznie i obrzydliwie. Ciała podskakiwały jak wstrząsane trupy, a koła gadały coś prędko, nieznosnie kpiąco.

W sąsiednim przedziale mruczał głos monotony nutę żałosnego pacierza. Jakiś niewidoczny ktoś opowiadał drugiemu komuś biedne koleje swego życia. Unoszony w pędzie wściekłym przez puste, jesienne przestrzenie, gubił po drodze swoje małe, śmieszniutkie „ja“ i uporczywem dukwieniem swej historii starał się potwierdzić wiarę w siebie.

Karczewski tracił chwilami wątek rozmowy, i zda się — zasypiał na długie godziny, a kiedy budził się, monotony jej rytm trwał nieustannie.

— Szwagier mój, znaczy się — mówił bezbarwny głos w rusińskim narzeczu — chce się dzielić. A ja mówię: jakże? Toż zapisane na mnie, a siostra — wiadoma rzecz — na spółkę. Nie po prawie ty — mówię — chcesz. A przytem robotnik on, szwagier znaczy się. Nie rolnik on, nie wyzna się.

Tu wagon przekrzyczy mizerną strużkę blado go głosu, i znów strzępy jakieś:

— Przyszał ja wreszcie... W jednej chałupie — wiadomo — babskie nasienie, sobacza ich mać... Ale zawsze siostra... A tu w „moskałe“ mnie wzięty... Nie uradzisz, och, nie...

Groźnie brwi marszczy Karczewski, odwraca się od rabskich zawodzeń, ale próżno: tak samo unosi go w niechętnym kierunku odmierzany stukot... Próbuje wskrzesać obrazy swego gumna, swoich koni i swoich ludzi — ale wszystko mięsza mu się i mgławi w zaduchu żółtej lampki.

Rankiem stają na zapasowej linii bylejakiej stacji. Zielony kubeł z wodą, kubek obity na łańcuszku, wagony z sianem, drzewem... W dojmującej mgiełce ranka wstrząsają się rozprężone ciała, wytrzeszczają zaspane oczy na odciśniętych śmiesznie twarzach. Biegnań prędko do kubła i piją mętłą wodę, a potem przeciągają rozdygotane mięśnie:

— Uch — aaa!

Za powrotem uderza w oświeżone nozdrza zgęszczony zaduch ludzkiej nory, i stoją w otwartych drzwiach niepewni, póki z wnętrza nie szczekną wściekłe głosy:

— No, czego tam, czorty proklate!

— Gorąco im, trascia ich mater!

— Zaczyni!

— Ech, wy tam!

Wdepną więc w gęstą duchotę i zaczadzają się na nowo. Nierychło dopiero dźwigną się martwe kupy mięsa, przyrzucone szmatami, i każda z nich na odmienną twarz się zdobywa.

Brzęczą metalowemi czajnikami, dobywają z brudnych chustek kawałki cukru i czekają: ktoś już wie, nieznanym sposobem, że tu i tu stać będą, i „kipiatok“ można będzie wziąć.

Szlacheckie obrzydzenie odwraca znagła Karczewskiego od tych szarych kostek cukrowych i wilgotnych pająd chleba dobywanych z zaapocowanych koszul. Ale brzuch bureczy ordynarnie, wewnątrz od zimna podkurcza, i takby się gorącej herbaty wlało w nie!

Zatłukł się pociąg na zwrotnicach, zachwiał i zmieniał niedbale szyny, jak koń idący z nogi. Już sięgnął Karczewski po swój emaljowany czajniczek i... wstrzymał się.

— Panie dziedzicu! — zaszeptał naraz chrapliwy, zduszony szept — panie dziedzicu!

Karczewski w wielkiem zdumieniu obrócił się na swem wyrku.

Tuż nad jego krajem wystawał garbaty nos ni to faktora, ni pachciarza, a pod nosem płaszczył się szeroki uśmiech.

— Co to jest? Dlaczego pan dziedzic nie chce herbaty? Ja przyniosę — już? — długie palce sięgają po niebieski imbryk.

Uśmiecha się radośnie Karczewski, jakby w najtyczance siedział. Łaskawie:

— Znasz mnie?

— Dlaczego nie znam? Ja raz owies kupowałem w Poddębcach.

Zbigniew spuścił nogi, wyprostował się i poprawił czuprynę.

— Zabawny żyd — uśmiecha się — nietyle wieczny tułacz, co wieczny faktor.

I niecierpliwie wygląda przez zapotniałe okno, czy nie idzie! Wita go uśmiechem znajomym i chce wsunąć złotówkę w zakrzywione palce.

— Niema za co, panie dziedzicu — odsuwa się żyd.

— Hm. Kolega przecie — błyska zjadliwa myśl.

Może to rozumie poczciwy faktor, bo łagodzi:

— Ja tak, z życzliwej przyjemności.

Opuszczają się ze stukotem górne ławki, i głośnie ciamkanie i siurpanie sapie w kłębach pary. Radosne ożywienie karmionego stada wybucha w krótkich uśmiechach, żartach, toporem do kantu ciosanych.

Już tłum, spędzony obcą wolą — twarz wspólną tworzy. Znajduje się żartowniś gro-mady i rezoner, i pośmiewisko. Wymacują się ludzie, wybierają, dobierają.

Karczewski pije swobodnemi łykami radośnie ciepły napój i lustruje pięciu współtowarzyszów przedziału.

Oprócz żydka jest trzech ponurych parobczaków z zakręconym łokiem na czole i ktoś jakby z waszecia... Przez ich głowy rzuca Karczewski żydkowi:

— Dawno to kupiec był w moim majątku?

— Ja wiem? Może miesiąc... Pan dziedzic nie pamięta?

Podnieśli głowy parobcy, patrzyli długo karpimi oczami, nie przestając żuć, a wreszcie poprawili się na siedzeniu, wykazując nieco uszanowania. Zaś ów łyk czy półinteligent łyknął krótkim błyskiem i pograżył się w parę.

W miarę, w miarę, nie nadto, gawędzi sobie Karczewski z żydkiem. Zapomina ciągle, że to Goldschmidt i częstuje go Goldsteinem albo

Gelbfischem, ale komitywa tworzy się niezgorza. Jest mowa o wyce i seradeli, i majątkach okolicznych, i handlu, i wielu innych rzeczach, niemal *de omini re scibili*... szlagona i faktora. Nic się nie mówi tylko o tej wielkiej, sapiącej maszynie, która ich wiezie niewiedomo dokąd. Nie mówi się tylko o tej przyszłości, w którą ich wciśnie jakaś obca ręka.

Ale kiedy zażółciła się brudna latarnia, Karczewski wstrząsnął się nagłym dreszczem odrazy do siebie i skwapliwie podniósł deskę swego wyrka. Z urągowskim cisnął nań swoje ciało i z urągania tego jako z krzesiwa jął wybijać iskry suche. Nie miały się jednak jego zawilgłej w bierności duszy.

Wszystko, co próbował wznosić przeciw naporowi obcej mocy, rozpadało mu się w szybkim kłusie wagonów. To jedno, ten łomot jednostajny, był prawdą i siłą.

Dokoła siebie macał drżącymi rękami i wszędy napotykał mocne ściany, urzędową farbą błyszczące. Ciało jego tłukło się jednym rytmem ze wszystkimi ciałami, a nad całym wagonem rozciągnęło się głupie, gładko wymalowane sklepienie, popstrzone metalowymi guzami.

Znowu jakaś stacja z zielonym kubłem i napis długi: „Nowo-Nikołajewsk“. Napis ten, bar-

dziej niż inne nachalny swoją urzędowością i obcością, coś znaczy, coś mówi...

Dlatego może wysiedli tutaj, szli przez szerokie ulice, koło domków z zielonemi dachami. Domki były z grubych kłoców, grubych, czarnych kłoców zakładanych na węgiel.

Takie właśnie „izbuszki“, jak w książce do czytania, w „chrestomatji“.

— Pachniet sienom nad ługami... Diedka za riepku, baba za diedku. Mużiczok s nogotok... — gwałtem ciśnie się Karczewskiemu, a potem jeszcze — Zakon Bożij — piat', Wsieobszczaja istorja — czietyrie, Arifmetika — tri...

A teraz leży na narach, na górnej półce, ale pociąg idzie w dalszym ciągu: nary się kołyszą, słysząc stukot, pełga żółta lampka, i czyjś monotonny głos opowiada zdławionym szeptem.

Tak — prawdopodobnie — będzie zawsze. Zawsze będzie przygniatać jakaś nieomylna rzeczywistość zamglone myśli, zawsze będzie stać zielony kubeł, i napisy z obcych liter będą groźnie zapowiadać przyszłość. Zawsze będzie taka pustka pod czaszką i niepotrzebne błąkanie się po nieznanym drogach.

Rankiem zaruszało się całe wnętrze sali zastrachanemi figurkami. Bezładny tłum wyganiano w brudną szarość. Każdy z nich dla sie-

bie miał twarz i nazwę, ubranie każdego miało inne, właściwe i konieczne zmarszczki, ale zegnani w stado byli kupą baranów, bezładną, pstrokatą trzodą.

Naprzeciwko nich wyszło kilku ludzi tylko. Kilku ludzi szarych, zwięzłych, jednakowych. Sprawnie stanęli przed tym, który później wyszedł.

Kilka suchych słów, i rozpadli się. Szli do bezładnej kupy ludzkiej. Szybko, sprawnie strychowali ją w długi szereg, według wzrostu. Potem wpychali co drugiego w tylny szereg. Wpychali jak bezduszne wory. Szybko się uwiązali: ugnietli, oklepali tę glinę ludzką. Wyrównali. Potem jeden z nich poszedł równym krokiem do tego, który stał w drzwiach. Przyłożył rękę do czapki i stał tak chwilę. Potem wykręcił się na pięcie

Dopiero zbliżka zobaczyli, że tamten miał inne szlify i inaczej szytą szynel, guzy inaczej rozmieszczone.

— Paruczik — zaszemrał ktoś zamierającym bezgłosem.

Młody był, ładny. Pod strzyżonym wąsem błąkało mu się coś, co mogło być uśmiechem i razem czaiło się groźnie. Wydobyl z kieszeni kredę, taką od kart. Podeszedł do najwyższego

chłopa i napisał mu na ubraniu, na piersiach, dużą jedynekę. Potem dwójkę, trójkę...

Szedł, znacząc jak bydlęta na rzeź. Tak, ot sobie na ubraniach.

— Dwadcać szesć — usłyszał Zbigniew, i słaby podmuch buntu zmarł w nim natychmiast.

Podzielili ich na równe kawały. W lukach stanęli szarzy ludzie, jak wyraźne, zwarte jedyńki na czele zer. Potem obrócili nieruchawe cielsko gromady na prawo. Szło toto starannie, skwapliwie, ale tak niezdarnie, jakby chodzić zapomnieli.

Z za węgła wyszli wprost na inną gromadę. Nie, to nie była gromada. To była maszyna, broń, narzędzie.

Właśnie z długiego węża urastał szybko zwarty mur. Mur najeżony ostro, jednolity, twardy, nieukąśliwy. Stanęli. Coś chrzęstnęło, ostra szczecina spadła wdół i stanęła. Potem naraz zahuczało stamtąd groźnie i twardo:

„ am jedwa zaria nastaniet,
Stroj piechoty zaszumił,
Barabany gromko grianut,
Stroj sztykami zablestit! ”

Biła w nich ta prosta, żołnierska pieśń elementarna siłą. Czuli w niej brutalną pewność siebie i chcieli już być im równymi. Już przej-

mowali się dumą, już uczyli się praw tego nowego świata.

A zwłaszcza, gdy im dano mundury. Przy mierzali skwapliwie, wciągali się w jednostajną szarżyznę, szczylicili się nią. Porzucali swoje własne ubrania, jak łachy hańbiące. Nie pasowały bowiem do równych kwadratów i szeregów.

Zmieniali się odrazu i niespodzianie. Mniejsza o to, jaki był człowiek. Teraz już widać, jaki będzie żołdat.

Goldszmidt, już zaprzyjaźniony z potężnym „kaptinarmusem” — magazynierem szepcze Karczewskiemu, grzebiącemu bezradnie w stosie przepoconych „rubaszek”. Szepcze cicho w urzędowym języku:

— Jemu trzeba dać pięć rubli. On da nowe.

Teraz i Karczewski junactwo żołdackie z siebie dobywa: ściągą zmarszczki, furażerkę przekrzywia, przeży się.

— Mołodcom! — uśmiecha się z brody gęstej, upasiony „kaptienarmus”.

W kociołkach jedzą żołdacką zupkę i chwala sobie:

— Niczego, sytna.

— I cukru, powiadają, dwa kawałki na dobę.

— Niczego sobie. A porucznik nasz jaki?

— Dobry mówią, jeśli nie przewiniś się.

— Wiadomo! Porządek znaczy się... koniecznie.

Na narach porożsiadani słuchają, jak objaśnienia, objaśnień „wzwodnego”¹⁾:

— Pierwsza twoja władza — „oddzielonnyj”²⁾. Potem ja „wzwodnyj”. Wzvod nasz trzeci. Dowódca pół-roty, porucznik Filosofow, dowódca rot, kapitan Bulubasz... Jeśli spotkasz „rot-nego” — stajesz „wo front”... — Porucznika tytułuje się „błagorodje”, pułkownika...

Długie potem dyskusje na ten temat:

— Jakże to? Feldfebel ma jeden złoty pasek tak i jeden tak, nie?

— Powiadają ci, że to podpraporszczyk...

— Dobrze, a jak mówić to?

— Wiadomo: „panie feldfebel”...

— Sam-że mówisz, że nie podpraporszczyk.

— Och, głowę ty macisz tylko!

Na rano, cały plac usiany nierównymi grupkami. Niezmordowane głosy „oddzielonnych” i „wzvodnych” chrypią gorliwie:

— Adstawić! Jeszcze raz!

— Wyżej rękę! Głowa w prawo! Tak... „Zdorowo mołodiec!”

I odpowiedź w głupim szczekaniu:

— Zdraw złam wasz brodz’!

I jeszcze w prawo i jeszcze w lewo i „smirno” i „wolno” i ta wielka filozofja salutowania:

¹⁾ plutonowego,

²⁾ sekcynny.

— Środkowy palec prawej ręki ma trafić w to miejsce, gdzie daszek styka się z lampasem. Ręka w kiści niezgięta, paznokciami obrócona ku górze, łokieć narówni z ramieniem. W marszu lewa ręka przyciśnięta do ciała, nogi wybijają krok silny, całą podeszwą, „pieczętują“. Oczy zawsze zwrócone na władzę.

Wpędziło ich to wszystko w nowy świat i zmusiło do zajęcia się jego tajemnicami. Ani przypuszczali, widząc szarego żołdaka w twardej zmarszczkach szyneli, że tyle wiedzy zawiera jego prostota. Potrafią godzinami rozmawiać o tem, czy biorąc karabin na ramię, lewa ręka kurczy się, czy pozostaje wyciągnięta, i czy przy równaniu w prawo głowa pochyla się ku przodowi, i czy wówczas lewe oko jest wyżej czy prawe.

Zdrowy zapach razowego chleba przenika ich obolałe mięśnie, gdy rzuca się wieczorem na nary. Gorączkowy pośpiech ćwiczeń wali się na ich głowy co dnia nową falą. Ledwie nastarczy kroku.

Zbigniew wybrał sobie miejsce na górnych narach, z brzegu. Ma to tę dobrą stronę, że jest tylko jeden sąsiad. Jest nim ów ktoś z waszecia. Za nim zaraz leży Goldschmidt, który zresztą w tych dniach pójdzie do kancelarji.

Twarz sąsiada niepokoi Zbigniewa. Szuka

już od pewnego czasu w pamięci dawnej odbitki. Ma uczucie, że zaraz, zaraz powinna się znaleźć klisza, odpowiadająca tym rysom.

Obserwuje go w koszarach i podczas ćwiczeń. Żołnierz z niego marny: karykaturuje precyzję każdego ruchu, zniekształca, rozmięcza geometryczne kontury obrotów. To też Zbigniew nie może się pozbyć lekkiej pogardy. Zbigniew bowiem z junakierją stuka obcasami i drewnianymi rzutami ciała odpowiada na suche szczęknięcia rozkazów.

I on, ten ponury, ciemny chłopak ogląda zpodoba Zbigniewa. Krąży koło niego nieznanie i łypie nieufnie. Wreszcie Zbigniew spróbował ostrożnie, gdy się ułożyli na narach:

— Czy myśmy się gdzie nie spotykali?

Zezem ściganego wilka, obejrzał się ów na wszystkie strony i wprost w ucho wyszeptał gorącym tchem:

— Ostrożnie... trzeba...

Mimowoli na łokciu oparł się Zbigniew.

— A co?

— Podśłuchują... A my — znamy się... Ja Jazwin... Pamiętacie w gimnazji?... Z Majakowskim awantura.

— Aha-ha-ha! Naturalnie... Cóż wy?

— Jakżeż wy w wojsku czujecie się? — odpowiedział pytaniem.

— Ja... w wojsku? — Zbigniew dziwił się ogromnie, że można stanąć z boku poza sobą. Wyjść z szyneli i rubaszki i gołym okiem spojrzeć. Rozejrzał się wkoło, wdół: pokotem leżały chrapiące ciała jak tam, w wagonie. Zaduch przewalał się w cuchnących kłębach, i lampka pełgała plugawie. Teraz Zbigniew spojrzał na siebie: był w bieliźnie, i to miało jakiś głębszy sens, którego nie umiał znaleźć.

Patrzył w zakłopotaniu na twarz Jazwina i skubał język koszuli w niebieskie paski; domowej koszuli, na której był czerwony monogram wyścibany pracowitą, starą ręką cioci Femci.

I naraz, w jednej sekundzie przesunęła mu się przez mózg długa wstęga: budynek „gimnazji“... miasto... redakcja... Tunek... Poddębce...

Aż zachłystnął się nadmiarem słów: jak się może czuć w tem stadzie? Wgnietli go, wcisnęli wyrwanego z naturalnej gleby.

Już myślał, że znalazł swoją drogę. Były coprawda różne tam... ale bądź co bądź...

I Zbigniew zduszonym, monotonnym szep-tem opowiada swoją historję. Żarliwie przytacza argumenty dowodzące, jego zupełnie odrębnej istności. Szuka dowodów potwierdzających jego małe „ja“ zagubione w „kołonnach pa od-dieleniach“.

Jazwin wpija się w niego oczami i słucho. Czasem tylko zasyczy cicho, ostrzegawczo i znowu słucho.

— To dobrze — mówi wreszcie ostrożnie — tylko to wy nie ładnie powiedzieliście — w stadzie. Ludzie także samo jak my.

— Te — tak — niepewnie bąka Zbigniew, zezując na Jazwina.

Zna on przecie dobrze swoich fornali i parobków, co ten mu tu będzie...

A ten sący mu ciemną zjadliwą niteczkę jadu, wybucha cichymi promieniami wściekłości i ciągnie gdzieś za sobą, niecierpliwie, prędko...

A wreszcie:

— Toż ta sama Syberja, gdzie my tu w carskim mundurze...

— Ej, tam! Ciszej — mruknął gburowato dyżurny, od stolika przy drzwiach.

Jazwin rozpląszczył się na sienniku, wcisnął się, wtarł w niego i znieruchomiał. Zbigniew przewrócił się ostentacyjnie po trzeszczącej słomie, chrząknął i ucichł także.

Leżał teraz nawznak, wyciągnięty, z oczami utkwionemi w pułap izby. Naprężonemi mięśniami oddzielał się od swego barłogu, wyodrębniał się, obczał wszystkiemu tutaj. Usilnie, z rozmysłem, rozdrapywał zasychający w bru-

dzie strup: przypomniał sobie Chabra, Taracha, dwór, gumno i Ciucha.

Rano obudził się zmięty, niewyspany, kwaśny. Powtarzane codnia dowcipy, grube śmiechy, żółte onuczki owijane na nogach — wszystko to biło mu w nos i cuchnęło bezmiernie.

Gruby Fokin, parobczak z ukośnemi ślepami mongoła, niezdarnie udawał żargon żydowski, zezując ku Goldschmidtowi:

— Ojoj, gaspadyn naczialnyk, jak trzeba grać na te fujarke? Ja przebierałem z palcami, to una wistrziliowała!

Wybuchał wrzaskliwy, długi śmiech, aprobujący dowcip, a zadowolony Fakin dopingował sytuację:

— Raz generał chciał zobaczyć, które żołnierze są najodważniejsze. No, i uszykował on kompanję, i skomenderował: „Bacność“ i żeby się nie obejrzeć ni-ni! No, a sam kazał armatę znaczyć się, wycelować w górę i „bu-buch“! Cała kompanja rozleciała się na wszystkie strony, a jeden Icek został. No, i pyta się generał Icka: „Powiedz mi, dlaczego ty jesteś najodważniejszy?“. A Icek powiada: „Ja zaraz odpowiem, tylko ja muszę naprzód zmienić bieliznę“.

Śmiech huczał jeszcze głośniej.

Ktoś spróbował iść w ślady Fokina i zaczął

opowiadać przedziwną historję o żydzie-szynkarzu, ale nie zwracano na niego uwagi.

— A wiecie jakie jest „siedmio-piętrowe“ przekleństwo syberyjskie? — rzucał Fokin. A potem stawał podparty w boki i naśladując głos feldfebla ryczał:

— Ach ty raz-pro-na-połu-niedo...

— Ot, czarci syn! — z zachwytem wykrzykiwali. — Ot, wymyślił.

Teraz zwróciła się ogólna uwaga na Goldschmidta, który z całych sił rozplątywał zawiązane na supły rękawy rubaszki.

— On na noc zawiązuje, żeby jemu żadne żywe stworzenie nie uciekło — podjudził Fokin, i wszyscy zaczęli dogadywać.

— A ty wiesz, że tobie za to będzie kara?

— Wiadoma rzecz! Rządowa własność, a on sobie węzły robi.

— Nic jemu, bracia nie będzie: stworzenie, ono także rządowe.

— Jakby mu wszystko uciekło, onby nie miał się po co drapać, to jemu byłoby nudno.

— On takiej gimnastyki potrzebuje.

— U nich to w Zakonie pisane jest.

Żyd nie zwracał uwagi na wybuchy śmiechu i rozwiązywał trzęsącemi się palcami twarde węzły, a szerokie wargi jego skrzywione były niedobrym grymasem.

— Wychodzić na dwór! — rozległ się krzyk plutonowego, Niemlijenki.

— Bez fraka wychodź — cisnął na odchodem Fokin.

Jazwin gorliwie rzucił się ku wyjściu, sala puściła.

Karczewski spokojnie odebrał, z rozdygotanych rąk żyda, kurtkę, szybko rozwiązał węzły i podał mu ją z powrotem. Goldschmidt, zapomniawszy o podziękowaniu, ubierał się szybko.

Karczewski nadszedł, kiedy kompanja tłoczyła się już w dwurzędzie, falując jeszcze i równając się. Spróbował dostać się na swoje miejsce, na lewo od Jazwina, ale tęga masa nie dawała ruszyć się z miejsca. Rozkraczył się więc dobrze, i rozepchnąwszy gliniasty wał, stanął w szeregu.

— No, czego tam? No, co jest, do cholery? — ozwały się rozzłoszczone głosy.

Karczewski wychylił się z szeregu, z kpiącym uśmiechem i szukał oczami sprzeciwu. Nie znalazł go; ucichło wszystko.

Porucznik Fiłosofow zaprowadził pluton trzeci i czwarty do zbrojowni, gdzie stanęli w długiej kolejce. Porucznik zginął w ciemnym wnętrzu.

Po chwili z uchylonych drzwi padły nazwiska, i wywołani kolejno wchodzili do środka. Pierwszy ukazał się zpowrotem chudy drab,

Moskalenko. Trzymał z niepewnym uśmiechem karabin, nie wiedząc, co z nim począć. Ukazał się Jazwin, ugięty pod ciężarem i wystraszony jakby.

— Karczewskij!

Wszedł i stanął przy drzwiach. Za stołem siedział niedbale porucznik i notował w kajecie. Plutonowy Niemlijenko i tęgi podoficer broni wybierali karabiny.

— 44 — 642! — wykrzyknął plutonowy i podał karabin Karczewskiemu.

Ujął go spokojnie, z uczuciem niejakiej dumy. Przedziwnie pasowała mu broń do ręki. Obejrzał ją, sprawnie ujął i postawił u nogi.

— Ty co z fachu? — rzucił od niechcenia porucznik.

O mały włos Zbigniew nie odpowiedział skwapliwie natychmiast, ale przetrzymał tę niespokojną sekundę i swobodnie, powoli:

— Obywatel ziemski.

Porucznik spojrzał uważniej:

— Katolik?

— Katolik i Polak.

Zbigniew prawie uśmiechał się. Miał w rękach część tej siły, która go wcisnęła w obce, nienawistne podłoże. Skoncentrowaną w żelazie, związałą jej moc, czuł w silnym uchwycie,

i od tego mądrego narzędzia płynęło mu w duszę uczucie siły.

Wszak gdyby chciał, mógłby zaraz, natychmiast...

Porucznik pierwszy odwiódł oczy na stronę:

— Można odejść.

Sprężystym krokiem wychodzi Karczewski w tłum na dworze. Na boku stoi Jazwin, zgięty, i ogłupiały. Patrzy zdziwiony na Karczewskiego, który już zdaleka się śmieje.

— No, cóż? — uderza Zbigniew po zwarciem drzewie kolby — no, cóż? Broń w ręku...

— Tss! tss!

Podchodzi feldfebel Kustow. Rzuca okiem i naraz idzie wprost na Jazwina. Jazwin przeży się, prostuje, zastyga.

— Toś ty żołnierz? — pyta go cicho, delikatnie.

Milczy Jazwin, milczy Karczewski, i czują, że w tych cichych słowach jest straszna, bydlęca siła pijanego chłopca.

— Ty, sukisynie, gdzie zamek od karabina?! — ryczy naraz Kustaw i podchodzi z wolna.

— Tak szanujesz... rządowe dobro... psia twoja — podjudza się i naraz szybkim, wprawnym ruchem krótkiej ręki bije w twarz Jazwina.

Zachwiał się Jazwin, zbladł. Czapka prze-

krzywiła mu się śmiesznie, ale on nie poprawia jej.

Zachwiał się i Karczewski, twarz go zapiekła haniebnie. Pochylił już ciało do rzutu, gdy uderzyły go pokorne, bez cienia buntu oczy Jazwina.

— Winował! — wyszeptał.

Karczewski nie dziwił się już, że dano im do rąk część tej wielkiej siły. Jazwin chodził schylony, dłubał w piasku, odsuwał nogi innych... Znalazł wreszcie zamek i uśmiechnął się. Wycierał chustką od nosa.

Tego dnia po południu i dni następnych czyścili swoje karabiny. Stemplem, pakułami, szmatą, drewnienkiem, nożykiem.

Stali się niewolnikami karabinów. Karabiny były to kunsztowne przedmioty, przeznaczone do czyszczenia. I jeszcze: czasem były to ciężary niesione na zwiniętych płaszczach w długiej spiekocie.

A spiekota była dziwnie nieruchoma w tej osławionej ziemi mrozów.

Syberja!

Na ciałach mieli odciski wszystkich sprzęczek, guzików, pasów. Bielizny nie nosili wcale. Kiedy szli drogą, zostawała za nimi wysoka ściana czerwonej mgły, w którą wchodziły następne oddziały.

Chorągiew na dachu.

Wśród rozpalonych domów odartych ze skóry do czerwonej cegły, w ich „wojennem miasteczku“ oddychało się gorącą watą, zapychającą nozdrza i gardło.

Dłgie szeregi ceglanych budynków mieszały się w oczach, dwoiły, troiły, wypełniały cały świat. Zwłaszcza, gdy ucichły nagle krzyki kómend, tupanie na miejscu i szczekanie broni. To była niedziela.

Karczewski siedział na zimnych, cementowych schodach i patrzył obojętnie na muchy, tłumnie obsiadające wyczyszczone cholewy. Gdzieś już było tak samo, ale nie chciało mu się myśleć gdzie, i jak.

Siedział tak już godzinę lub może pół dnia, gdy podszedł ku niemu Goldschmidt:

— Tam do pana jest posyłka na pieniądze. A tu... — wciskał coś w rękę.

— Posyłka...? — leniwie budził się Zbigniew. — A to co?

— Przepustka na miasto — chytrze uśmiechnął się Żyd.

— Aha! — Zbigniew wyprostował się naraż, spędził muchy i uśmiechnął się do Goldschmidta. — Dziękuję.

— Niema czego.

Z pugilaresem znacznie spęczniałym, szerokim krokiem schodził Zbigniew z góry, na któ-

rej stało „wojenne miasteczko“ w jar, dzielący je od miasta.

Przyjaźnie przywitał rozdeptaną przy drodze chałupkę: nie była czerwona i nie stała obok innych takich samych. Uśmiechnął się do opasłej baby niosącej wodę: jak to dobrze, że nie musiał jej salutować! Mrugnął na nią nawet po łobuzersku, że przystanęła i mruknęła za nim zadowolona:

— Isz ty!

Miasto było rozlazłe niedbale na wielkiem polu, szerokie ulice zmieniały się w długie szosy, wykreślone urzędowo na mapie.

Zbigniewa cieszyły te szerokie szosy-ulice i szereg słupów telegraficznych, biegnący przez środek. Błąkał się wśród nich dowoli, zbaczał w przecznice, nie patrząc kierunku, ni nazw.

Wyplątał się naraz na większy przestwór i ujrzał jasny pas, świecący w dole i niosący chłód.

— Rzeka?

Małe domki schylały się nad rzeką poufale, schodziły aż do samej wody, a wkoło wisały schnące pajęczyny sieci. Czarne, wąskie „duszegubki“ wystawiały ku słońcu swoje połyskliwe boki.

— Ob' — odpowiedział na jego pytanie zdzi-

wiony staruch i zaraz dodał. — Nie tutejszy pewno, a?

— Nie.

— A z jakiej gubernji będziecie?

— Wołyńskiej.

— Szmat drogi musi? — westchnął stary.

— Osiem dni i nocy koleją.

— Och, ty Boże mój. I przygnali aż tutaj?

— A, no...

— Grzechy nasze wielkie! A wy z jakich będziecie? Rolnik?

— Rolnik. — Zbigniew podał mu papierosa, którego stary uważnie zapalił. Wydmuchiwał z ukontentowaniem:

— Własne gospodarstwo bodaj macie, a?

— A jest trochę.

— Ciężko od swego odjeżdżać. A tu jeszcze kto wie — Germaniec, nie daj Bóg w złą chwilę powiedziec — zabierze. A i życie niepewne — wojna.

— A no cóż...? — leniwie gawędził Zbigniew, poddając się łagodnemu podmuchowi z nad rzeki.

— A lepiej tam w Rosji, niż u nas w Syberji?

— Alboż tu nie Rosja?

— Jakżeż? — zdziwił się stary. — My — sybiraki, a ruskie za Uralem górami. Duże góry powiadają.

— I tu dobrze i tam, i tu źle i tam — bąknął Zbigniew, wpadając w ton.

— Och, mądre słowa — chwiał głową stary — wszędzie swoją śmierć znajdziesz. A już biednemu nigdzie nie radość.

— No, bądźcie zdrowi — wstał Zbigniew.

— Bogu oddajem.

Wlókł się Karczewski wolno wzdłuż szerokiej, spokojnej rzeki, a kiedy odwrócił się ku miastu — siało już zgniłym mrokiem, usianym ledwo gdzie niegdzie jaśniejszym punktem latarni.

Niechętnie zanurzył się w gęstą jego masę: szerokie ulice zdały mu się ciasne i dławiące. Szedł środkiem, tuż koło słupów telegraficznych.

Na jednej z bocznych uliczek zatrzymało go jasnoniebieskie światelko okna. Na bładym papierze ujrzał napis „japoński fryzjer“.

— Ba! — strzepnął radośnie palcami, i prawie sztubacki humor zapalił mu się w oczach. Wszedł.

Niewielki pokój z nagich, jasnych desek ułożony. Jakby letnisko, jak nieskończona chałupka. Kilka mat na ziemi z jasnej rafji. Kilka podłużnych mat malowanych jaskrawo, na ścianach. Błahe obrazeczki, niby nic, a przecie tak radośnie odmienne. Góra pokryta śniegiem, jedno

pokręcone drzewko, pagoda z zakręconym dachem... Jeszcze dwa, trzy wachlarze i już lustro, stoliki z przyborami, fotele... Aha, prawda — fryzjer...

Z za przepierzenia (ordynarny, rysyjski kret-on!) wysuwa się dziwna postać małego eunucha w szlafroku. Uśmiecha się tłustą gębą, kłania się nisko i stuka suchymi kulkami głosu. Po chwili dopiero Zbigniew rozumie, że mówi po rosyjsku. Aha, to żona tej uśmiechniętej małpki w białym fartuchu, która także kiwa głową i mamrocze coś.

Zbigniew już chce zdjąć czapkę, gdy naraz dostrzegł szlify porucznikowskie z pod serwety. Rzuca okiem na wieszak — tak, oficerska czapka. Mało tego — porucznik Filosofów.

Zbigniew dremnieje nagle, przykłada nałogowym ruchem rękę do czapki i wystukuje:

— Wasze błagorodje, czy mogę zostać?

Porucznik kiwa głową w lustro i mruczy przyzwalająco. Natychmiast łapie Zbigniewa w obroty drugi Japończyk i bawi go rozmową:

— Cha-la-so na dwo-le? Cha-la-so?..

Zbigniew zawstydzony jego uśmiechniętą gorliwością udaje, że bawi się doskonale i mruczy coś potakująco. Porucznik zato bawi się świetnie:

— Mu-Ni, powiedz ty mi otwarcie, przecież szpieg jesteś, a?

— Poco? — szepleni z uśmiechem Mu-Ni — poco Mu-Ni szpieg? — Mu-Ni przyjaciel.

— Ach, ty małpo krzywooka! — śmieje się Filosofów — a przecież dalibyśmy wam łupnia, choć ty szpieguj, choć nie. Boisz się ruskich, a?

— Ne-ma woj-ny ne tle-ba, bu-de woj-na, tle-ba — płacze się mały człowieczek, ale oczy jego ciskają ogień, a postać się prostuje dzielnie.

— Ach, ty, ty! — klepie go po głowie porucznik, wstając z fotela. — A w Boga ty wierzysz, czy tak żyjesz... jak stworzenie bezduszne, a? Z żoną twoją (tfu i gust-że u nich) brałeś ślub, czy tak...?

— Ne po-n-y-maj! — z maską uśmiechu odpowiada mały człowieczek.

— Oni tak zawsze: tudy-siudy, a potem końce do wody: „Ne ponymaj“... Dobrze ty rozumiesz krzywa rożo, nie bój się.

Porucznik rzucał te słowa przez ramię, nawpół do Karczewskiego, trzeba było uśmiechać się bezbarwnie i unikać dumnych oczu japończyka.

— A wy co, odetchnąć, a?

— Tak jest! — sprężył się Karczewski.

— I pieniądze puścić?

— Ha, niby... he, he, he.

— Tak — poważnie mruknął porucznik — a wy znacie tutejsze knajpy?

— Nie, panie poruczniku!

— Rzuć pan tę służbistość! Czego tam... Ot, wiesz pan, ja właśnie idę do „Grand-hotelu“, pokażę panu... Doskonałe „pelmeni“.

— Bardzo... tego... obowiązany...

Karczewski ledwie nie zapomniał zapłacić fryzjerowi. Szedł potem półbokiem i schodził od czasu do czasu z wąskiego trotuaru. Przyjemnie jednak było, gdy żołnierze, salutowali pierwszy.

Weszli na główną ulicę, „Mikołajewski prospekt“. Stało tu kilka większych domów, przeważnie murowanych: „miejska duma“, dom handlowy jakiegoś szwedzkiego czy angielskiego towarzystwa, sklepy. Z jednego domu wydobywało się ciężkie sapanie, przed bramą błyszczał krąg lampki, i pstrzyły się afisze.

Grand-hotel przypominał cyrk. Był drewniany i cały malowany na kolor bładoniebieski. Karczewski zrobił przejście porucznikowi. Weszli. Przeszli przez salę bilardową wskroś niebieskim dym papierosów. Mężczyźni bez kurtek krążyli z kijami dokoła stołu. Filosofów krzyknął w końiec sali:

— Miszka, choć wypić!

— Karczewski, obywatel — podkreślał nieco zmieszany Filosofów.

— Sołonin.

Sołonin miał twarz gimnazysty, niezmiernie cienką talję i chodził na palcach. Wiecznie się uśmiechał; zdawało się, że przygotował kapitalny kawał.

— Czy pan zna Moskwę? — spytał Karczewskiego i natychmiast zaczął artystycznie gwizdać. Tak, jakby coś przelewało mu się w gardle.

Karczewski miał suche podniebienie, a pod powiekami piekące pyłki. Patrzył wdół na ceratę i w zatartym deseniu dopatrywał się zarysu jakiejś twarzy.

— Wódka i pelmeni! — rzucił Filosofów chłopakowi przepasanemu ścierką.

Karczewski z trudem obrócił kołek języka:

— Kartę win!

Chłopak drapał się systematycznie po wierzchu głowy.

— Takiego niema.

— Czego „takiego“? — złościł się Karczewski. — Panowie pozwolą... ja sam.

— Château Yquem i wytrawne węgierskie — niedbale stawiał butelki — dobre i to...

Sołonin urwał gwizdanie i nachylił się:

— Czy pan był w Moskwie?

— Ile razy! — spokojnie zełgał Karczewski — i na Kremlu i w tej... cerkwi, jak to ona...

— To nieważne — oświadczył Sołonin — w Moskwie jest teatr-kabaret „Grotesk”. Zna pan?

— Zdaje się... coś takiego... —

— A ja nie znam — z ponurą niechęcią oświadczył Sołonin i natychmiast zagwizdał coś bardzo skocznego.

— No, cóż? — wychylimy? — pytał Filosofow.

— Do-pu-szczal-ne! — mruknął smutno Sołonin.

Nie brali jednak kieliszków: patrzyli na nie nieufnie i z pogardą.

— Zdrowie policmajstra Madrytu — wygłosił Filosofow i wypił.

Sołonin pił małym dzióbkiem jak panienka.

— Zgnieciemy jeszcze po jednym? — spytał po chwili Filosofow.

— Chyba, że po jednym! — z nabożną zgrozą odpowiadał Sołonin, podnosząc brwi.

— A pan?

— Owszem — skłonił się Zbigniew.

— Zniszczyć! — rozkazał tedy Filosofow, i wszyscy zmarszczyli się szpetnie.

Pili teraz w szybkim tempie:

— Bóg trójęc lubi!

— A zasię każde bydlę czworgiem nóg obdarte jest — archaizował Sołonin.

— I ogon jest takowego istotną częścią, a ten-ci jest piątą!

— Aby do parzystej cyfry dociągnąć! Aby!...

— I naczelnik nieparzysty się przyda...

I znowu:

— Aby do parzystej...

— I naczelnik...

Karczewskiemu już ćmiło się w oczach, i wszystkie szmery olbrzymiały nadzwyczajnie.

Pelmeni były to poprostu litewskie kołduny. Sołonin pożerał swoim dzióbkiem niesłychane ich ilości. Karczewski otworzył wino i nalewał.

— A czy pan ma konie? — spytał Sołonin i patrzył podejrzliwie.

— Konie... no, u siebie, w majątku — oczywiście.

— Gajda trojka!

Śnieg puszystyj! — zaśpiewał nadzwyczaj czysto i dźwięcznie Sołonin.

— Popijawa? — informował się jakiś bas od drzwi.

— Witamy cię ozięble! — wyciągnął rękę Filosofow.

— Z jakich błot czarci niosą?

— A jest i Sołonin!

— On-że.

Wahanie grubasa Orłowa, przy podaniu ręki, podnieciło Karczewskiego.

— Można? — nalał mu węgierskiego. — Gdyby panowie byli u mnie w majątku... mam nadzieję, inaczej...

— Co się odwlecze... — basował uprzejmy znagła Orłow.

— Racja, racja!

— Pan musi przejść do kancelarii i spać na mieście — zagorączkował się Sołonin. — Saszka, dziki z ciebie egzemplarz... w twojej rocie człowiek — można powiedzieć — według wszystkich przepisów, a ty... —

— Rzeczywiście — mruzczał Filosofow — trzeba w tych dniach... nawet pytał się adju-tant...

— Wobec tych i jeszcze innych okoliczności, zważywszy wszelkie za i przeciw, postanawiamy — zaczął Orłow i dolawszy wódki do wina, władcym głosem nakazał — niechaj tak się stanie...

Wypili.

Sołonin pieczołowicie ustawiał kieliszki rzędem, regulując ich zawartość. Potem zaczął brząkać gamę. Wreszcie zagrał.

Filosofow i Orłow podchwycili nutę:

„Jechał na jarmarku Uchar'-kupiec,
Uchar'-kupiec, udałoj mołodiec!”

Karczewski nie znał słów, ale ryczał coś na temat melodji.

Śpiewali jeszcze jakieś zwarjowane „pot-puri”: pieśni pogrzebowe, pijackie, „czastuszki“, sentymentalne romanse cygańskie, wszystko tam było.

Prowadzili się pod rękę po ciemnej już ulicy.

— A jednak — oświadczył Filosofow — ja podtrzymuję Nietschego, że człowiek jest gorszy od zwierzęcia.

— Jak który — replikował Orłow — ty tak, ja na przykład — nie.

— Ja także — zgodził się Filosofow — ale wytłumacz mnie...

— Nietsche nic takiego nie mówił — nie-dbale ziewnął Sołonin.

— No! ty mnie powiesz! A zresztą — dro-biażg, nieważne... Chodzi o to, że ja, człowiek. Ochrzczony — można powiedzieć, według wszelkich prawideł sztuki. Prawosławny i oficer... A tymczasem... chce mi się na przykład podać donos na Sołonina, albo ot choćby i „pana“ Karczewskiego: „tak i tak oto ludzi buntuje. Obraża cara“...

Karczewski stęzał nagle, w oczach stanęła mu błąda, pokorna twarz Jazwina.

— No, cóż? — powoli ciągnął Orłow — jeżeli jest powód...

Trzej oficerowie zezowali na Karczewskiego smakując długą ciszę. Sołomin lekko uwolnił swoją rękę, ale w tej chwili zachwiał się i złapał z powrotem Karczewskiego:

— Ech, wymyślił! — cisnął ze złością.

— No, cóż? A jeśli nie posiadamy duszy? Jeśli wszystko — jest tylko działaniem energii chemicznych...

— Nu, Sasza... to już ty zanadto... — zatrzymał się Orłow i wyszarpywał ręce z pachy kolegów — w takim razie na przykład cerkwie — cóż to według ciebie?

— Cóż? budynki...

— Budynki! — złośliwie przeciągał Orłow. — Budynki! A w znaczeniu — powiedzmy — abstrakcyjnym?

— Nie uznaję abstrakcyjnego — splątał się Filosofow — jeżeli dusza jest działaniem energii chemicznych — jakże może być abstrakcja?

Karczewski podtrzymywał Sołomina i rozwierał szeroko oczy, lepiące się słodkim snem. Spał prawie.

Obudził go głos Orłowa:

— Więc według ciebie — zburzyć cerkwie?

— A choćby!...

Karczewski zmacał nogami schody i lazył ciężko, opierając się na kimś. Gdy stanęli przed

jakiemiś drzwiami, schwycił go napad ziewania. Trzeszczały mu zawiasy szczęk, i rozciągały się boleśnie muskuły.

— Czarownik! — wrzasnął Filosofow.

— Ja! — odkrzyknęto mu z za drzwi.

Palili teraz jedną zapalkę za drugą, idąc wzdłuż ściany.

— Czarownik, dawaj słońce!

— Słucham.

Oficerowie nie śmieli się i nie dziwili. W świetle lampy zobaczył Karczewski żołnierza w koszuli i spodniach, boso.

— Czarownik, uznajesz abstrakcję? — ziewnął Filosofow.

— Nie śmiem wiedzieć!

— A pieczone kasztany, są? — spokojnie pytał dalej porucznik.

— Nie, panie poruczniku, wyszły — służbiście odpowiadał ordynans.

— A ananasy?

— Wyszły.

— A minogi?

— Wyszły.

— Cóż ty, draniu, nie dajesz herbaty? — wrzasnął naraz Filosofow i zamachnął się, ale nie trafił.

— Wytresowany on u mnie, a? — wyzy-

wajaco chwalił się Filosofow. Wobec obojętnego ziewania kolegów zwrócił się do Karczewskiego.

— Rzeczywiście... A czy on nazywa się Czarownik?

— Nie... Widzi pan, to cała historia... Była u mnie tu jedna dama z towarzystwa... Orłow, nie rycz! Nie wiesz, jak było — to nie ubliżaj!... Z towarzystwa... Koniec miesiąca — rozumie pan, a tu — trzeba! No, punkt honoru... coś, ciastka, wino... Mówię do Jakóba (Jakób się nazywa, Jakób Zalejkin) — rób co chcesz — wyczaruj, a musi być. No, i było. Dlatego właśnie...

Ordynans wniósł dymiący samowar.

— Czarownik! — ożywił się porucznik.

— Ja!

— Co jest celem twojego życia?

— Zgubnie żądy... — bąkał ogłupiały, zaspany Czarownik.

— Dureń! „Zgubnej żądy się oddawać”. Powtórz!

— Zgubnej żądy się oddawać.

— Zniknij!

Ordynans wyszedł.

Trzymając w rękach dymiącą szklankę, Karczewski rozglądał się po pokoju. Gitara i rewolwer z całą uprzężą pasów wisiały na jednym gwoździu, poza tem ściany były nagie,

jeśli nie liczyć skandalicznych sentencji i dwuwerszów. Żelazne łóżko, cała armja butów, papierosy w miednicy i ubranie na drzwiach.

Karczewski po słabej obronie ułożył się na rozkładanem łóżku, pod własnym płaszczem i zasnął śmiertelnie.

Nazajutrz o 11-ej Karczewski wyszedł bez herbaty. Wyrzucał sobie później, że uklonił się od drzwi. Trzeba było śmiało podejść, podać rękę...

W kompanji zrobił wrażenie. Plutonowy Niemlijenko odrazu stracił rezon.

— Właściwie to my obaj mamy prawa jedno-rocnych ochotników — mówił Jazwin — chociaż z poboru, ale należy się... Dowiadywałem się...

Karczewski zauważył na jego szlifach mały sznureczek biały z czarnym i czerwonym.

— Będziemy mieszkać na mieście — łaskawie oświadczył mu Karczewski — ja już w tem. Jestem tak dobrze...

— — — — —
Pokój mieli mały, ale blisko koszar: w trzecim domu od strony jaru. Właściwie była to chata, duża chata.

Jazwin był zupełnie odmieniony: chodził i nucił coś fałszywie. Zanucił nawet raz czy kilka razy melodję, którą zaraz urywał, gdy ktoś przeszedł ulicą. Wystarał się o kwiatek

Chorągiew na dachu.

i nad łóżkiem przyczepił szpilką fotografię swojej rodziny.

Na drugi dzień przyniósł gazetę. Zasedli do czytania, ale Karczewski prędko odsunął się. Wstał i przeciągając się chodził po pokoju.

— Nic tam niema — rzucił wreszcie Jazwinowi.

— I to prawda... — z żalem odłożył gazetę — nic się nie dzieje — tymczasem...

— Tym-cza-sem?

Jazwin się stropił.

— Słyszałem — zaczął po chwili, wolno i z namysłem — że wy, Polacy...

Karczewski drgnął i obrócił rozświecone z nagłą oczy na Jazwiną. Zamajaczyły mu dzieciinne obrazki królów polskich. Taka mała książeczka. A jak było prędko ruszać jedną kartką, to król obracał głowę. Naturalnie nie o to chodzi, tylko ten powiew... Widział raz odkrytkę z napisem „Rząd narodowy stracony w roku...”

— Tak, tak! Oczywiście — powstał zaszaracie — wydrzeć narodowi jego mowę to jest złudzenie. Pod tą pokrywą życie polskie...

— E-e! — zamachnęła ręką Jazwin. — Nie o to! Wam tylko o język, piosenki? A żyć na nowo?

— Na nowo? Zapewne trzeba wierzyć, że przyjdzie chwila...

— Przyjść ona nie przyjdzie sama... ale zawsze... Znaczą się, i wy mówicie o tem, co jest — „tymczasem”... Otóż i ja...

Karczewski wstał i chodził po pokoju:

Naturalnie, że w nim to wszystko jest. Ale w głębi. Nasz poeta mówi: „naród nasz jak lawa”... Otóż właśnie w głębi.

— A czy wam nie dziwno — zjechał pod rzucił Jazwin — że wy tu w Syberji, gdzie tyłu waszych...

Karczewski zaczął krzyczeć:

— Wiem! wiem! Cóż wy mnie...

Uciekł z pokoiku i błakał się po mieście. Dopiero wtedy dowiedział się (prawie wypadkiem), że jest kościół. Spytał się po drodze kogoś...

Naraz tuż za nim:

— Panie Kaźmierz, panie Kaźmierz!

— Co jest?

Karczewski roześmiał się: ten akcent! Obejrzał się przychylnie na towarzystwo. Wiele osób szło w jednym kierunku z nim.

Aha! więc to kościół. Nawet murowany i zdążył sobie stare, rozłożyste drzewa wyhodować. Może nawet — lipy?...

Niedzielnie wysztywnione gorsy mężczyzn i jaskrawe, na modłę rosyjską ubiory kobiet.

— Polacy?

Dziwne, ale tak. Czyżby był między nimi ktoś... albo syn, wnuk?... Niepodobna! Wszedł Karczewski na cmentarz, z niejakim wahaniem. Strój jego był obcy temu miejscu, a miejsce było nieco jakby niebezpieczne dla stroju... Kto wie, co w tym nowym świecie, którego ubiór nosił, co w nim jest prawem, a co przestępstwem.

Dopiero gdy ujrzał cały tłum żołnierzy przed drzwiami... i w głębi także. Spojrzał na twarze — nie odróżniłby... Równa tępota, nieruchawość... Na język się ciśnie: „hołota“.

Nie wszedł. Obchodził dokoła kościół, jakby szukając czegoś jeszcze. Potem powrócił z wolna przed główne wejście.

— Co to?

Strojna, opięta, zaprasowana gromadka ludzi obcych całkowicie. Obcych od stóp do głów. Ten ze słyszenia, z rycin, z karykatur tylko znany strój — tak realny i prawie groźny. Naszycia, orderzy, szkopki i hełmy śpiczaste.

— Wojenno-plenne! — mruknął za nim żołnierz.

— Ach, tak: jeńcy! Oficerowie... Sztynni, sprężysti, o drapieżnych, mądrych profilach.

Zarysowani ostro na czerwonym tle wojny. Myśli się: są tu, po tej stronie — musieli więc przeżyć... i tu migają rysunki z „Ogieńka“. Tak, to musiało być w taki sposób.

A cóż to za gromadka, ta z boku? Kurty tegoż kroju i barwy, ale zdziadziałe, wytyrane... Małe czapeczki bez tej twardej sztywności wojennej. Owijacze wystrzępione na nogach a na rękawach białe przepaski z literami „W. P.“ Niby zwykła kupa szarego tworzywa żołnierskiego, obdartego we włóczędztwie etapowej ze wszystkiej twarzy własnej, a przecież... Coś tli się w oczach, w uśmiechu...

Niepewnie podchodził Zbigniew. Ostrożnie, nieufnie wstawiała mu w piersiach fala radosna, przerażająco radosna:

— Ach, bo to orły polskie. Nie szumne-cie one, nie srebrne, nie złote. Ale szarość ich spokojna, tem pewniej, tem twardziej, mówi, że to nie sen, nie marzenie pobożne. Szary orzełek mówi, że jest rzeczą zdawna wiadomą, zwykłą, oczywistą. Że wrósł w serce nie od święta, lecz w codziennem czyszczeniu karabina, spinaniu pasa, pochodzie...

To też twarze spokojnie pod nim patrzą: światło w nich nie wybucha lecz płonie. Młode twarze, czupryny nad nimi czupurne, z pod czapek wyrastają niesfornie.

— Panowie?

— Polacy, polacy naturalnie!

Smiało dłoń podają, zęby szczerzą. Tacy zwyczajni, rzeczywiści... Tak, to właśnie najdziwniejsze!

— Pan z Królestwa?

— Z Wołynia.

— A my tu... i z Galicji i z Królestwa, a ten tam nawet z Petersburga... Co? Przekradli się oczywiście. O przepustkę nie prosili, ani paszport. Przez zieloną granicę. A tak, wzięli nas. Psiakość. Nad Nidą, pod Łowczówkiem... różnie. Ja z pierwszego, a ten tam Hallerczyk z 6-go, W Dęblinie stał.

— W Dęblinie?

— No, tak. Dawniejszy Iwangorod.

— Ah, tak!

— A wie pan, co to znaczy „W. P.“? O nie! To znaczy „wyrwaj pan!“ i my też przy pierwszej okazji... I znowu „goo-tuj broń!“

Zrobił nieznany Karczewskiemu, dziwny ruch niewidzialną bronią. Patrzył mu uważnie na ręce, upatrując położenia karabinu...

Podszedł jeden wyższy, bez opaski. Oficer? Ale nie: mówią mu „Staszek“ i nie rozstępują się przed nim.

— Pan tu służy? Aha. Dawno? No, to niezbyt... A u księdza pan był? Czasem my tam

pod pozorem spowiedzi, rozumie pan... To zesłaniec...

— Kto? Ksiądz? — przestraszył się prawie Karczewski.

W kościele patrzył cały czas na czerwonego staruszka - księdza. Nigdyby nie przypuścił... A jednak... Więc to dokoła niego była ta atmosfera, a on nie.

Chciał stanąć między legionistami, ale w pobliżu ambony zobaczył doktora wojskowego.

— No, więc co? — podjudzał się. — No, więc niechby...

Nie stanął między nimi. Słuchał pilnie kazania, ale po chwili zabłąkał się na jakieś wyblakłe malowidło.

— „Jako nam Kościół Boży, matka nasza“...

— Aha, prawda! Kazanie... Ciekawe, co to za malowidło tam. Śmieszny ten doktor, tłuszcioch taki...

Po mszy nieśmiało sunął do plebanji. Ksiądz mu podetkał czerwoną, spracowaną dłoń:

— Co? co? Spowiedź! Nie, aha. Dawno służył? A coś ty? Włościanin, rzemieślnik... A tak, obywatel, aha! No, proszę, proszę, pogadamy.

Bas księdza dudniał obok Zbigniewa, ledwie, że coś-nie-coś wpadało mu do wewnątrz.

— Malinowska, przekąskę! — huczał ksiądz

Wcisnął się przez drzwi ktoś chuderlawy, długi w czarnej rurze tużurka. Złamał się na krześle w rogu stołu. Potem jeszcze jakaś kobieta w zielonej aksamitnej bluzce, rudy grubas i młody chłopak, blondyn.

Karczewski rozmyślił się: nie będzie prosił o pożyczenie książek. Zaraz po wódce wstał i zaczął się żegnać.

— Zachodź kiedy, zachodź! — rzucił za nim książdź.

Karczewski powlókł się do domu. Jazwin leżał w ubraniu i palił papierosy. Milczeli obaj.

— Znacie Marsyljanke? — rzucił po chwili Jazwin.

— Znam — oburknął Karczewski.

Jazwin zagwizdał fałszywie. Machał ręką do taktu i robił srogą minę.

— A wy Polacy — przerwał sobie — zawsze „paný“!

— Niby jak?...

— Tak. Szlachta wasza chce wolności dla siebie, żeby lud gnębić. Nic wy nie rozumiecie postępu, demokracji...

— A czy wiecie, Jazwin, co było na naszych sztandarach? „Za naszą i waszą“... Nasz rząd narodowy w 1863-im...

— Wszystko taki — upierał się Jazwin. — Choćby tak, w pożyczu... Polak zawsze hardy,

miny robi, nie umie szczerze otworzyć duszy. Ja wam taki opowiem wypadek. Był jeden urzędnik, bez posady. Miał historję jakąś, i wyrzucili go. Zaczął on kraść. Tak, w tramwaju, albo na ulicy... A mieszkał z młodszym bratem, studentem. Widział brat, że temu wstyd. Jakże? ten student, doktorem będzie, a tu brat — złodziejasek. Widzi on, że brat się męczy, pije do białego słońca — powiada więc: „chodź Wasia na spacer“. Poszli. Ten łap za torebkę jakiejś pani. Ukradł. Uciekają obydwaj, policja goni. A starszy pyta się: „coś ty zrobił nie-szczęśny?“ A on odpowiada: „ja tak już dawno!“ Złapali ich, starszego puścili, a młodszego wsadzili. Wyszedł z więzienia, na uniwersytet nie wrócił, i kradli razem. Rozumiecie wy taką rzecz?

Zbigniew machał rękami, dobywając z siebie z trudem bryły zdań. Rzuczał je prędko, gorączkowo, ale nie trafiał w ten najważniejszy punkt budowli Jazwina.

— To już unicestwienie siebie. To nie brak dumy, tylko honoru... To...

— Otóż, ten wasz „honor“! Nosicie się z nim jak kura z jajkiem. Jak w nowym fraku: żeby kto nie zawalał. A ruski człowiek — to cały, nagi człowiek. On szczerze wszystko... A wy

zawsze „zapiewne, ale“... — przedrzeźniał Jazwin — „Zapiewne, ale“...

Karczewski chciał mu powiedzieć to wszystko, co widział dziś. Chciał mu powiedzieć o szarych orzełkach i o tym oficerze, na którego mówią „Staszek“... I o księdzu... Ale to nie było to...

— Właśnie, że wy „orzełki“ lubicie. Orzeł (i nasz i wasz) to symbol tyranji, imperjalistycznego, burżuazyjnego państwa. Nie umiecie wy stanąć nago. Wy tak, jak stara panna, co obwiesza się koronkami i żal jej tego, choć już to nie pasuje, choć ono stare, zniszczone i jej już nie do tego stroju...

Karczewski zamknął oczy i wziął pod powieki szare orzełki na czapkach zniszczonych. Ciskał na Jazwina warczące, złe kamienie:

— Bo to tak: u was nawet inteligent — w głębi jest chamem. Poskrobać go — wylezie chłop. Z rozkoszą wraca do pierwotnego stanu. Obleje się wódką, wytarza w błocie... Ot, co: tak, jak zaporozcy w pięknych ubiorach (zrabowanych) włązili w dzieżę z dziegiem i wracali na Sicz — śmierdzący, jak z niej wyszli. Tak wy wszyscy. Piotr was ubrał w marynarki, tuzurki, mundury, ale pod niemi została chłopska, czerwona rubacha. Wy tak lubicie rozbierać się ze wszystkiego i zostać w niej. A u nas

każdy chłop nawet — to pan. Żebyście znali naszego chłopą. Arystokrata! Naprzykład przy zaręczynach, przy swataniu — jaka ceremonja, subtelność... U nas równość w arystokracji, u was w chamstwie.

Jazwin leżał nieruchomo. Oczy świeciły mu się dziwnie, w zapadającym mroku. Potem siadł nagle i zaczął cicho:

— Wy mówicie Karczewski „chłop-arystokrata“, a czy wy byli kiedy w chałupie, albo w czworakach? Wy sobie „jasny pan“ we dworze. A tam nędza. I tej nędzy dosyć, żeby wasz świat cały zalać. „Ojczyzna, ojczyzna“, cóż z tego? Ojczyzna — to cały naród, nie? Jakżeż? kochacie te dziesięć tysięcy obywateli ziemskich, czy cały naród? Cóż i za kultura wasza, kiedy w niej miliony jak bydło żyją? Naprzód niech wszyscy staną na jednym poziomie, a potem razem dopiero, w górę!

— To... to przecież niemożliwe — wyrzucił Karczewski.

— Otóż, możliwe. Nie znacie widać, najnowszej sztuki — ekonomji. A to nauka! Ot!

— Jakaż?

Jazwin przesiadł się na łóżko Karczewskiego:

— Dawniej widzicie — polityka. Ustroje, parlamenty, senaty... A to nieważne. Od bur-

żuazyjnej rewolucji francuskiej, uszli my daleko. Teraz wytwór i podział bogactw, Ot, co! Pomyślcie: wy macie ziemię. Narzędzie produkcji, kapitał...

Karczewski siedział ze zmarszczonemi brwiami.

Sumilgin

Zima nastała jednego ranka, bez żadnego przejścia. „Po ukazie” — śmiał się Jazwin. Szary klosz nieba nakrył płaski biały talerz ziemi. Oko grzęzło w szarości dalekiej i nie wiedziało, gdzie się zatrzymać, nie znało punktu swego oparcia.

Teraz dopiero zrozumiał Karczewski postrach słowa „Syberja”. O, nie dla Rosjanina, nie! Tego błędna i koczownicza dusza obijała się jak pijana o krańce horyzontu i wypływała z siebie tęsknotę w „zaunywnem” wyciu pieśni przeciągłych, nieskończonych lub zalewała się wódką. W białawą, nieskończoną szarość rzuciła jąskrawy krzyk pijaństwa lub czerwoną plamę krwi.

— Wczoraj był sąd — opowiadał feldfebel kancelaryjny — pytają go się, czemu tyle narodu pozabijał, a on na to, że „chciał duszu otwieści”.

— „Duszu otwieści” — myśli Karczewski, patrząc w mętny ślep okna — nawet nie da się po polsku powiedzieć. Chciał się jakoś wy-

ładować, uzewnętrznic, chciał czerwonym krzykiem przerwać melancholijną jednostajność.

— Wyszedł z chaty — opowiada feldfebel — z siekierą. A chata jego przy drodze, sama stoi. Spotkał babę — zabił, potem dwoje dzieci, chłopca i drugą babę. Tak ot: szedł i kogo spotkał...

— Nieszczęśliwy człowiek — mruknął stary kasjer w szlifach tytularnego chorążego.

— Nieszczęśliwy? — podniósł oczy Karczewski.

— Pewno! — odpowiedział poważnie feldfebel — takie już na niego przyszło. Cóż on? A teraz...

— Ciekawość — zapalił się młody pisarz, tłusty i biały jak gąsienica — ciekawość jak jego będą... Rozstrzelają czy jak?

— Pewnie — odmrugnał feldfebel.

— A czy możnaby zobaczyć?

Kasjer z westchnieniem podniósł się z miejsca:

— I to prawda. Trzeba adjutanta spytać. Popatrzyliby się.

— A wy „pan“ pójdziecie?

Karczewski się zachnął:

— Nie!

Zapatrzył się znowu w okno, siejące na pokój żółtawą szarość.

Natychmiast po służbie wyszedł na miasto.

Wiedział, że musi chodzić, działać, widzieć ludzi, bo inaczej siądzie na szerokiej drodze i będzie wyć.

— Pojedziem? — zachęcił go szeroki w zadzie „izwoszczyk“ w czarnym szkopku na głowie.

— Aha! prawda: jest ucieczka, jest sposób — ucieszył się Zbigniew, ale w zastanowieniu smakosza odłożył to sobie na później.

Po ulicach chrupały wysokie wołoskowe buty — „pimy“ przechodniów. Okna sklepów jarzyły się świętecznie, a w ich świetle roił się ciemny wąż spacerowiczów. Przeważały gromadki gimnazystów i oficerowie z gimnazistkami.

Karczewski wysunął się z prądu i ruszył nieświadomie w stronę kościoła. W pewnej chwili mroźny powiew wiatru przyniósł mu polskie słowa:

— No, to dowidzenia. Ale jutro bądź u mnie.

Karczewski minął panny i długo zapalał papierosa. Potem rażno ruszył za tą ciemniejszą:

— Cóż, u diabła: żyje jak mnich...

Nie było to zresztą zbyt trudne. Tak jak zwykle:

— Pani się nie boi sama?

— Czemuż miałabym...?

— A jak kto zje?

Była niebrzydka i dość zalotna, ta panna Wacia. Uciekiniarka — rzekomo — „bieżenka“. Ojciec — rzekomo — adwokat. Mieli — rzekomo — dom w Kaliszu.

Zresztą szli wkrótce pod rękę i przyciskali się do siebie. Wypili obrzydliwą kawę w brudnej cukierni. Mieszkała dość daleko i śmiała się z Karczewskiego, że zabłądzi, wracając.

Domek był niski, otoczony szczerbatym płotem. Stali długi czas i rozmawiali, żegnając się co chwila na nowo.

— Pani mieszka... u kogoś? — zaryzykował wreszcie Karczewski.

— Nie! — zaśmiała się — z rodzicami.

Z za furtki krzyknęła jeszcze:

— Amator z pana!

Rozśmieszony i zły szedł Zbigniew ciemnymi ulicami:

— Amator! Co ona rozumiała przez to? I wogóle...

Wogóle niezupełnie zdawał sobie sprawę kim jest. Ojciec adwokat i ta chałupka. „Z rodzicami“ i „amator“. Jutro musi koniecznie...

Czekała punktualnie, co ubawiło nieco Zbigniewa lecz i miało w sobie kroplę ciepła.

Poszli do kinematografu, do łoży. Udawała, że nie robi to na nią wrażenia. Wypytywała się skąd jest, kim, jak...

Zdaje się jednak, że nic a nic mu nie wierzyła. Nie wiedział sam poco, ani kiedy objął ją wpół. Uczuł natychmiast zgodę i podatność ciała. Przechylił ją i całował. Szkoda tylko, że kołnierz z królików tak wyraźnie pachniał mokrym psem.

Odrązu zaczęła mówić na „ty“ i odrązu kłótliwym tonem:

— Wiesz, także! Głupie żarty. Mógł kto zobaczyć...

Próbował odwrócić:

— Masz dużo znajomych?

— A coś ty myślał — podjęła z zaciętością — że ja z ulicy? Bywają u nas różni znajomi... Szczególnie młodzież, ma się rozumieć. Ach, jeden jest taki śmieszny kapitan, polak... Tak zawsze oczy przewraca...

Zbigniew poruszył się niechętnie:

— Czy potośmy tu...

Niezbita z tropu ciągnęła:

— Chce się żenić, ale ja tam o niego nie dbam. Przeszłego lata mieszkaliśmy z mamą na lotnisku, blisko obozu wojskowego, nad Obi...

Wstał stanowczo i potykając się w ciemności szedł ku wyjściu. Panna Wacia szła za nim pokornie i cicho. Sykali za nimi niecierpliwie.

Szli teraz milcząc obok siebie. Ostrożnym,

ciepłym ruchem otarła się o niego i podała mu ramię. Szli pod rękę.

— Zaszedłbyś do nas — niepewna odezwała się.

— A... tego... owszem — Karczewski czuł niejasne wyrzuty sumienia. — Ostatecznie dziewczyna bez opieki. A jakież on ma prawo... W każdym razie to, co zaszło...

Wacka weszła pierwsza i poprosiła, żeby zaczekał na dworze. Stał na podwórku, blisko drzwi, a gdy się to przeciągało, zaczął dreptać po śniegu.

Zmarszczył się naraz: był strasznie, rozpaczliwie śmieszny. Czy to jest on, Zbigniew Karczewski, ten drepzczący tu na podwórku, w szyneli...

Jakieś szepty syczące kłębiły się w sieni:

— Także. Jakiś żołdat....

— Ależ mam...

Karczewski zatupał silniej.

— Proszę do środka! — odezwał się głos Wacki. — Zmarzłeś co?

Uczuł jej zimny nos na swoim policzku. Chciał ją pocałować i trafił ustami na włóczękową czapkę.

— Tu, tu powieś! — Wacka odebrała od niego szynel.

Z za stołu wstała zaplamiona figura i w landscapach zbliżała się do Karczewskiego.

— Hojnacki — uściśnął mu rękę, wyginając przedziwnie łokieć.

— Siadaj na kanapie! — zaprosiła go Wacka.

Spojrzał nieco zdetonowany na ojca, ale ten nie zwrócił uwagi na tę poufałość.

— Tak, widzi pan, tu się gnieźdzymy — zacytował ręką koło i westchnął — „bieżeńcy“ — rozumie pan.

— Tak... w istocie... — bąkał Zbigniew dezorientowany zupełnie.

— Kiedy mieszkałem jeszcze w Kijowie...

— Ach, pan mieszkał...?

— Tak, właśnie. Jak uczyłem się na adwokata...

— Uu! — zamruczał w sobie Karczewski. Dusił się ze śmiechu. — A domek państwa, w Kaliszu, jaki był? piętrowy?..

— Piętrowy, uważa pan, nawet dwupiętrowy. Murowany...

— O, to najpraktyczniej! — poważnie zainteresował się Zbigniew.

— Właśnie, najpraktyczniej. Zprzodu ogródek, wielkości... jakby tu panu wytłumaczyć...

Wyszedłszy stamtąd, wziął „izwoszczyka“ i kazał się wieźć za miasto. Ostry grad śnieżnyk bił nań zdołu, z pod kopyt. Wysoki zadkoński chwiał się powyżej czarnego szkopka,

małe sanki jak zwiędnięty odwłok wlokły się za silnem zwierzęciem.

W całym powietrzu nad nimi i za nimi rozjęczała się monotonna, płaczliwa skarga dzwonka i bulgotanie janczarów.

Ledwie minęli ostatnie domy, wicher gwizdnął po zbójceku i puścił się z boku na pojazd. Siepnął w nich ostrym batem śniegu i zaproszył oczy zmarzłą wilgocią.

Karczewski podniósł kołnierz płaszcza i wsunął się głębiej w kożuch. Z przerażeniem widział, że są jedynym punktem w nieistniejącej dokoła przestrzeni. Dusza jego, chcąc zapełnić ziejącą próżnię, wywlekała się z ciała i rozwłóczyła po bezkresnej przestrzeni.

Izwoszczyk wydawał się pijany, a może i był nim nawet. Prawdopodobnie. Wołał coś śpiwnym głosem, gadał, rozmawiał z koniem, zaczynał jakieś przeciągłe pieśni i przerywał je w pół nuty.

— Ech, ty! bydlątko Boże! A nu, maleńki, nie zawstydź! Ej, pokaż się, gołąbku! Ech, paszo! ech, ech! raz paszo! Ooo! ty padło cuchnące, trzymaj się! No, zbierz się! No, postaraj się! No-no! Ehej, synoczku!

Dunia, Dunia, Dunia-ja!

Dunia, jagódka maja!

Ech, Dunia!

— Zawracaj! — wrzasnął Zbigniew.

Sanie poleciały naraz bokiem, niespodziewanym trafem nie uderzyły w słup, który wyrósł na drodze, i pomknęły z powrotem.

„Jamszczyk“ wstał naraz, wychylił się ku przodowi i zaczął prac niełitościwie ciemniejący zad koński. Sanie jakby przysiadły na chwilę i skoczyły z miejsca. Gnali, jak wściekli.

— Ech, brat, poddierżis'! — cyknął przez zęby „jamszczyk“.

Nie było to błahe ostrzeżenie. Zbigniew leżał prawie na wznak, a sanki wyrzucały go coraz do tyłu i w górę. Na twarzy legła mu mokra chmura łez, z dziwnej przestrzeni nawianych. Ścierał ją od czasu do czasu szybkim muśnięciem szorstkiego rękawa. Szybko zbliżała się do nich jakaś czarna masa i natychmiast zostawała poza nimi. Rozległ się z niej tylko zachęający okrzyk:

— Ech-da!

Gnali. Czy nie zawsze tak było? Czy nie leżał w tych sankach od niepamiętnych czasów, widząc czyjeś szerokie plecy i czarny zad? Nie ma oto wodzy w rękach. Ponoszą go siły obce. Sypią nań łzawą kurzawą. Niosą go w próżnię bez oparcia i końca. „W kibitce“ — szepnęło w nim.

— Ale przecież — zaśmiał się — przecież

kazał mu zawrócić! Przecież to „jamszczyk“, a on mu zapłaci... Poprostu przejażdżka dla jego własnej przyjemności.

Niespodzianie wpadli między pierwsze domy. Ciemne ich wały odgrodziły ich natychmiast od pustyni. Zamigały uspakajająco światelka okien.

Koń ręzał rozpaczliwie i słabł w rozpędzie. Jamszczyk usiadł i ściągnął szerokie, niebieskie leje. Przeszli w kłusa i w stępa.

Zbigniew podniósł się, usiadł... Byli na Miłokajowskim prospekcie.

— Blisko tu z prospektu do pustyni — przemknęło mu przez głowę.

Nie szedł jednak jeszcze do domu. Zajdzie gdzieś... hm, gdzieby tu... aha, tak!

Poszedł do Grand-hotelu. Chciał usiąść w pierwszej ogólnej sali, ale gospodarz otworzył mu drzwi do sali bilardowej:

— Tam są ci panowie oficerowie, co to wtedy...

Z otwartych drzwi gabinetu buchnął nań wrzask pijacki. Filosofów, Sołomin, Orłów i dwie kobiety.

Zawahał się chwilę, potem zasalutował uroczyscie w drzwiach. Czuł, że błaznuje.

— Dawać tu „pana“! — pisał Sołomin.

— Pana „Yquem“! — basował Orłów.

— Wiecie nowinę? — mrużył oczy Filosofów.

Z tą samą błazeńską służbistością:

— Nie śmiem wiedzieć!

— Do szkoły oficerskiej jedziecie. Wy i Jazwin. Jazwin jutro, a wy za miesiąc, bo w kancelarji — rozumiecie — zrobiliby się bałagan. Więc...

— Panowie, panowie! Nie przedstawiony jeszcze damom...

— ...nasz filar armji i floty!...

— „Pan“ Karczewski...

— ...obywatel ziemski, ze stajnią...

Sołomin ostrzegawczo wychylił się ku damom:

— Pija tylko „Yquem“ i to dubeltowe! — podniósł palec.

— A to nasze aniołki: Musia i Dusia. Oneż Maurycja i Dywidendja.

— Co ty! — któraś dała po łapie Orłowski.

— A teraz go ochrzczimy! — oświadczył Filosofów.

— Racja! Racja!

Orłów stanął pośrodku pokoju i bijąc pokłony przed wazonem ze sztucznymi kwiatami, zaśpiewał coś na kościelną nutę.

Chór mieszany podchwycił cieniutko sekundując:

— Oczistitielnaja, oczistitielnaja...

Ktoś wylał Karczewskiemu kieliszek wódki na głowę. Kazali mu „doganiać“.

Potem gnieździli się wszyscy na jednych sankach, zjeżdżali w jar, kobiety piszczały prze-raźliwie.

Obudził się Karczewski w mieszkaniu Filosofowa, na jednym z nim łóżku. Przykryci byli płaszczem, a po wierzchu jedwabną, podartą halką.

Cały dzień w kancelarii bezmyślnie stukał na liczydło, udając, że coś sumuje. Spadło to na niego tak niespodzianie...

Jazwin wiedział już i pakował się do drogi. Był jakoś po chłopięcemu rozradowany, chociaż starał się to ukryć:

— Zawsze to odmiana, rozmaitość, prawda? Przecież w tej Syberji...

— Tak, tak! — odpowiadał krótko Zbigniew. Był czegoś zły. Miał ochotę dokuczyć Jazwinowi. Dokuczyć boleśnie.

— Jakżeż to? — zahaczył — będziecie więc podporą imperjalizmu?

Jazwin zgąsł. Twarz jego odnalazła swoje zwykłe zmarszczki. Spojrzał z podełba.

Potem nagle ucieszył się:

— Niech nas uczą! Na własną zgubę... Nas, nas! Bo i wy staniecie kiedyś w obronie... Dajcie łapę! Staniecie?

— Stanę — odpowiedział, czerwieniąc się, Zbigniew.

— Spotkam się w szkole — planowałam śmiechnięty Jazwin — zapoznam was z ludźmi... Bo mam w Kijowie...

— Do Kijowa jedziemy? — ożywił się Zbigniew.

— Nie wiedzieliście?

Jazwin poczęstował go papierosami.

— I to przyjemnie — podjął Jazwin — że ci sami oficerowie, te nadęte dudki będą musieli... Jako koledzy, prawda? No, wy i tak...

Zbigniew wspomniał „chrzciny“ i swoją przesadnie-komiczną służbistość.

— Tak — zgrzytnął i spokojnie cedził — ja z nimi i tak jestem dobrze, ale zapewne, że wam będzie przyjemniej...

Od tej chwili zaczął z niecierpliwością przyspieszać termin wyjazdu.

Po wyjeździe Jazwina miał pewne plany. Pierwszej niedzieli poszedł do Hojnackich. Chciał się cofnąć natychmiast, gdy się dowiedział, że Wacki niema. Zatrzymał go jednak Hojnacki:

— Zaraz nadejdzie. Do koleżanki poszła. Blisko.

Rozmowa głupio się plotła i wikłała. Zapa-
dał mrok.

Karczewski pochlipywał herbatę z lepkiej
szklanki.

— Może co się stało? — podniósł się nagle. —
Możeby zająć do tej koleżanki?

— E, nie...

— A daleko mieszka?

— Koło „Alhambry“. Wie pan?

— Aa — tak?

Zbigniew miał już, zupełnie zresztą nieuspra-
wiedliwioną, pewność tego, co się stanie. Nie
faktów zresztą, a ich koloru.

— To, co się stanie będzie żółto-bronzowe —
pomyślał.

Poszli z ojcem. W domu owej koleżanki
spano już. Wacka nie była wcale.

— A może jest w Alhambrze? — rzucił
Zbigniew.

— Ależ skąd? — rozkładał ręce pan adwo-
kat.

— A jednak, jednak...

Zbigniew szedł pewnie i śmiało w jedną
z alejek. Nawet wiedział na której ławce...

— Kto to? — usłyszał głos Wacki.

— Ojciec czeka na ciebie — odpowiedział.

Podniosła się druga postać:

— Eto kto? Karczewskij?

Głos porucznika Filosofowa.

— Tak jest — odpowiedział.

— Natychmiast wracać do koszar! — twardo
odezwał się głos.

— Słucham! — sprężył go nałóg.

Szept cichy Wacki. Odpowiedź Filosofowa. I...

— Możesz pan odprowadzić pannę Wację
do domu.

Skrzypnęła boczna furtka. Z drugiej strony
podszedł ojciec. Próbował robić srogiego:

— Co ty tu robisz?

— Z koleżanką zagadałyśmy się — trze-
pała Wacka — właśnie przed chwilą odeszła.
Zbyszek ją zna...

Karczewski zatrząsł się ze wstrętu. Wyszli
razem, ale natychmiast od bramy Karczewski
zawrócił spokojnie i bez słowa zaczął się odda-
łać.

— Zbyszek! — krzyknęła za nim Wacka.

Nie zatrzymał się. Myślał jedynie o porucz-
niku. Sam mu powiedział wtedy, podczas pija-
tyki... Wiedział więc dobrze, bydlę!...

Wacka uczepiła mu się u ręki:

— Zbyszek, bo ty może myślisz...

— Poszła! — strząsnęła ją obojętnie i szedł
coraz prędzej.

Przewracał się na łóżku do rana prawie.
Gryzł wargi i mruczał wściekle.

— Tak, niema innej rady! — Jak tylko zostanie oficerem... Powód się znajdzie, a przedtem wprawi się świetnie w strzelanie i robienie szabłą. Bo on będzie miał wybór. Jak go obrazić? powie na przykład...

Ułożywszy misterny, szczegółowy bieg wypadków uspokoił się.

Nazajutrz Filosofow zagadał z nim przyjaźnie: umyślnie zaszedł do kancelarji, to było widoczne. Karczewski pamiętał, że Filosofow bywa w domu pułkownika Winogradowa. Odpowiedział uprzejmie.

— Naturalnie, głupstwo! — uspokoił się natychmiast Filosofow. — O baby nie będziemy się kłócić. Zresztą nie para ona dla mnie...

Karczewski ścisnął mocniej szczęki i miał w ręku papier. Filosofow bywał u Winogradowa.

Odliczone w kalendarzu dni kapały wolno, niechętnie. Dzień mierzył się głuchem stukaniem na liczydłach i nieustannem chodzeniem po pokoju.

Był coprawda list z domu, ale głos jego słyszeć było poprzez gęstą, tłumiącą oponę:

— Tyle to korcy sprzedano... pod lasem greckza... Cóż go to wszystko!...

Jednak przyszedł i ten dzień. Napozór nie różnił się od innych: udawał nawet, że jest

taki sam, ale wiadomo było, co o tem myśleć. Od rana Zbigniew zaczął pakowanie, żeby dowieść, że doskonale zdaje sobie sprawę... Papiery, dowody, podpisy... To wszystko zajęło czas. Ale gorączka go nie opuszczała. Coraz wyraźniej czuł, że tu, na Syberji, jest poza życiem. Łączy go tylko wąski nerw kolei żelaznej.

Musiał polecieć jeszcze do miasta, i obrzydzenie wzmogło się w nim: wszystko było sto razy zdeptane, znane, zaplute niemal...

No, i nareszcie — dorożka! I nareszcie po raz ostatni — prospekt! I ulica Dworcowa. I dworzec.

Oha-ha! Za każdym uderzeniem pulsu i stukotem kół jest się bliżej życia. Bliżej żywych ludzi. Bliżej ogniska, od którego się odprysnęło tak daleko...

Jeszcze ma pod powiekami barwne obrazy miasta, wystaw, ogłoszeń — a już surowy w sztywności „junkra“ Konstantynowskiej szkoły, stoi sprężony na uroczystej mszy wojskowej.

Szary, nieruchomy kwadrat szyneli, twardo żłobiony w kamieniu, a na białym, śnieżnym środku brodaty pop w kolorowych aksamitach. Krótka komenda i karabiny pochylili się w zgięcie łokcia, a obnażyły się krótko strzyżone głowy.

Ostry, cienki śnieżek tnie ztyłu, że mróz ścina krew aż do pięt. Palce nóg przywarły do ziemi jak lepka otwarta rana, stawy sprężone gorliwie zaciskają boleśnie.

Na szorstkich załamach kołnierza nieruchome głowy sterczą sztywno. W mroźny dech wiatru padają strzępy basu:

— Hospodi pomiłuj! Hospodi, Hospodi, Hospodi...

Już nie wytrzyma: klnie i burzy się, postanawia, że już, zaraz, natychmiast rzuci karabin i wyjdzie z tych twardych, ciasnych ram kolumny. Jeśli teraz się nie skończy, to...

Potężna jest siła wyrównanego kwadratu! Jeszcze śpiew basowy i jeszcze śpiew.

Jeżeli teraz... Nic, nic się nie stanie... kwadrat będzie stać.

Wreszcie! Szybko, sprawnie, bez ochyby łamie się blok kamienny. Rypią twardo setki butów po zgrzytliwym śniegu. Oficerowie, jak zbyt ciężkie, niezłączone z całością kropki, krążą koło zwartych taranów kolumn.

— Pierwaja rota!

— Wtoraja!

— Tretiaja!

— Szago-om...

Łomot równy, twardy, sprawny. Jak pocisk wtargnęli w szeroką paszczę bramy. Pogardliwie, po chamsku depczą głucho deski. Warknęło za nimi słowo, i zamarli nieruchomo. Nowy rozkaz rozluźnił ich: rozpadli się natychmiast. Ale dopiero pozbywszy się zjadliwych języków bagnetu — stali się ludźmi: wszyscy naraz zaczęli gadać, chodzić, mięszać się, splątani naraz setką nici własnych drobnych spraw.

Karczewski wmięszal się w tętniący życiem tłum. Jeszcze niepewnie objając się po głuchych, wielkich salach, odprowadzany ponuremi oczami wielkich portretów carskich — szedł szukać Jazwina.

— Wtoraja rota, pierwszy wzvod! — myśli obcemi słowami.

Aha, otóż jest. Pali papierosa w gromadce „starszych“. Śmieje się. Co właściwie się stało? Czy tylko dlatego, że trzyma się tak prosto? Że ma tak surowo nagą głowę? Nie, nie...

Coś przeleciało przez twarz Jazwina, ale już jest swobodny:

— Z jakich błot przywędrowałeś, potworny zwierzu? — ze śmiechem go wita formułką jun-kierską.

— Jakżeż... czujecie się?...

— Phy! kapitalnie. Jestem już „porte-épee-junkrem“, kapralem. Oficerowie — morowi. A wy w czwartej? Tam rotny fujara podobno. Nasz zato — bojowy. Ciężko wam pewno z początku, he? E, u nas to jeszcze głupstwo. A wiecie wy jak w kawaleryjskiej szkole w Elizawetgradzie? Starsi junkrowie nazywają siebie „szlachetnymi kornetami“, a młodszych „potwornymi zwierzami“. Kiedy przyjedzie nowy i „szlachetny kornet“ zapyta go „z jakich błot“, ten musi meldować się skąd, kto, i tak dalej. A raz to był kapitalny wypadek: „szlachetny kornet“ obudził w nocy „potwornego zwierza“, dał mu w zęby papier, siadł mu na kark i kazał się wieść... rozumiecie? Albo każą sto osiemdziesiąt razy przykucać i trzysta sześćdziesiąt

robić „wtył zwrot“ i to na dwóch stołkach ustawionych jeden na drugim. A jak spadnie — od początku...

Karczewski czuł w nim jakąś twardą przegrodę, za którą nie mógł przejść i błakał się bezradny przed nią. Szybko się pożegnał i wrócił do swojej sali. Junkrowie czyścili nagwałt buty, ubrania, polerowali miedziane guziki kurtek i kłamry pasków.

W umywalni kilku paliło papierosy. Niedbale poroziadali się na oknach i przerzucali się zdaniem:

— Wyobraźcie sobie — co za nazwiska: Cyba, Gojsa, Sewruk, Zimogład...

— Towarzystwo!

Rej wodził blady, ładny chłopak. Delikatnie wykrojone usta krzywił niemiłym uśmiechem:

— Nudno. Wypićby warto...

— Racja. Złożmy się. Aleksiejew, ile dajesz?...

Skrzywił się znowu:

— Bez grosza jestem.

Karczewski zbliżył się powoli. Był bardzo niedbały i pański, gdy rzucił:

— Składka to jakoś zanadto... hm, demokratycznie. Ja proponuję, żeby każdy pokolei stawiał...

Starali się nie okazać zbytnej uwagi.

Chorągiew na dachu.

— ...A na początek — ja...

Aha! ożywili się. Wstają pokolei:

— Pozwoli pan, że się zapoznamy.

— Aleksiejew.

— Samarin.

— Galbrejter.

— Griniewicz.

— Bardzo mi przyjemnie. Karczewski.

Poczęstowali go papierosem.

— Pan skąd pochodzi?

— Na Wołyniu mam majątek...

— Ach, tak?...

Postanowiono urządzić wściekłą pijatykę, ale oczywiście nie w szkole. Trzebaby się chować po umywalniach... Nie, nie! Pójdą do jakiej morowej knajpy. Jak tylko puszcza ich pierwszy raz...

Było to towarzystwo, mające liczne znajomości wojskowe i dobrze poinformowane o różnych tajemnicach szkoły.

— Stopnie ze wszystkich przedmiotów dodaje się — wykladał Aleksiejew — i uważa się za jeden, a drugi — z mustry. Jeżeli więc nawet ze wszystkich przedmiotów dostanie się 5, a z mustry 12, to ostateczny stopień jest $8\frac{1}{2}$, czyli zupełnie dosyć, bo mając nawet 6, można skończyć szkołę.

— Generał Potapow jest krewnym mojej

matki — niedbale oświadcza Samarin — bywa u rodziców...

— Trzy razy na tydzień można chodzić do miasta — powoli mówi grubokościsty Galbrejter — w środę, sobotę i niedzielę. A można i nocować.

— Tak, ale trzeba dać adres krewnych...

— Kiepsko, bo ja nikogo... — zaczyna Karczewski.

— Głupstwo, zrobimy panu krewnych — macha ręką Aleksiejew.

Przerywa im głos komendy:

— Ubierać się! Bez karabinów i ładownic! Wychodzić na dwór!

— Maneż — wiedzą już skądś w „paczce“.

Zebrawszy laury za jazdę konną, Karczewski gra rolę amfitrjona w sławnej „piwnicy“ pod sentymentalnem godłem „Tamary“.

Wszedł młody oficer — wstali służbiście. Z dumą podkreślają swą znajomość służby. Są aż nazbyt dokładni, gorliwi.

Oficer w przyniszczonej szyneli salutuje w zakłopotaniu i kryje się w ciemny kąt. Gruby Galbrejter idzie do niego przez całą szerokość pokoju. Staje twardo i woła na cały głos:

— Panie podporuczniku, prosimy o pozwolenie pozostania.

— Proszę, proszę! — nerwowo rzuca tamten.

Szepczą teraz kpiąco:

— Jakaś fujara.

— Te... pewnie jaki urzędnik w cywilu...

Oni bowiem pochodzą z „wojennych“ rodzin. Przeszli szkołę kadetów, napatrzyli się, zżyli ze służbą. Znać w nich tę twardość i butę panującej, wojowniczej kasty. Nawet blady Aleksiejew ma coś zimnego w oczach.

Tę myśl czuje w nich Karczewski, ale nie chce się poddać.

— Swoją drogą żałuję, że nie poszedłem do kawalerji — wyzyskuje niedawny triumf — ujeździłem kilka koni ze stadniny. Siedzę dobrze... A przytem w kawalerji jest bądź co bądź szlachta...

Tak, to działa. Potakują mu przychylnie, radzą:

— Można by się przenieść... Są czasem wakanse... To do gwardji, to do technicznych wojsk...

Karczewski rzuca coraz rozkazy na ciemną ladę:

— Sherry Brandy! Kawa i likiery! Ciastka...

Galbrejter mruczy basem:

— Doprawdy, to już.. pan się rujnuje...

Inni podtrzymują go.

— Bagatela! — macha ręką Karczewski.

Żeby tak teraz tutaj Filosowowa! Jak onby wyglądał przy tych...

I co teraz Karczewskiemu historia z tą tam... Oczywiście, że dać nauczkę musi, ale...

Jak radośnie daleko jest się od białej pustki czerwonego miasta koszar i drewnianego, zagubionego przy brudnym dworcu miasteczka!

— Chodźmy się przejść — rzuca.

Ruch, gwar, tłumy ludzi, kobiety, wystawy... Ba, Kreszczatik!

Coraz sprężają się machinalnie i przykładają ręce do czapek, lub sztywnym, precyzyjnym obrotem ustawiają się frontem przed starym generałem.

Rzucają zaczepki przechodzącym kobietom, potrącają cywilnych, śmieją się po sztubacku i przyspieszają kroku, gdy przeoczyli oficera.

— Żeby tylko na Medera nie natrafić! — bąka Griniewicz.

O komendancie miasta, generale Mederze, krążą bowiem niesłychane opowieści wśród junkrów. Oto kogoś za niedoczyszczony guzik odesłał do szkoły i kazał zameldować samemu, oto młodemu junkrowi kazał na Kreszczatiku dzień się raz stawać frontem, aresztował oficera za to, że nie dość sprężyście powitał go w cukierni...

Ale opowiada się inne anegdotki o nim. Śmieje się wtedy złośliwie:

— Tatjana Mikołajówna w ubiorze siostry miłosierdzia jechała tramwajem z rannymi. Ranni byli wewnątrz, czego oczywiście żołnierzom niewolno... Wchodzi Meder...

Słuchają wszyscy z zaciekawieniem i wybuchają śmiechem:

— Ha, ha, ha! „Niech się pan zamelduje na odwachu na 10 dni!“ Ha, ha!

— A drugi raz chciał aresztować oficera w restauracji za coś tam... A to był kawaler krzyża św. Jerzego. Mówi więc: dobrze, ale proszę o pluton piechoty, orkiestrę i sztandar, według regulaminu.

— Cóż Meder?

— No, cóż? Wściekał się, ale nie mógł zaaresztować bez tego. A oficer wsiadł do drożki...

— Kapitalne!

— A najgorzej jest w kazańskim okręgu wojskowym. Generał Mandecki specjalnie wziął się na młodych praporszczyków. Otóż jeden, niedawno awansowany, wyszedł na miasto w kaloszach...

— W kaloszach? Kapitalne!...

— A wiecie, panowie, jakto junkier oświadczał się na balu?

— No, no?

Karczewski także opowiada jakąś anegdotkę, odpowiednio zmodyfikowaną do wojskowych warunków.

Śmieją się cynicznie. Młode usta rzucają brutalne, żołdackie przekleństwa.

— Warto by się z kim zapoznać — poddaje Aleksiejew.

— Ot, co tu długo szukać — Karczewski wskazuje dwie panny tuż przed nimi.

— E! — mitygują inni — porządne...

— Phy! — rzuca Aleksiejew — każda baba... Idziemy, Karczewski?

Zajrzeli w twarz, zaszli z dwóch stron i z naiwną beczelnością:

— Panie pozwolą towarzyszyć?

Ta od strony Karczewskiego jest wcale, wcale... Nie to, żeby piękna, ale „przylepna“. Gimnazistka, pewnie?

Wybuchają obie śmiechem. Karczewski i Aleksiejew niepewnie patrzą na siebie: nie boją się i nie obrażają, tylko śmieją?

— Bardzo nam przyjemnie, że paniom wesoło — próbują. — A razem będzie nam jeszcze...

Ostatecznie nie oponują, tylko patrzą po łobuzersku, dusząc się ze śmiechu.

Karczewski zagląda w piwne oczy:

— Jak pani na imię?

— Niech pan zgadnie!

(Wcale miło przekrzywia główkę!)

— Wiera? Nadzieja? Nie? No, to napewno Lubow! Co, nie? Ależ stanowczo powinna się pani nazywać Lubow! Jeżeli pani się tak nawet nie nazywa, to ja tak panią nazwę. Będę mówić — Luba, Luba, Lubeczka. Ale wreszcie... czego pani się śmieje?

— Ach, żeby pan wiedział!...

Szepczą drażniąco między sobą i śmieją się.

— Z czegoż panie?...

— Ach — odpowiada tamta druga — żeby panowie wiedzieli!... Ha, ha, ha! Żeby panowie wiedzieli, kto za nami idzie!

— No, któż?

— Wuj nasz.

— No — mruczą obaj niepewnie — wujowi można powiedzieć, że się dawno znamy...

— Ha, ha, ha! A wiecie, panowie, kto jest naszym wujem?

— No? — czują niewyraźnie junkrowie, że sprawa nie jest tak zabawną.

— Generał Meder! — mówi sąsiadka Karczewskiego i kpiąco patrzy mu w oczy. — No, cóż pan teraz?...

Aleksiejew jest już na drugiej stronie ulicy, ale Karczewski wparł się cheiwemi oczami w figlarne ślepka:

— Oczywiście muszę odejść. Ale zaraz... pani musi mi powiedzieć swoje imię. Koniecznie...

— Lida — odpowiada posłusznie z pobladałą nagle twarzą.

— A teraz — druga rzecz: w sobotę o tej samej porze, tutaj...

Kiedy Karczewski zwrócił się na pięcie, ujrzał o kilka kroków przed sobą zgarbionego generała z żółto-siwą, wystrzępioną bródką. Z martwym sercem, z pustą głową wykonał Karczewski przepisany ruch błogosławionym instynktem nałogu.

Generał machnął niedbale ręką i przeszedł.

— Nic! nie! — stukało radośnie w głowie. — Nie widział! nic nie powiedział!

Aleksiejew czekał na niego nieco skruszony.

— Zełgały pewno, głupie! — złościł się. — Wiedziały, że to Meder, i wymyśliły... Także, wuja sobie znalazły!...

— Może zajdziemy gdzie wypić jeszcze? — poddał Karczewski, cały rozdygotany.

— Hm, możnaby... A która to? — Aleksiejew leniwie wyjmował zegarek. — O, psia!... za pięć — dziesiąta.

— Za pięć!

— Spóźnimy się!

— Nie puszczą w sobotę! — rozpaczliwie jęknął Karczewski.

— Lichacza! — rzucił Aleksiejew.

Racja!

Puścili się pędem do dorożek. Padli na siedzenie z okrzykiem:

— Na Peczersk! Do Konstantynowskiej! Ale w pięć minut!

— Pośpiejem — mruknął w brodę szeroki „lichacz“ i smagnął konia.

Nadęte gumy sprężyste odskoczyły od bruku, mignęły cienkie, stalowe szprychy, i bryczka sunęła ku górze.

— Dobrze, że nie gołoledź — szepnął Aleksiejew. — Sanekby nie wytaszczył prędko...

Karczewski stał już w dorożce, wychylony ku przodowi.

— Płaćcie panowie teraz — dobrodusznie rzucił „jamszczyk“ — nie będziecie czasu tracić przed szkołą. A to na odwach wsadzą...

— Tak! tak! — szamotał się Karczewski z kieszenią.

Stali na stopniach już. Nim bryczka stanęła — skoczyli z rozmachem, wpadli w bramę, na schody... Karczewski trzęsącymi się rękami wydobywał swoją blaszkę z numerem.

— Panie poruczniku, czwartej roty junkier Karczewski, melduje powrót z urlopu, numer

osobisty — trzydzieści siedem — wystukał jedynym tchem.

W tej chwili zegar wolno zaczął uderzać godzinę.

Aleksiejew wyrzucił gwałtownie:

— Panie poruczniku...

— Spóźniony!

A co tam Karczewskiemu Aleksiejew! Pójdzie w sobotę i zobaczy Lidę! Pójdzie, pójdzie!

Aleksiejew brawurował, że to go nie a nie nie obchodzi. Opowiadał też kolegom całą historię. Skupiła się koło niego gromadka.

Karczewski szybko się rozebrał i rzucił na łóżko. Wśród równych jednakowych łóżek, pod jednakową, rządową kołdrą — pieścił się ze swoim, zupełnie swoim marzeniem.

Nosił je w sobie przez wszystkie godziny klucia bagnetem w manekin lub celowania do białej karty papieru. Kpił sobie z groźnych komend i twardych ram tego życia surowego. Wiedział on, co wiedział i śmiał się do siebie radośnie.

Wreszcie można się było wziąć do przywdziania świątecznego stroju.

— Tak, wszystko się błyszczy, świeci, najmniejszego pyłku, włosa...

Oficer dyżurny ogląda ich coś z nadto długo! Żeby tylko czego nie wynalazł, żeby czego...

Nie! Wszystko dobrze. Więc prędko, prędko, żeby nie czekała! Otóż i Kreszczatik. Miły, radosny ruch. Czysty nowy śnieg, uświęcił ulice i domy. Wszyscy są mili i ładni.

Idzie się wolnym krokiem, żeby na długo starczyło tego kawałka.

Tu się spotkają. Wyjdzie z tamtej strony...

Spotyka się tylu ludzi: oficerów, junkrów i cywilnych. A wszyscy oni właściwie niepotrzebni, potrzebna jest ona jedna tylko, a jej właśnie... O, idzie! Nie... ktoś nawet wcale niepodobny...

Jak ci ludzie się płaczą: zupełnie nie umieją chodzić. I tak się tłoczą, że nie można dojrzeć o kilka kroków...

Spłoszył się nagle: czy aby nie przeoczył? Ale chyba nie... Późno już. Może nie przyjdzie? Jeżeli pierwszego spotka junkra, to przyjdzie, a jeśli oficera... Oficer, psiakrew! No, ale to przecież dziecinada, niema co wierzyć w takie banialuki.

— Zdrastwujcie!

Na miły Bóg! Byłby przeoczył. Ot, głuptas dopiero. A ona stoi, tak miło przechyliwszy główkę. I ten miły, dziecinny głosik!...

Bez słowa ujmuje jej małą rączkę, odchyła rękawiczkę i całuje ciepłą małą kiść. Stoi niepewna, jakby zalekniona.

Śmiało, lecz bardzo delikatnie ujmuje ją Karczewski pod rękę. Nieokreślone ciepło przepełnia go, lecz nie śmie użyć słów. Tego banalnego, zużytego tworzywa; przez wszystkich, ciągle, codzień rzucanego byle gdzie.

I ona milczy. Idą powoli, coraz spojrzą się na siebie, nabiorą widoku miłej twarzy i w zmruczeniu cichem sycą się nim.

Zaśmiała się cicho w ciemną mufkę.

— Co takiego?

— Nic. Skąd pan wiedział, że przyjdę?

— Znikąd. Zresztą — zaczarowałem.

— Ho, ho! — mówi takim głębokim, piersiowym głosem.

Patrzą na siebie, bezwstydnie wyznając sobie miłość. Śmieją się cicho, wprost twarzą w twarz.

— Lida — sący jej przez włosy Karczewski.

— A ty? — pyta.

— Co ja?

— No, imię! — niby się gniewa.

— Zbigniew — mówi po chwili wahania.

— Polak jesteś, prawda? — ożywia się Lida. — Odrazu wiedziałam! Mówiłam nawet Tani. Szalenie lubię Polaków: są tacy... rycerscy. Jakby każdy był szlachcicem.

— Ja jestem szlachcicem.

— No, naturalnie. Wiedziałam...

— Skąd?

— Wiedziałam. I masz majątek ziemski, prawda? Wszyscy Polacy mają majątki.

— No, wszyscy... — śmieje się Karczewski.

— Ale naprawdę! — broni się zabawnie Lida. — O jakim tylko słyszę — obywatel.

Śmieją się jak dzieciaki. Jakaś zgorszona pani obejrzała się za nimi — Lida pokazała jej koniuszek języka:

— Nie zazdrość! — śmieje się znowu. Potem poważnie:

— A ty nie pytasz się o mnie?

— Mnie wystarcza, że jesteś taką, jak jesteś.

— Miły mój!

Jak to ona dziwnie!... „Miły mój!“ I prześlicznie wymawia.

— Chcesz — pyta Lida — pójdziemy... albo nie, nie powiem ci: będzie niespodzianka.

Lida prowadzi. Co chwila musi Zbigniew puszczać jej miłą rączkę: z wściekłością salutuje oficerów. Masz tobie: musiał stanąć z głupią miną jak wryty — generał.

Lida odeszła parę kroków i śmieje się w mufkę. Idą teraz bocznymi ulicami pod górę.

— To jak tobie się mówi?

— Jak — zawahał się — Zbyszek...

— Zbyszek — sili się wesoło — Zby-szek, tak?

— Tak.

Coś na chwilę przesnuło mu uczy. Nic już. Głupstwo. Jakże miła jest jego Lidoczka!

Plac Sofijowski. Biały ogrom gmachu z zielonemi i złotemi kopułami. Sobór sofijowski.

— Co, tu?

— Tu! Zobaczysz...

W ciemnej pieczarze wnętrza dudni coś głucho, i pełga krwawy język, po czarnych ścianach.

Nieruchomy, czarny tłum stoi gęstą, zbitą masą. Przeszli w boczną nawę. Wysokie, bizantyjskie postacie świętych wklęte w głąz ściany w drewnianym ruchu. Kapryśne, chore i groźne litery z obu stron głowy. Cizmy kończyste na nogach, równe, bez zmarszczek szaty spływają do dołu.

Wszystko w czarnym i czerwonym kolorze. Krew i śmierć dały tu swe barwy. Groźba kryje się za ścianą tej świątyni ponurej. Nogi stąpają po sklepieniach piwnic zatęchłych, czarnych, zawartych grubemi wrotami i odpowiadających głuchym echem na skargi więźniów.

Po ścianie przesunął się czerwony, groźny poblask pożaru. Są już blisko „carskich wrót“. Stamtąd bije pobrzask krwawy i obejmuje ogniem

ciemne ściany jaskini. Wyzłoczone przepychem barbarzyńskim „wrota“ zdają się kryć za sobą ciemną, małą postać złego boga, z żagwią zapaloną w ręce.

Kilku wielkich ponurych drabów zadziera brody i jęczy głuchym basem:

— Hospodi pomiłuj! Hospodi, Hospodi, Hospodi pomiłuj!

I nic więcej, tylko ta skarga zastraszonych rabów:

— Hospodi pomiłuj!

Fioletowe, czerwone i niebieskie kaftany, aksamitne zda się dopiero przez bojarów Iwana Groźnego rzucone. Czarne, cudackie kołpaki na głowach...

Biją niskie pokłony, szerokim krzyżem zbójce bary znaczą:

— Hospodi pomiłuj!

Hospodi pomiłuj za nasze czarne, ciemne grzechy, które tu pod nogami naszymi się kryją.

Hospodi pomiłuj nasze krwawe ręce i myśli straszne wylęgte pod kłobukami czarnemi.

Hospodi pomiłuj ciemną, zbitą w trwodze śmiertelnej przed duszą własną, trzodę rabów twoich.

Hospodi pomiłuj, uwolnij nas od strasznych krwawych wizyj, które od błogosławionego cara Iwana, aż po dziś dzień w matce-Rosji się włączają.

Hospodi pomiłuj, Hospodi uwolnij nas od ciemnej duszy własnej!

Proszą, jęczą, a wraz z nimi cała pieczara aż do podziemi samych jęczy i prosi.

Kadzidła palą, świece krwawe jarzą, fioletowemi i czarnemi łbami kiwają. Boją się.

Ale próżno proszą: tam za „carskimi wrotami“ stoi mały, czarny, włochaty bóg z żagwią zapaloną w ręce. Łeb duży kudłaty do szpary przykładą i patrzy złośliwie na brodatych drabów. Potem wspina się do klamki, piszczy — nie może dostać.

Aż wreszcie — wysokie, złote wrota pękają na połowy i mały, kudłaty bóg z pochodnią w ręce rzuci się z piskiem w tłum. Buchnie tłum ku wyjściu, wrzeszczeć pocznie, wyć, dusić się — zwarzuje tłum cały. A mały, włochaty bóg duszy rosyjskiej podpali czarne ściany i w środku pustego kościoła tańczyć będzie — „kamarinskuju“:

— „U-ha!“

— Wyjdźmy! wyjdźmy! — szepcze zbielaniem wargami Zbigniew. — Tu zaraz...

— Co, miły?...

— Wyjdźmy.

Mroźny, biały, pusty plac nie uspakaja weale. Tam mówiła zbrodnia i szaleństwo. Tu śmiereć i pustka.

Gwałtem oczy przymyka Zbigniew i klęka w białym, jasnym kościółku korostyszowskim. Dużo, bardzo dużo kwiatów; wieńce, kosze... ach, tak! to Matka Boska Zielna. Pod dachem latają dwie jaskółki...

— Co tobie, miły?

— Nic, nic! — uśmiecha się blado.

— Stałeś się daleki, obcy...

— Och, daleki...

— A ja sama? — skarży się cicho Lida.

Karczewski rękawem o bagnet zaczepił, wyrównał, poprawił. Zasalutował przechodzącemu oficerowi.

Aha, tak! Szkoła, Aleksiejew, Kreszczatik — i Lida.

Spojrzał w piwne oczy i uśmiechnął się:

— Nic, Lida... Tak, ot...

— Ja rozumiem — szepcze — czasem nachodzi takie...

— Co „takie“?

— A tak, jakby obca dusza w ciebie weszła... Ciemna, skądeś z nocy przyszła, ze stepu... czy ja wiem. Wejdzie w ciebie, i jakby cię odmieniło: wyjśćby się chciało, wylecieć na ulicę, ryczeć, wyć do nieba, kąsać... Albo z toporem, czy łuczywem zapalonem...

Brwi Lidy zeszły się boleśnie i groźnie. Usta

były krzywe. Zęby było widać z poza nich... Karczewski cofał się od niej...

I naraz zaśmiała się i stała się „panienką“. Widać było jej mufkę, duże futrzane „boty“, czapeczkę...

— Ach, co my! — rozżłościł się naraz Zbigniew. — Chodźmy gdzieś w ruch, na Kreszczatik...

— Dobrze, dobrze!

Szli szybko przez pusty biały plac, przytuleni do siebie, odnajdując się wzajem w ciepłym uścisku.

— Wiesz, co? — z zapalem rzucił Zbigniew i naraz zaciął się.

— Co?

— Możebyśmy gdzie... do cukierni...

— Nie — krótko i smutno powiedziała.

— Ależ, Lida, Liduchna... ja nic... No, nie gniewaj się...

— Widzisz... ja wiem, że to było niestosowne... na ulicy... Tania mi to nawet mówiła... ale... — głos jej dziecinnie się załamał — ale kiedy ty mnie bardzo... podobałeś się...

— Ach, ty kocię moje!

— Wiesz — ożywiła się — zajdziesz do nas!

— Jakto... jak...

— Nie bój się — wpadła w łobuzerski za-

pał — zrobimy spisek z Tanią... Ja wrócę do domu... a potem ty z nią... Doskonale!

Tania, blada i chuda panienska, traktowała misję z całą powagą:

— Rozumiem przecie, że miłość żadnym nakazom...

— Tak, tak, właśnie — wesoło powiedział Zbigniew. — A pani jest strasznie pocziwe dziecko...

— Prze-pra-szam! — wycedziła zwysoka Tania — jestem w 8-ej klasie!

— Aa! to co innego — sumitował się Zbigniew — gdybym był wiedział...

— Wie pan, że dziwię się Lidzie... Co ona wogóle w panu...

— Co we mnie?...

— Przecież w panu niema nic poetycznego!

— Hm... Gdybym pani pokazał swoje poezje...

— Pisze pan? — miękko spytała Tania.

— Drukowałem!

— Kiedy pan nic nie bierze na serjo!

— Ale owszem...

— No, cicho! Już jesteśmy... Więc niech pan nie zapomni: poznaliśmy się rok temu, na balu w klubie kupieckim. — Lidę zna pan, spotkał ją pan u mnie...

— Dobrze, dobrze, pamiętam.

Jakże mu głupio bije to serce: na każdym stopniu wysłanym dywanami uderza dwa razy. Pierwsze piętro. Dzwonek... Acha, więc Lida nazywa się Gosztoft?

Otwiera żołnierz:

— Zdrowia życzę! — uśmiecha się do Tani.

— Jest Lida Wasiljewna?

— Tak jest, są.

— No, rozbieraj się pan — syczy konspiracyjnie Tania.

Wchodzi do salonu: wielki portret wojkowego z długimi siwymi wąsami. Obrazy Wereszczagina, broń na ścianach, dywany. Karczewski czuje się śmieszny ze swoją osmyczoną po rekrucku głową. Musi zapuścić stanowczo włosy, niech co chce...

— Zbigniew Władysławowicz Karczewski, mój dobry znajomy — z naciskiem przedstawia go Tania tęgiej jejmości.

Za chwilę wchodzi kapitan, niewielki człowieczek z krótką, ciemną bródką:

— Proszę, proszę, niech pan się nie niepokoi — uśmiecha się jowialnie — jesteśmy poza służbą.

— Zbigniew Władysławowicz... — uroczyście wygłasza znowu Tania.

— Zostanie pan na herbacie, prawda? — mruży podmalowane nieco oczy matka Lidy.

Zbigniew już jest spokojny i wie, że musi wygrać bitwę:

— Obawiam się, że narobię państwu kłopotu...

— E, młody człowieku — rzuca swobodnie kapitan — my ruscy ludzie nie lubimy ceremonji. Dusza otwarta i koniec... Ale gdzież Lida? Iwan! poproś Lidę Wasiljewnę.

— Czytają, mówią, że są zajęci — melduje po powrocie żołnierz.

Tania wstaje:

— To my ją poprostu najdziemy, prawda Zbigniewie Władysławowiczu? — i syczy mu w ucho. — No, chodź-że pan!

Ledwie weszli, zaczajona Lida rzuca się ku nim ze śmiechem:

— Ach, jakżeż długo was nie było! Tania, przyznaj się, bałamuciłaś Zbyszka.

— Moja kochana — zaczyna z patosem Tania.

— Nie gniewaj się, duszko, złotko, kochanie.

— Nie duś-że mnie! — wyrywa się Tania.

— Zbyszek! — Lida podchodzi ku niemu, wyciąga obie ręce — potem cofa. Podaje mu rączkę, a drugą nakrywa jego dłoń z wierzchu. Chce coś mówić i uśmiecha się tylko przez łzy.

— Możecie sobie gadać — wspaniałomyślnie oświadcza Tania — ja tu czytam i nic nie słucham...

Ale długo nie korzystają z jej zachęty. Chłoną się oczami bez przerwy, nienasytnie.

— Zupełnie nieszczęśliwa jestem — cicho skarży się Lida.

— Dziecko!

— Bo widzisz... jestem jakby przewrócona do góry dnem... jakby zamieszana, zmacona... Nie mam się na czem oprzeć... Cieszę się, i płakać mi się chce... Nie wiem czy mi dobrze, czy źle... A dlatego właśnie, że nie wiem — to mi źle...

— Więc źle ci ze mną, Lidoczka? — podstępnie żali się Zbigniew.

— Ach, nie, miły! Głupstwa same... Z tobą mi tylko dobrze...

— Ojciec idzie — ostrzega wierna Tania.

— No, cóż, młodzieź się bawi? — uśmiecha się kapitan.

— Tak, rozmawiamy — mówi Lida i przenosi błyszczące oczy na ojca, i naraz rzuca mu się na szyję. — Wie pan? mój papa to najlepszy człowiek na świecie.

I znowu ma łzy w oczach. Zbigniew nie chce mówić, bo w gardle ma kłębek duszący. Uśmiecha się tylko.

— No, proszę na herbatę! — mówi kapitan i popycha ich lekko przed sobą. Zbigniew czerpuje się w drzwiach:

— Nie, nie! Pan jest kapitanem...

— Ale niedługo i ty... i wy będziecie „jego błagorodiem“, prawda? — wyrывa się zaczerwieniona Lida i przykładając rękę do czoła, woła basem — Gaspada oficery!

— Ach, ty, ty pieszczochu! — przyciska ją ojciec, a ona z jego objęć patrzy filuternie na Zbigniewa.

Samowar szumi ciepło, zatulnie, po domowemu. I jakoś tak się dzieje, że Zbigniew jest centralnym punktem. O czymby się wszczęła rozmowa, Lida natychmiast:

— A wy, Zbigniewie Władysławowiczu?... A jak wam się to podoba, Zbigniewie Władysławowiczu? A cobyście wy w takim wypadku?... A jak u was?... A co wy?...

Spostrzegła sygnet. Pyta, zachwyca się. Prosi, żeby dać jej w rękę. Kręci go przez chwilę. Chciała włożyć na palec, ale zaczerwieniła się i prędko oddaje.

— Kiedyś, w Galicji — mówi powoli kapitan Gosztoft — miałem taki wypadek... Moja brygada cofała się... Zatrzymaliśmy się we dworze... pałacyku prawie... Rankiem wychodzimy, oglądam się: na bramie herb... Mój herb... Bo trzeba panu wiedzieć, że my pochodzimy ze szlachty litewskiej — odyma się nieco. — Nasi dzia-dowie...

Lida znaczącym uśmiechem podkreśla słowa ojca.

— Kup mnie sygnet z naszym herbem! — porywa się nagle.

— Pocóż ci?

— No, bo ja chcę! Koniecznie kup mi. Kupisz?

— No, kupię, kupię — uśmiecha się ojciec. Coraz przyjaźniej patrzy na Zbigniewa. Wszczęli rozmowę o szkole, o wakansach i awansach, o służbie... Lida marszczy czoło, stara się zrozumieć, odgadnąć.

Bije któraś godzina. Dziesiąta! Karczewskiemu stanęła nagle w oczach sala dyżurnego oficera, szkoła, korytarze...

— Spóźniłem się! — wstaje pobladły.

— Ach, Boże mój! — porywa się Lida. — Jeszcze będziecie mieli przykrość... i to przez nas... Papo, trzeba coś...

— A czy wam nie pozwalają z soboty na niedzielę nocować? — pyta kapitan. — Za moich czasów...

— Owszem, ale... — płacze się Zbigniew — trzeba adres... krewnych...

Kapitan pod wzrokiem Lidy decyduje:

— To podasz pan nasz adres i dzisiaj przenocujesz...

— Ależ panie kapitanie... to ja już do ho-

telu... Dosyć, że adres... państwo tak łaskawie...

Lida występuje nagle, mówi prędko, śpieszy się:

— O, to ładny z pana wojskowy! Starszy wydaje rozkaz... A zresztą niema pan wyboru... I poco te ceremonie...

— Tak, tak! Zostaje pan!...

W białym, niewielkim pokoju gościnnym czuł się Zbigniew dziwnie miło. Teraz leżałby w dużej sali, gdzie tak przezroczystą jest każda myśl, gdzie nie można zamknąć swego uśmiechu przed oczami tyłu ludzi.

Wsunął się pod ciepłą kołdrę, ale światła nie gasił. Pałac papierosa, zapadał wpółsen, napełniony miłym ciepłem bez nazwy.

— Można?

Ocknął się. Wszedł ordynans niosąc szklankę herbaty i książkę.

— Lida Wasiljewna raczyli przysłać — uśmiechał się pocziwie. — Mówią do mnie Lida Wasiljewna: zanieś herbaty, bo jak kto pali papierosa, to zawsze popija herbatą. I rzeczywiście jego wielmożność pan kapitan zawsze wieczorem i rano... A tu książka. Lida Wasiljewna prosili, żeby choć kilka kartek przeczytać, bo już bardzo to ciekawa ma być książka. Tak prosili...

— Dziękuję.

— Dobrej wam nocy życzę.

Z rozrzwinięciem prawie popił zimnej herbaty. Czytać mu się nie chciało, zobaczy jednak tytuł: „Notatki myśliwego“ Turgieniewa... Stare, znane i nudne. Skąd to Lidzie?...

Przewrócił kilka kartek i naraz... Z żółtej, zadrukowanej karty wyjrzała twarzyczka Lidy. Fotografja... Kochanie moje małe!

Odwrócił na drugą stronę. Stereotypowe: „Na dobruju pamiat“ miało teraz tak wiele znaczenia! I podpis: Lidoczka. Nie „Lida“ po prostu, lecz „Lidoczka“. To znaczy „twoja“. To znaczy „twoja mała, kochająca“...

Drgnął. Czy ją kocha? Czy kocha tę miłą Rosjaneczkę? Zdaje się, że... Ale w takim razie...

Wstawały przed nim, niewyraźne jeszcze, przeszkody. Czuł niepokój czekający go na skrzyżowaniu dróg, które miał przebyć. Mąt saczył mu się w jego jasne, ciepłe myśli.

Poruszył się niecierpliwie:

— Co mi tam! Co później... ach, Boże! później — front, może zginać... Czemuż rozkładać na lata, przewidywać, układać?... Oto przyszło dla niego jasne, swoje szczęście... Przyszło, wzięło go w posiadanie...

Ucałował delikatnie fotografię i ukrywając starannie w portfelu — zasnął.

Ranna herbata była bardziej jeszcze „domowa”. Pani Gosztolt przeprosiła za swój szlafrok, ale chce go uważać za „swego człowieka”. Lida była w białej sukience cała jasna, różowa i ciepła.

Zbigniew słuchając szumu samowaru, leniwie mrużył oczy, jak kot mruczący na przypiecku.

— Jak się panu spało? — z niewinną miną pyta Lida.

— Świetnie! A znalazłem książkę i przed zaśnięciem czytałem trochę...

— Tak, cóż takiego? — pyta kapitan.

— „Notatki myśliwego” Turgieniewa. Dawno nie czytałem i z całą przyjemnością... To po prostu coś nadzwyczajnego!

— Ba, Turgieniew! — mruczy, żując kapitan, a Lida nachyla gwałtownie nad talerzem zarumienioną twarzyczkę.

Potem są sami w salonie.

— A ja się gniewam! — oświadcza naraz Lida.

— No?

— Tak, tak! I niech pan nie będzie taki pewny siebie! Fałszywy z pana człowiek, ot co!

Proszę!

— A, właśnie. Obcym ludziom to pan mówi o sobie, a mnie...

— Obcym ludziom?

— No, może Tania nie jest dla pana obcym człowiekiem — gorzko rzuca Lida i odchodzi ku oknu.

— Ależ, Lidoczka!

— Niech pan sobie idzie! Nie wierzę już nic a nic...

— Ależ o co?... Zupełnie nie wyobrażam sobie... nie mam pojęcia wprost...

— Niech pan nie udaje!

— Ależ powiedz!

— A o tem, że jesteś poetą... nie mówiłeś może Tani? Sama się przyznała...

— Doprawdy, Lidoczka — śmieje się w zaskłopotaniu — zupełnie nie przywiązuję do tego wagi... Zresztą już dawne czasy... Teraz nie piszę...

— A dla mnie to jest bardzo ważna rzecz! Proszę cię, powiedz mi jaki...

— Hm, ale przecież... po polsku...

— Ach! — boleśnie wyrwało się Lidzie. — Tak... po polsku... prawda...

I znowu coś przeciąga przed oczami, jak strzęp mgły mętnej...

— A nie mógłbyś... dla mnie... — ożywia się Lida.

— Może... spróbuje...

— Koniecznie, rozumiesz, koniecznie! I je-

szcze jedno... fotografię twoją... Postawię sobie w ramach...

Cały dzień są razem. Oglądają albumy, książki. Dotykają się ciekawie, a nieśmiało słowami, końcami palców, ramieniem... Udają wtedy, że nie wiedzą o tem, a długie chwile nie zmieniają pozycji.

Zbigniew widzi tuż koło swej twarzy delikatny puszek jej policzka i lekką mgiełkę włosów.

Pełen jest jej, całą drogę do szkoły. Zatacza się, natyka na ludzi, zapomina o salutowaniu...

— Junkier!

Młody, zadziorny praporszczyk stoi przed nim. Machinalny ruch ręki.

— Dlaczego nie salutujecie?

— Winien jestem. Nie zauważyłem — drewnianym głosem wybębnia Karczewski.

— Zameldujcie o tem w szkole.

— Słucham.

Objęła go sztywna surowość szkoły. Napis w sali dyżurnej: „Bez dyscypliny niema armji“.

— Panie poruczniku, czwartej rotы junkier...

Wystukał jednakowym głosem zwykłą formułkę i raport o swem przestępstwie.

— Trzy dni bez urlopu! — padł wyrok.

Koledzy przyjęli go okrzykami:

— Co z tobą? Meder cię złapał? Nie noco-
wałeś w szkole...

— Byłem u znajomych — niedbale cedzi —
u kapitana Gosztofta...

— Patrzcie! jaki spryciarz! I pewno panny
tam są...

Coś niewyraźnego mruczy Zbigniew.

— No, przyznaj się, przyznaj — mrugają na
niego po łobuzersku.

— No, tak. Więc cóż?

— Użyłeś, co?

— E, co tam mógł użyć... w „rodzinnym
domu!“

— No, ale przynajmniej... przedsmaczek...

— Ale wiecie, że to nawet niezdrowo — cyka
Aleksiejew.

— To też później... ha, ha!

Karczewski marszczy się niechętnie: czuje
wyraźnie odór niedopałków i widzi dokoła splu-
waną w cynicznych strzyknięciach ślinę.

— Phy! a możesz się zakochać? — podejrzli-
wie śmieją się.

— Najgorzej — poucza Aleksiejew — najgo-
rzej poddać się władzy baby, zakochać się. Na-
wet sama kobieta lubi, żeby ją tak, po męsku...

Szaro i ciężko przechodzą pokratkowane dni.
Wciągają swym nieustannym obrotem, kołaczą
w uszach zgrzytem, mielią na proch myśli
wszystkie.

Maneż: jazda konna, zdejmowanie planów,

pochód całym bataljonem do łaźni, mustra, rozbieranie karabinu, wykłady (na których zmęczone oczy tak się kleją), śpiewy wieczorne.

Tak, śpiewy bodaj najbardziej niepokoją. Sączy się przez nich coś wyraźnie obcego. A zarazem mówią o sile tej wielkiej ziemi, pokrytej stalową szczecina.

I ta strasznie wroga, obca pieśń, która spręży wszystkich w surowej baczności i podrywa ręce oficerów do czapek...

Coś się burzy i łamie. Słowa tego języka stają się nienawistne, wrogie, brutalne. Żadnej nie zostawiają drogi do spokojnej zgody, kompromisu. Zmuszają do cofnięcia się w obronny kąt duszy i wyznaczenia granicy: „tu my, a tam wy“.

Cóż „my?“ My po tej i po owej stronie... Tam szarozielone orzełki, a tu... Tu także niejasno słychać o jakichś drużynach, paskach amarantowych, ba! sztandarze pono...

Ale przemożna władza tej rzeczywistości, stojącej niezbita na każdym kroku, nie jest przecie niewzruszona? Ktoś tak mówił, kiedyś... Aha!...

Zaraz po kolacji Karczewski poszedł szukać Jazwina. Tym razem nie zadowolnił się przesiewaniem wiadomych i oklepanych wieści i anegdot...

— Powiedźcie mi, Jazwin — uderzył wstępny atakiem — coście mówili o znajomych w Kijowie... Mówiliście, że są tu ludzie...

— Tss! — syknął Jazwin i z wściekłością. — Czy nie podpisywaliście, że do żadnych organizacji...

— No, dobrze... ale przecież wymuszone...

— Mój honor nie pozwala mi — wyniośle oświadczył Jazwin — tak, nie pozwala... A zresztą jak pobędziecie dłużej — zrozumiecie, nauczycie się szanować siłę. Tak, istniejącą rzeczywistość, żywą, niezaprzeczoną... Pamiętacie Puszkina: „stalnoj szczetinoju swierkaja wozstaniet ruskaja ziemia“. To przynajmniej wielkie, a te tam sentymenty, śmieszne wywracania palcem gór Uralskich w pokoikach studenckich.

— A cóż wasz lud? — z rozpaczą przypiera go Zbigniew.

— Cóż? — bez wahania tnie Jazwin — nędza zawsze była. Weźcie Rzym, Grecję... To nie do odrobienia. Ale i ta nędza syci się blaskiem tej siły. Rosjanin — nawet nędzarz — wie, że jego potężna ojczyzna...

Zgnębiony odszedł od niego Zbigniew: więc nieuchronna jest potęga tego, co się dzieje? Jakiś strzęp przeczytanej kiedyś książki:

— To co jest, jest najmańdrzejsze i jedyne... Skoro absolut jest rozumem i jedyną rzeczywi-

Chorągiew na dachu.

stością... To zdaje się Hegel. Czy może Haec-
kel? Chociaż nie, ten to jakiś biolog, czy coś?...
Więc rzeczywistość? Phy! mniejsza... Dostyć już
szarpania, trzebaby pójść...

Masz tobie, teraz dopiero przypomniał so-
bie... Niema urlopu...

A fotografii nawet niema kiedy wyjąć, na-
patrzeć się.

Szkoła pustoszeje, głuchnie, ziewa pustką
zgasłych sal. Błąkając się bezmyślnie, natyka
się na szepczącą grupkę w ciemnej już umy-
walni:

— Pss! Kto to? — słyszy głos Aleksieje-
wa — Karczewski? Chodź, chodź... Planowana
jest wielka pijatyka w szkole.

— Widzisz — tłumaczy Aleksiejew — wszyscy
jesteśmy bez urlopu...

— Więc tak, na pocieszenie?

— Właśnie, a ty?

— Jazda!

Chytry mały podoficer mruży ślepią i znika
z pieniędzmi.

— A pocóż ten czajnik?

— Naiwny z ciebie człowiek! Esencja — to
koniak, a woda — to wódka... Wrazie jakby
władza... rozumiesz?

— Kapitalne! — śmieje się Karczewski.

— My w korpusie piliśmy wiśniówkę w bu-
telkach od eliksiru... wiesz, do zębów...

— Ech, w korpusie była zabawa! Szkoda
tylko, że kobiet nie można było przemycić...

— No, ale byli przecież „mázoczki“. Kar-
czewski, ty pewnie nie wiesz co to jest „má-
zoczka?“ Dobrze takiemu: i zadania za niego
odrobia, i cukierki, i papierosy...

— Ale jak nas wypuszczą panowie, musimy
sobie zrobić orgję, no!

W miarę wychylanych filiżanek z „herbatą“,
humory biją do głów:

— Rykniemy?

— E, będzie kawał...

— Nie! Powiemy, że się uczymy pieśni do
marszu... A zresztą dyżurnemu dać filiżankę,
żeby głośno krzyczał „baczność“.

Obłąkana, kapryśna mieszanina melodji,
śmiech i płacz, czułość i zbrodnia jęły się kłę-
bić w oparach wódki i dymach tytoniu.

Karczewski płynął wraz ze wszystkimi po
wnoszących się i opadających falach. Z krzy-
kiem wpadał wdół i wznosił się powoli, aby
się znów pogrążyć. Pieśń skakała jak czajka za-
poroska lecąca na wyprawę zbójceją, gnała jak
rozhukane sanki na równi śnieżnej. Zapamiętał
się docna i obłąkał w manowcach stepu, w który
uniosła go rozhukana, nie znająca kresu pieśń.

— Do dyżurnego pokoju, proszę! — oświadczył dyżurny tajemniczo.

— Co takiego? — zaniepokoił się Karczewski.

— Nic złego! nic złego!

— He, he! pewnie kobietka! No, bierz się ostro do rzeczy, Karczewski! Nie zawstydyź czwartej rotę!

Tak, to była Lida. Błada, zalekniona. Przyszła z matką, ale natychmiast po przywitaniu zostawiła ją na krześle i pociągnęła Zbigniewa do okna.

Tu, wśród setki zmieszanych głosów, tłumu ludzi, skupionego pstremi gromadkami dokoła szarych bluz i nagich głów, wyszłochała swój niepokój, trwogę i smutek:

— Ale, żeby tak ani słowa!... Dobrze, rozumiem, nie mogłeś przyjść... ale przecież kartka, telefon...

Zbigniew patrzył na nią śmielej: nie było już w nim tego nieuchwytnego puchu niedomówionych słów, cichych szeptów, spojrzeń... Nieznacznie wsunął rękę do mufki i pieścił jej rączkę, przysuwając się coraz bliżej. Oczy paliły mu się niespokojnie.

Lida uspakajała się zwolna, poczęła się uśmiechać:

— A w środę?

— Przyjdę.

— Ale zaraz ze szkoły, dobrze?

Banda była już w nastroju „włazenia na ścianę”. Przywitali go okrzykami:

— No, co Karczewski? Żal, że tam tyle ludzi, a? Co to za jedna! Za zdrowie kobietki Karczewskiego, ura!

— Ura!...

W pierwszą środę zatem, wyczyszczony i odświeżony zadzwonił do znajomych drzwi.

Otworzyła mu sama Lida i zaprowadziła do salonu.

— Papa z mamą wyszli! — oświadczyła odrazu, ale natychmiast zaczęła szybko zagadywać. — Musisz poczekać, aż wrócą, bo byłoby im bardzo przykro...

Zbigniew uśmiechał się, milcząc: szedł śmiało i świadomie naprzód, czując w nawisającej chwili radosną burzę. Lida śmiała się częstymi wybuchami, potem zaczynała mówić szybko, gwałtownie, broniąc się rozpaczliwie przed tem, co się zbliżało.

Właśnie opowiadała o jakimś balu:

— Musimy pójść koniecznie — trzepała, unikając oczu Zbigniewa — ja już obmyśliłam sobie sukienkę... Zobaczysz, będzie bardzo wesoło. Tania Fomina też będzie, a także...

Usta jej zacichły nagle pod drapieżną pieszczołą Zbigniewa. Nie odrywając ich, szarpnęła

się kilkakroć całym ciałem i wraz ucichła, podając się bez buntu słodkiej przemocy.

Bali się przerwać tego, co się działo. Ta bowiem chwila, ta sama właśnie, nie miała się już powtórzyć.

Potem wtuliła się w niego, wgarnęła się całą i przytuliwszy się do piersi:

— Lubisz? — westchnęła.

— Lublu — odpowiedział, jakby obcy głos słysząc.

— Ja cię... od początku — zwierzała się tajemniczo — ale nie chciałam odrazu, żebyś... bo podobno mężczyźni nie ceniają, jak tak odrazu... Tania mówiła... I wiesz, to dziwne... Zdawało mi się tyle razy, że się kochałam i nie-raz, wiesz, takie zabawy są... co się całuje w nich... a teraz to zupełnie inaczej... ty pewno nawet nie wiesz...

Słuchał nieco niedbale i znowu porwał ją w nielitościwy uścisk. Płomienie ogarnęły jego ciało, wgryzał się w nią, łamał, szamotał...

W pewnej chwili wyrwała się nagle i z krzykiem:

— Nie mogę, nie mogę — oszaleję! — rzuciła się do drzwi.

Zbigniew zatoczył się jak pijany, postąpił parę kroków i... przed nim stał ktoś bardzo znajomy z dziwnie zamieszaną twarzą.

— Kto?... — zachrypiął wściekle i naraz roześmiał się.

Lustro, naturalnie. Poprawił ubranie, uspokoił się nieco, zapalił papierosa. Niewiadomo skąd rosła w nim fala spokojnego cynizmu, dobierająca słów „paczki“:

— Oł, historia! Ale z Lidy morowa kobietka... Co tu dalej? Próbować czy...

Jeszcze raz uprzytomnił sobie chwilę i zrozumiał, że tak się musiało stać. Chwila ta po prostu — przyszła. A co dalej? Również to, co — przyjdzie.

Spotkania stały się teraz dla nich niespokojną tęsknotą i zdradną trucizną, której chcieli coraz i coraz więcej. W salonie, teatrze, ogrodzie zbliżali się nieustannie ku sobie w niezmiennej, a tak rozmaitej tęsknocie.

Zbrukał się śnieg, wiosenne błoto pokryło nalotem słabej zieleni, potem rósł co dnia zielony przepych. Siadywali więc wieczorami w ogrodach miejskich, nie troszcząc się wcale, że są wśród tysięcy podobnych. To, co było między nimi — niepodobne było do żadnego uczucia na ziemi. Przecież oni to odkryli, wynaleźli, wymyślili...

Zbigniew żył w długotrwałym, niezrozumiałym majaku. Szkoła, gdzie już zbliżał się czas

awansów — była mu daleką i obcą, ledwie, że koniecznym ułamkiem mózgu chwycił jej bieg.

Miłość Lidy zaś wisiała w powietrzu nie oparta o nic więcej, prócz własnego trwania. Nie myśleli o przyszłości: dla nich przyszłością było najbliższe spotkanie, a najdalszy jej kres — to awans Zbigniewa. I to nie ponadto jak tylko, że będzie ładnie ubranym, eleganckim oficerem.

Przychodziły czasem na Zbigniewa krótkie chwile wspomnień. Przesuwały się szybko wstęgą kinematografu i mówiły o tych wszystkich innych Zbigniewach Karczewskich, którzy byli. Ale tem bardziej Zbigniew nie wiedział, gdzie jest on naprawdę.

Rzucał się więc w miłość Lidy, ucierał się o twarde kanty służby lub wpadał w pijackie porywy paczki kolegów. Obiecywał sobie, że kiedyś w wolnej, swobodnej chwili roztrząśnie to wszystko, co szło przez niego tak długi czas i zostawiło tyle swoich strzępów. Postanawiał, że odgrzebie wśród rumowisk istotny fundament i pomyśli o rysunku domu.

Nie stawało się to jednak: przyszedł dzień bądź co bądź ważny i znaczący:

— Winszuję panom awansu udzielonego rozkazem Najjaśniejszego...

— Pokornie dziękujemy!

A potem szlify, kurty ofcerskie, szable, rewolwery, kufry, pieniądze, papiery...

Otwarcie już zapalają papierosy na ulicy, są oficerami! Odpowiadają z radością na salutowanie żołnierzy; bodaj — czy nie liczą, ilu już im oddało honory...

Paczka z czwartej rotę wyróżnia się wspałością nieprzepisowego stroju: zamiast zielonego koloru — brązowe frencze, granatowe rajtuzy, każdy szczegół ubrania zwraca uwagę.

— A teraz, panowie, na hulanke — inauguruje Aleksiejew — do „Starej Rusi“. Ja prowadzę!

— Ja muszę... — bąka Karczewski.

— Nic nie musisz! Idziesz z nami!

U Lidy zjawił się dopiero nazajutrz żółty i zniszczony, z ustami wypełnionymi niesmakiem. Przyjęła potulnie jego zawile tłumaczenia i prosiła cicho, że teraz już musi być jej... Musi go przecież pokazać światu... Musi się nacieszyć... Stanowczo powinien być conajmniej kapitanem! Ot, tylko zdjąć tę gwiazdkę... Przyszła nań serdeczna skrucza i dawna nieśmiałość serca: całował końce jej paluszków, ostrożnie, skąpo korzystał z darów jej miłości.

Cieszyli się oboje każdym szczegółem jego ubrania, uzbrojenia:

— A czemu te guziki obszyte?

— Żeby się nie błyszczały, żeby nieprzyjaciel nie zobaczył — tłumaczył z powagą.

Ucichła nagle i chyliła głowę.

— Co tobie, Lidoczka?

— Ja głupia, zła, cieszę się — chlipnęła naraz — a przecież ty jedziesz na front, na wojnę...

— Aa! — zdziwił się naraz i starał się zrozumieć. — Tak, na wojnę — powtórzył.

Nie widział jednak wyraźnie tej wojny, tego frontu, i tylko niejasne uczucie ostrzegało go, że wpada w całkiem nowy, obcy i wrogi świat.

— Jakoś... przebieduje się — uśmiechem się ratował.

Unikali więc tego tematu, korzystając skwapliwie z krótkich chwil.

Zbliżał się nieuchronny termin i wreszcie brutalnie odciął Karczewskiego od wszystkiego tego, co zdążyło spoić się z jego duszą licznymi węzłami.

Czuł, jadąc w długim, wojennym pociągu, że jest dosłownie zawieszony wśród dwóch rozdziałów życia.

Biała kartka.

Dziwił się nawet pocichu, że i teraz coś się dzieje. Że wychodzi się na stację, kupuje jedzenie, papierosy; rozmawia z towarzyszami podróży... Przecież tego właściwie niema!

Odpowiadał jednak machinalnie na każde zazębianie kółek rzeczywistości, odpowiadał mądrze i celowo — mądrym i celowym działaniem instynktu. Nie był jednak wcale, czy też — nie było go.

Obijał się sennie o ściany wagonu, podskakiwał jego drganiem, przesiadał się kierowany wskazówkami konduktorów, znalazł się wreszcie w nagim polu. Kilka wagonów na bocznej linii stanowiło stację.

— Błok — post! — oświadczył im wojskowy konduktor.

Małe chłopskie wózki długim ogonem podreptały zakurzoną drogą. Jechali po dwóch, po trzech. Było ich ze dwudziestu.

— Więc to — front? — dziwił się Zbigniew niepomiernie — więc to ów front?

Rozpostarta płasko, pokornie a szeroko cisza oczekiwania ciągnęła się od horyzontu do horyzontu, ujęta w ciemne ramki lasów. Płodna możliwość olbrzymiej połaci pól czekała z przytępnym oddechem na twórczy błysk złotych błyskawic siejby. Bezbronną otwartą ziemią prosiła swą pokorą o zaczyn nasienny gwałtownej woli człowieka.

Świętość tej tęsknoty nasyciała cały prześwist bogobojnej ciszy. Ledwie, że skowronek, niby grudka tej ziemi rzucona wzwyż, wydzwaniała...

niał cichutko naiwne prośby ziemi wstającemu słońcu.

Wielka przestrzeń znaczona rytmem prymitywnych wyżłobień, niby starodawny drzeworyt, panowała w całym polu widzenia. Zaledwie znać na niej było małą żmijkę drogi i sunący po niej sznur wózków.

Ciekły one drobnym truchtem, mamrocząc warkotem kół poranny pacierz.

Karczewski pociągnięty tęskniącą pustką pól, jał dzielić je na wielkie, zwarte pajdy, wznosił na nich szumiące, dostałe w złocie i srebrze tłumy, rozsypywał drżące perły tatarki, rozcierał soczysty aksamit buraków, wdechał chciwie zapach łąbinu, hreczki i lewie zaznaczony polot kwitnącego pyłu zboża.

I naraz szara bryła ziemi uderzyła w jego obraz:

— Nie obsiane? — zastanowił się.

Raz jeszcze obejrzał się w podziwie. Daleko za nimi sterczało w szczerem pustkowiu stado ogłupiałych, zbitych w jednym miejscu wagonów, i kopał wąską strugą dym z lokomotywy. Przed nimi wyrastała surowa, ciemna zieleń lasu. I nic więcej.

— Nie obsiane? — zapytał chłop.

Obejrzał się tamten powoli i uważnie patrzył na Karczewskiego. Smagnął niedbale konia:

— Pewnie — przeciągnął — pewnie, że nie obsiane...

Wózek podskoczył na korzeniach, kiwnął się na strony i pograżył się w jaskinię lasu. Chłop kiwał głową do taktu:

— Tak, tak! Nie obsiane. Wiadomo — front...

— Teraz przecie... — niepewnie podjął Karczewski.

— Ha, teraz... Ale cóż? Cofną się nasi i... Któż będzie darmo chleb rzucił? Wiadomo — front...

— Front — powtórzył Karczewski, mozolnie rozplatając supeł tego słowa. Zwrócił teraz uwagę na swego towarzysza. Był on, tak jak Karczewski, jak wszyscy — w nowym sztywnym płaszczu, świecił czystym złotem szlif i opinał się niezaradnie w uprząży bojowego ryszunka. Twarz miał różową, oczy zdziwione.

— Czy pan był na froncie? — nieśmiało zagabnął Karczewskiego.

— Właściwie... nie... — niechętnie się przyznał Karczewski.

— Ja także... nie... Ale teraz — ożywił się — teraz podobno cisza? Przynajmniej z komunikatów...

Karczewski zwrócił się do chłopca:

— Daleko mieszkacie?...

— A ot, tu... Będziem jechać mimo... Duża wieś — można powiedzieć...

— A cóż, cicho teraz, spokojnie?...

— Bogu dziękować jakoś tam... A ot, bliżej... w Zamościanach naprzykład — niedobrze...

— Co? co? — wychylili się obaj.

— A, ot... wczoraj musi. — Nie, pozawczoraj — w piątek... Germaniec wziął puszczać pociskami...

— Pociskami! — powtórzyli obaj, jakby nigdy nie słyszeli o podobnych rzeczach. Ale bo też wszystko znane im dotychczas, innej zaczęło nabierać barwy i znaczenia, tu w bliskości owego „frontu“.

— ...dach cały pooo-szeł! — z niejakim zadowoleniem kończył chłop.

— Jakto „poszedł?“

— Zerwało — znaczy się -- ze wszystkim. A po ludziach...

— Cóż po ludziach?

— Po ludziach jedno mokre miejsce się zostało. Ot, co!

Obaj młodzi oficerowie cofnęli głowy w szerokie kołnierze płaszców. Milczeli długi czas.

Wózek podrygiwał kapryśnie, terkotał, grzechotał. Koń niedbale trząsł się w klusie.

— Ta-ak — mruczał Karczewski — „mokre miejsce“... Niczego sobie sztuka...

Ocknął ich trzask. Niespodziany, brutalny. Nakazujący groźnie.

— Ta-tach!

Podnieśli głowy. Serce skokiem nierównym uderzyło pod gardłem. Pierś stała się dziwnie pusta.

— Co to?

— Tach! Ta-tach! Tach! Tach-tach-tach! Ta-tach!

Ręce niezdarnie szukały nieużywanej broni. Szamotały się ze sprzączkami, guzikami:

— Co to? Co to? Niemcy?

Chłop leniwie się obrócił:

— Uczom się.

— Aa! — opadły w zawstydzeniu ręce. Głęboki oddech podnosił pierś.

— Tak? Uczą się... Do celu...

— Tak blisko frontu? — zdziwił się w przestrzeń Karczewski. — A jak Niemcy...

— E, do samej pozycji będzie jeszcze ze cztery wiorsty — bąknął chłop.

Ach, więc front i pozycja! Front to wszystko to... Nawet ten las spokojny, te pola... A pozycją, „sama“ pozycja — jeszcze gdzieś przed nimi. Nieznana, groźna...

Jakże wiele musi się uczyć młody oficerek w nowym płaszczu, ze złotymi szlifami! Wszystkiego od początku. Front i pozycja, hm... Trzeba

uważnie patrzeć, trzeba słuchać, pojmować, aby w tym nowym świecie...

— A ot i Zamościany — wskazał batem chłopina.

Pierwsza furka zatrzymała się przed chałupą, stojącą nieco nauboczu, inne podjeżdżały bliżej i stawały także.

Gromada oficerów wśród porozstawianych walizek i koszów krzątała się w zakłopotaniu. Gadali jeden przez drugiego, naradzali się... Inni zapalali papierosy lub przegryzali.

Podszedłszy bliżej, zobaczył Karczewski nad drzwiami chaty drewnianą tabliczkę z napisem: „698-y szargorodzki pułk. Kancelarja“.

— Jakto, w chałupie?

Mało tego: z chałupy wychodzi zabrudzony dzieciak w zadużej wojskowej czapie, bez odznaki, pies się płacze...

Po chwili wahania, Karczewski wszedł do chaty. Z ciemnej sieni skręcił w lewo, otworzył pojedyncze drzwi... Niewielka izba, z dwoma małymi okienkami, dwa stoły na krzyżakach, zarzucone papierami.

Pisarze unieśli się nieco przy jego wejściu, ale natychmiast powrócili do swych zajęć, nie zajmując się nim wcale.

Nie wiedział Karczewski jak ma na to za-

reagować: nie znał jeszcze zbyt dobrze praw, które mu dawały jego świeże błyszczące szlify.

Podszedł jednak do odpasionego plutonowego:

— Czterdziesty pierwszy, syberyjski — daleko stoi?

— Blisko wasza wielmożność, w Wołożynie. Na odpoczynku...

To było najważniejsze. Zobaczy więc Fiłozofowa i... Szkoda tylko, że tamten jest już miesiąc na pozycji. To też pójdzie się do niego dopiero po pewnym czasie, gdy się już pozna wszystko. Inaczej, znowu miałby przewagę...

Po chwilowem wahaniu poczęstował Karczewski plutonowego papierosem. Zaciągnąwszy się, zagadnął tamten ostrożnie:

— A wasza wielmożność może chciałby z jakim znajomym w jednej rocie?...

— Co, ja?... E, nie...

— Ważne jest także, żeby dobregorotnego dostać... bo niektórzy potrafią pędzać i dokuczać...

— A któryż... niby... dobry? — niedbale bąkał Karczewski.

— Ot, piątej rotę... praporszczyk Dulski...

— Praporszczyk — rotny?

— Na pozycji dużo praporszczyków na rotach...

Chorągiew na dachu.

— A on... ten Dulski... katolik? — wykrztusił Karczewski.

— Nie, prawosławny, ale... z Polaków, zdaje się, będzie... Jeśli wasza wielmożność życzy sobie — to my tu już...

— A, dobrze, dobrze... Dziękuję — bąkał zawstydzony.

Weszli teraz hurmem młodzi oficerowie. Chrząkali, poprawiali rynsztunek, prostowali się.

Opasły plutonowy znikł w sąsiedniej izbie z papierami w ręku. Po dobrej chwili wrócił.

— Pan adjutant rozdzielił panów oficerów... — zaczął czytać. — Do pierwszej rotы — jego wielmożność praporszczyk...

Karczewski wsłuchał się uważnie.

— Do piątej rotы jego wielmożność praporszczyk Karczewskij i praporszczyk Gorocho-wskij...

Praporszczyk Karczewskij... Ach, prawda! To on jest tym „praporszczykiem“.

Jakie bardzo dziwne rzeczy się dzieją! Czy te chwile, w których był on kimś całkiem innym i w zupełnie innych miejscach, warunkach — czy te chwile zupełnie nie istnieją? Niedawno był w Kijowie, potem w wagonie, potem jechał wózkiem... Czy to możliwe, aby to on był zawsze? Czy to możliwe, że on jest teraz tutaj?

Przecież może się przenieść odrazu do Syberji... Oto widzi koszary, Grand-hotel...

Czy to wszystko nie jest — Karczewskiego przejął lęk obłędu — czy to nie jest bezsensownym snem?

Hucznie, głośno zaczął rozmawiać Karczewski z kolegami. Śmiał się i dowcipkował:

— Uważajcie, panowie, po drodze... Najgorzej, jak taki pocisk w oko wpadnie. Oko się zaproszy...

— A jak w głowę trafi — dotrzymywali mu niektórzy placu — to o! taki guz wyskoczy...

Gorocho-wski był to właśnie ów towarzysz podróży Karczewskiego.

— Bardzo się cieszę — bąkał — że właśnie z panem... Zawsze przyjemniej...

Zajechali furgonem w spory jar cały poryty i upstrzony jaśniejszemi wzgórkami ziemi. Jakby wiejskie piwnice, czy lamusy... Z małych rur blaszanych, ledwie wystających z ziemi, kurzą się dymki; kręci się leniwie kilka postaci.

— Tu drugi bataljon — objaśnia żołnierz, ściągając lejce.

— Cały bataljon? tutaj?

Ugiąwszy głowy, dali nurka w jedną z ziemianek. Dwóch oficerów w spodniach i koszulach majstruje przy oknie. Wyprostowali się nowicjusze służbiście:

— Panie chorąży! Chorąży Gorochowski ma zaszczyt...

Nieźmiernie szeroki w barach, niski człowieczek zaśmiał się pełną gębą:

— Jaki tam zaszczyt! Pluńcie panowie na te... tam... Tu front...

Aha, więc nietakt. Inne zwyczaje. Szttywna służbistość i złote szlify — nie są tu na miejscu.

Przyglądają się zatem uważnie nowemu zwierchnikowi: szlify ze zwykłego materiału, a ta gwiazdka i pasek, które oni noszą z takim pietyzmem — narysowane chemicznym ołówkiem. Szabli nie nosi wcale, tylko rewolwer i to na prostym pasku, bez owej uprząży, w którą zaopatrzono ich jako w „bojową“ właśnie.

Na ścianie krótki karabinek kawaleryjski, podłużne, zielone pudło na taśmie. Na półce papierosy, świeca i kilka metalowych jaj, dziwnego kształtu.

Właśnie jedno takie jajo rozbiera ich „rotny“, z drugim oficerem, chudym i bladym chłopakiem z podkrążonemi oczami.

— Panowie uważajcie — ostrzega ich ponuro — lada chwila wybuchnie.

— Tak, tak! — przytwardza Dulski — ja i Aleksandrow — starzy nicponie, niewielka nas

szkoda, ale wy... zuchy, bohaterowie, wyrób zupełnie nowy.

Zrozumieli wreszcie, że to kpiny i uśmiechają się niepewnie.

Aleksandrow jednak ma nieźmiernie pogrzebowy wyraz twarzy:

— Jeżeli dziś znowu będzie gazowy atak — zwraca się do Dulskiego — twoja rota będzie w ostrem pogotowiu. Mam przecucie, że dziś w nocy będzie wielka ofenzywa na całym północnym froncie. Jestem przekonany, że połowa nas zginie. A panowie umieją używać masek?

— N-nie...

— Dulski! trzeba natychmiast... jakże to? mają ludzie niewinnie ginąć?

— Zaraz każe przynieść...

Karczewski jest już podejrzliwie nastrojony do owej troskliwości Aleksandrowa, ale Gorochowski wierzy bez zastrzeżeń i dopytuje się gorączkowo:

— To taki gaz idzie, jak obłok?

— Phy, jak obłok? Cały świat dokoła jest czarny. Gdzie się nie ruszyć — gęsto. Tak, tak — straszna śmierć...

— O, proszę panów: otwiera się wierzch tego pudełka, wyjmuje się korek od dołu, przedmucha i naciąga na twarz...

Aleksandrow przeistoczył się naraz w łysogo

potwora, o gładkim, jasnym łbie, ryjowatym pysku i wielkich, niesamowitych oczach.

— Oddechać trzeba powoli — doniósł się jego głuchy głos za maski.

Dulski pomógł zagospodarować się swoim oficerom na dwóch pustych tapczanach i zarządził przyjęciem:

— Janie, idź gdzie na wieś i kup, co się da...

— A jak się nic nie da? — poufale szczyrzy zęby Jan.

— To masz urodzić! — kategorycznie decyduje Dulski.

Aleksandrow włożył bluzę i przysiadł się do herbaty. Młodzi oficerowie ze zdumieniem zauważyli, że miał on szlify porucznika.

— Dulski! — podjął z za gęstej pary — jutro pójdziesz z panami na wywiad. Na odcinek bataljonu.

— Całuj psa w nos! — spokojnie odrzekł Dulski, gryząc coś, co miało być w zasadzie ciastkiem.

— Aha, dowódca bataljonu! — zrozumieli nowicjusze i zarazem zdziwili się niepomierne niesłychanemu stosunkowi zwierzchnika i podwładnego. Dziwny, dziwny ten front!

Aleksandrow nie podnosił więcej tej sprawy i nie wzruszał się zbyt. Po chwili zagadnął Dulskiego:

— Pamiętasz, jak tu pocisk wpadł przez okno?

— Aha! — mruknął Dulski.

— Dziwny wypadek, proszę panów — zwrócił Aleksandrow swoją znużoną, chorowitą twarz. — Okno nasze jest akurat naprzeciw pozycji. Często wpadają kule karabinowe, ale dotąd nigdy jeszcze — pocisk. Zawsze albo przenosi, albo nie donosi. Aż tu raz... siedzimy właśnie przy herbacie...

Karczewski zwalczył swą służbistość i demonstracyjnie odwrócił się od Aleksandrowa. Rozpytywał Dulskiego o służbę pozycyjną. Ten podżartowywał, ale można było coś nie coś wydedić.

— A możnaby pójść na pozycję? — zapytał Karczewski.

— Ustrzelą! — ostrzegł Aleksandrow.

— Ha, za cara, ojczyznę i wiarę! — z nieznaczną ironią bąknął Karczewski.

— Pójść można — ruszył się Dulski — ale panowie z temi szlifami...

— Nie szkodzi — brawurował Karczewski — zobaczymy, czy Niemcy dobrze strzelają.

Zapięli pasy i wychynęli na świeże powietrze. Było ciche, ciepłe popołudnie.

W taką porę zajeżdża się najtyczanką przed ganek sąsiedztwa, zatoczywszy zgrabny krąg

dokoła gazonu. Potem je się poziomki z mlekiem i pije białą kawę z domowem ciastem. Wychodzą panienki przebrane w nowe sukienki, i rozmowa przechodzi w niewinny, przekorny flirtik. Idzie się potem z panienkami do ogrodu, na maliny... Gospodarstwo upraszają bardzo o zostanie na kolację, ale nie, nie można w żaden sposób, bo — rozumie pan — dyspozycje ekonomowi...

Ocknął go głos ponury:

— Zaraz nas ostrzelają!

Karczewski nie zwracał już uwagi na pogrzebowe dowcipy Aleksandrowa. Rozglądał się bacznie, ale nic jeszcze nie dostrzegał.

— Ot, korytarz — wskazał niedbale Dulski rów, wzdłuż którego szli.

— Jakto, to już pozycyjny korytarz?...

— No, do pierwszej linii jeszcze kawałek.

— Ach, więc jest jeszcze pierwsza linja!... Prawda, uczyli go przecież, ale... Ach, jakże to wszystko inaczej wygląda...

— A, czemu nie idziemy rowem? — nieśmiało zapytał Gorochowski.

— Życie dokuczyło — mruknął Aleksandrow, i Gorochowski się stropił.

Przed nimi było lekkie wzniesienie, w które ostro się wcinał ów korytarz. Weszli więc teraz

i szli gęsiego, ocierając się prawie o wysokie ściany wąskiego przejścia.

Za przewodnictwem Dulskiego skręcali w różne strony, nie orientując się zupełnie w tej kreciej gmatwaninie. Znaleźli się naraz w poprzecznej linii okopu, utrzymanego lepiej i nastrzonego dachami i skrytkami.

— Pierwsza linja?

— Nie, druga dopiero.

Weszli znowu w korytarz wchodzący prostopadle do okopu. Spotykali po drodze zdeptane odpadki wyekwipowania żołnierskiego: płócienne pasy bez sprzączek, złamana łopata, dziurawy kociołek... Pełno też było nieczystości i brudnych papierów.

Weszli znowu w okop poprzeczny.

— Pierwsza linja! — tajemniczo obwieścił Aleksandrow.

Stanęli przy przedniej ścianie okopu, wyłożonej plecioną faszyną, i patrzyli chciwie przed siebie.

Tuż przed okopem sterczały krzywo słupki, oplątane krzyżującymi się linjami drutu, a dalej... Dalej rozciągała się łąka, za łąką — góra... Ot i wszystko.

— A gdzie?... — odwrócił się Karczewski.

Jednocześnie Dulski wskazał palcem:

— Pozycja niemiecka — ot, tam...

Dalibóg, nie nie było widać!

Dulski wyciągnął lornetkę:

— Niech panowie zobaczą.

W małym polu widzenia wyrosły niezmiernie wyraźnie drobne załamki gruntu, kamień jakiś, krzak... Po chwili odpłynęło to wdół, a z góry wsunęły się także jak i tu słupki i druty...

— Ale okopów — mruczał Karczewski — jakoś nie...

— Jaśniejsza ziemia za drutami — pouczał Dulski.

Ach, tak, tak... Nieco jaśniejsze pasmo. Więc to to? Nie zdawało się to wcale groźne. Wyżyna zajęta przez owego „nieprzyjaciela“ (o którym tyle razy mówiło się i słyszało podczas ćwiczeń) była martwa i wyludniona. Nie zdawało się, aby stamtąd mogło coś grozić.

— Niemiec! — wrzasnął naraz Dulski i zaczął szukać czegoś koło siebie.

— Gdzie, gdzie? — Karczewski chciał odebrać lornetkę Gorochoowskiemu, ale ten trzymał ją zazdrośnie.

— O! o! — pokazywał Dulski — i tak widać!

Mała, ciemna sylwetka szła wolno po marowej niedawno wyżynie. Dulski wyciągnął rewolwer.

— Nie doniesie! Rzuć! — ziewnął Aleksandrow.

W tejże chwili figurka nagle wsiąkła w ziemię, jakby wskoczywszy w otwarty na zakłęcie Sezam.

— Jak, jak wyglądał? — dopytywał się półgłosem Karczewski Gorochońskiego.

— Jakby tu wam?... Szczegółów nie dojrzałem, ale tak ogólny pokrój, wygląd... Całkiem, ale to całkiem obcy, inny... Wiecie, jakby zupełnie inni ludzie...

Zmierzchało się już, gdy wrócili do swego jaru.

— Jan! Herbata! — wrzasnął Dulski.

Aleksandrow i Dulski pili niemożliwe ilości herbaty. Karczewski krył się za dymem papierosów i układał obrazy tego dnia.

Front, pozycja, pierwsza linja, pozycja Niemców... Nie czuł się już tak niepewnym. Wszystko było inne i obce — zapewne, ale wcale nie tak znów straszne...

Ordynas, wychodząc, zostawił drzwi otwarte, i słychać było od czasu do czasu przyziemne cykanie koników polnych.

— Tach! Ta-tach! — buchnęło gdzieś blisko

— Niemcy! — zerwał się Aleksandrow i naraz zaczął się cicho śmiać z pobladłego Gorochońskiego, który porwał się do rewolweru.

Jakże winszował sobie Karczewski, że tylko spuścił jedną nogę z tapczana!

Dulski wstał, przeciągając się, i wyszedł. Karczewski i Gorochowski ruszyli za nim. W wilgotnym powietrzu nocy, odgłosy strzałów nabierały pełni i wyrazistości.

— Gdzie to? — zagadnął Karczewski.

— Tam właśnie, gdzie byliśmy.

— I tak słyszać?

— Noc. Wilgotno...

Strzały padały po sobie w różnych odstępach, przypominając kłus dwukonnej dorożki:

— Tach! Ta-tach! Tach! Ta-ta-tach!

I naraz zagadał ponuro, uporczywie, a groźnie inny głos:

— Ta-ta-ta-ta...

Nieskończonem dygotaniem bluzgała jakaś wściekła paszcza swą nienawiść w jednolitą ciemnię nocy.

Zjawił się obok nich Aleksandrow:

— Naboje marnują, durnie! — mruknął.

W stronie pozycji jęknęła głęboko ziemia, jak drwał przed ciosem siekiery:

— Eech! Eech!

Z oddali, z oddali wzbijał się w górę przeciągły gwizd i buczenie. Zbliżało się to w warjakiem, zawrotnem tempie. Leciała jakaś mara. Groziła, wyła, śpiewała... Jakiś potwór obłąkany szybkością pędu. Już, już, już!... Nierównym

rytmem pojękuje, gwizdże, skrzypi, syczy. Już jest tuż! Co za potęga jęku!

Leci, leci! Już! już! już. Uu-ech! Tępy cios w ziemię. Cisza.

Iiii-jachu!!! — wściekły trzak, łomot, grzechotanie. A zaraz potem piękne, melodyjne wycie niewidzialnych bąków: Wiuiu-iju!

Buchnęli wszyscy do ziemianki, potykając się na schodach, a za nimi pacały ciężkie kawały metalu i grudy czarnej ziemi, zbeszczeszczonej w swej oczekującej pokorze. To była siejba wojny... Drugie uderzenie słyszać było w ziemiance, jako podziemny wstrząs trzew ziemi i szkliste drżenie szyby małego okienka.

Dulski śmiał się szeroko:

— Blisko psiamać! Czy czasem nie przetrąciło kogo?

Otworzył drzwi i wychylił się w ciemność nocy:

— Plesziwcew!

— Ja! — odpowiedział głos z ciemności:

— Gdzie „tarachnęło“?

— W środek placu, wasza wielmożność, nikomu nic...

Po chwili weszło kilku oficerów i znowu dwóch, i jeszcze jeden. Witali się na wszystkie strony, salutując co chwila i mrużąc niewyraźnie swoje nazwiska.

— No, cóż, panowie? — zagaił Dulski. —
Rzucimy karteczkę?

— Można! Można!

Dulski wyjął karty:

— Kto gra? Pan? — zwrócił się do Karczewskiego.

— Owszem, ale w co panowie?...

— W „szmędeferkę“.

— Nie znam...

— W mig się pan nauczy.

Zaczęły się uroczyste ceremonie: przekładanie z kupki na kupkę, podcinanie kartą, tasowanie i zdejmowanie.

Rzeczywiście nauczył się w mig. Chodziło o to, żeby „dokupić“ i otrzymać najwyższą ilość oczek: dziewiątkę lub ósemkę.

— Dać?

— Hm, hm, hm, — mruczy Dulski — czy dać? czy dać?

Potem udaje, że zmienia karty pod stołem. To należy do zwyczajów panujących tutaj przy grze. Ma to być dowcip.

— A teraz zobaczmy różki... — Dulski trzyma jedną kartę na drugiej i ostrożnie zesuwa wierzchnią. Zagląda. Potem ta sama ceremonia z zaglądaniem od dołu. Denerwująco długo to robi. I coraz wyrzuca ósemkę lub dziewiątkę.

Choć Karczewski wie, że Dulski nie szachruje, ale zawsze to nieprzyjemnie.

Ale potem jemu zaczyna się szczęścić. Wreszcie krępuje go to. Dulski śpiewa bezustanku, a bezmyślnie:

„Tumba, tumba, tumba-ja
Tumba rodina moja!“

Aleksandrow za każdym razem, gdy bank do niego przechodzi, zgrzyta zębami:

— A teraz obedrę!

— Guzik! — niezmiennie odpowiada Dulski.

Karczewski, zasłaniając usta kartami, ziewa. Nie może jednak odejść od gry — ciągle wygrywa. Zresztą siedzą na jego tapczanie. Aleksandrow zgrał się tak, że musiał pożyczyć od Dulskiego. Wstał, przeciągając się.

— O! nasz dziewczek śpi! — nachylił się nad Gorochowskim — panowie! wkładać przeciwigazy!

— Bo co?

— Zobaczycie!

Kilku rzeczywiście wciągnęło maski, Aleksandrow również. Potem nachylił swój wydłużony, blaszany ryj nad śpiącym:

— Alarm! Gazy! — głucho zadudnił jego głos.

Gorochowski, różowy ze snu, usiadł i patrzył gapiowato. Zrozumiał wreszcie: schwycił

maskę, otworzył, dmuchnął i jął gwałtownie naciągać.

W tej samej jednak chwili zatrząsał rękami i próbował ją ściągnąć. Chrypiał coś głucho.

— Korek! korek! udusi się! — krzyknął ktoś.

Aleksandrow szybko wyciągnął korek od dołu. Gorochowski uspokoił się i przecierając wielkie, szklane ślepie, łąził od jednego do drugiego, gapiąc się głupawo i dudniąc coś pod maską.

Zaczęli ryczeć z radości, pokładając się na tapczanach. Wszyscy ściągnęli już maski i śmiali się szeroko, a Gorochowski ciągle chodził, wypłupiał swoje szkła i głucho mruczał. Kiedy ściągnął maskę, był czarny, jak murzyn. Ha, ha, ha!

Kawał był stanowczo pierwszorzędny!

BIBLIOTEKA
A. G. SYRKINA
= w Wilnie =

Karczewski wrócił z Wołożyna tak podniecony, że musiał koniecznie pogadać z Gorochowskim. Ten, jak zwykle, postarał się już o jakieś pierniczki i czekał z herbatą. Siedział po turecku na tapczanie w samej koszuli: byli przecież w rezerwie bataljonu, mieli prawo do rozprężenia swej opiętej gotowości dwutygodniowej.

Tuż przy drzwiach siedział żołnierz przy telefonie, beczącym od czasu do czasu głosem konającego zająca. Żołnierz siedział prawie bez ruchu ze słuchawką przyłożoną do ucha.

— No, cóż? — przywitał ciekawie Gorochowski Karczewskiego.

— Powiadam ci — pęczniał śmiechem Karczewski — coś... coś niesłychanego... Zaraz ci opowiem...

Rzucił nowy mundur na tapczan i ściągał buty.

— Herbaty chcesz?

— Nie... albo dawaj. Ale papierosa przedtem... Wypaliłem przez drogę wszystkie. Powiadam ci, zdychać będziesz...

Chorągiew na dachu.

— No, no? — niecierpliwie poprawiał się uśmiechnięty Goroehowski.

— No, więc przychodzę... ledwo znalazłem jego kwaterę, a mieszka z drugim, także z Syberji, Sołoninem.

— Co to tak gwiżdże?

— Aha, opowiadałem ci? No, więc właśnie. Obaj bardzo, bardzo... To jest z początku próbowali trochę, ale zaraz dałem im po nosie. Wyobraź sobie, oni wcale jeszcze nie byli na pozycji! Przyjechali, jak pułk był na odpoczynku, i dotąd siedzą. Więc tak — rozumiesz — mimochodem opowiedziałem o naszej wycieczce pod samo Krew.

— Aha!

— I wyobraź sobie, Filozofow zaciągnął mnie do pułkownika Winogradowa na herbatę.

— No?

— Ano nic. „Praporszczyk Karczewski“ — „Pułkownik Winogradow“... „Bardzo mi przyjemnie“... Siadamy, gadamy, aż tu wchodzi... no, zgadnij!...

— Żona?

— E, tam — stara przecież! Ale dwie córki. Jedna ładna, choć nie w moim guście: pełna blondynka. A druga brzydsza: mała, z twarzą zmarszczoną... Przedstawiamy się, witamy... Ja

przysiadam się do Lizy... to ta właśnie blondynka.

— To on tam z córkami?

— A cóż? Dali mu pułk na froncie, a on w Syberji przyzwyczaił się do rodziny... Zresztą one stale mieszkają w Wołożynie, nie jeżdżą z nim przecież na linję.

— No, rozumie się.

— Ale mniejsza o to. Zaczynam, proszę ciebie, ucinąć flirt na całego... A tak mi się coś wydaje, że panna marząca, sentymentalna... Chmurki, nastroje — rozumiesz... Zaczynam więc o tem i owem. Że ona powinna gdzieś w pięknym ogrodzie, wśród akacyj, bzów... Dobra nasza: ryba bierze! Ani myślałem nawet... Przysuwam się... za rączkę nieznacznie... i ona przysuwa się... I naraz mówi: „Ale będzie zły!“ „Kto?“... I wiesz, co się okazuje?

— No, no?

— Filozofow jest jej narzeczonym!

— Nie może być!

— A co? Dobrze? Ale czekaj — to nie wszystko! Wyszliśmy do drugiego pokoju... niby, że tam jakieś odkrytki, czy coś... Więc myślę sobie: ryzyko — rzecz szlachetna. Obejmuję i całujemy się, a tu...

— A tu?

— We drzwiach Filozofow!

— A to morowo! — zacierał ręce Gorochoowski. — No, i co?

— Zaraz ulotnił się. A ja zostałem na herbacie... Zapraszali mnie, żeby częściej...

— No, i będziesz chodzić?

— Ma się rozumieć! Panna niczego, no i... wyżerka bądź co bądź.

Gorochoowski patrzył z radosnem uznaniem na przyjaciela:

— No, no, masz szczęście... i to u pułownika... Dom, co się nazywa, wysoki... Ale, ale! — porwał się naraz — byłbym zapomniał: dwa listy do ciebie.

— Daj-no!

Długa, błękitna koperta ze znajomem piśmem...

„Miły mój!”

— Lida! — krzyknął bezgłośnie. Pod serce podchodziła mu zimna fala, i w głowie głośno szedł bezmyślny zegar.

Lida! Lida! Jak mógł, jak mógł! I ani jednego słowa wyrzutu... Tylko: „nie mogłam odrazu wywieźć się o twój adres“... i „jeśli będziesz miał chwilę czasu“...

Zaniepokoiło zakończenie:

— „Być może, że w niedługim czasie“...

Jakim sposobem „zobaczymy się“... A tu Liza... Głupio! Czyżby rzeczywiście...

— Co to za list?

— Od Lidy... — machinalnie bąknął Karczewski.

— Od kobiety? — zaciekał się Gorochoowski. — Cóż to za jedna?

— Tam... córka jednego kapitana...

— Kapitana? No, wiesz, ty masz swoją drogą...

Karczewski spojrzał z nienawiścią na jego prostoduszny uśmiech. Że też nie zauważył do tej pory, jak głupią gębę ma ten Gorochoowski.

— A drugi? — pytał tamten, nie rozumiejąc wzroku Karczewskiego.

Drugi? A prawda jest i drugi... Mozolne, dziecinne pisanie cioci Femci. No, „zdrowie... uważaj... oszczędzaj się“ i tak dalej... Cóż jeszcze? „Stali żołnierze cały miesiąc“... Zabawne, to mu nigdy nie przyszło na myśl, że u niego mogą żołnierze... Co, co? „Zabrali Ciucha... Nie wiem, czy to pokwitowanie co warte, i dokąd z nim... Wszystkie prawie młode jabłonki zniszczone, bo konie“...

Zbigniew zobaczył w tem okamgnieniu Poddębie, jakoby z lotu ptaka. Wśród tak znanych, kochanych miejsc włóczyło się szare robactwo żołnierskie... większa gromadka skupiła się koło starego kasztanu. Zetną go!

Zwrócił oczy na list: „Stary kasztan ścięli,

choć... Nie wierzył prawie oczom. Czyżby to już wcześniej wyczytał?

— No, cóż tam? — zagadnął Gorochowski.

Karczewski, nie odpowiadając, wyszedł boso na dwór. Całe jego podniecenie rozwiało się bez śladu. W głowie miał szumiącą pustkę, a w ustach gorzki niesmak, jak po podłym tytoniu.

— Stary kasztan ścięli... Lida... Głupio...

Szedł boso po rozgrzanym piasku rozwałonego okopu, z rękoma w kieszeniach. Nad małym ognikiem rozpalonym przy kamieniu wytrząsał żołnierz koszulę. Dużo żołnierzy spało na ziemi bez butów i czapek.

Karczewski zawrócił z powrotem.

Ach, jakże mu obmierzło to wszystko! Co on tu wogóle robi? aż przystanął. „Praporszczyk! praporszczyk!“ Idjotyzm: nie jest żadnym praporszczykiem! A co do Lidy — to nie nie żałuje. Nie ma zamiaru ciągnąć tej sprawy zadługo. Ciucha zabrali, kasztan ścięli... Bydło! Azja, psiakrew!

Za powrotem napadł na Gorochowskiego:

— Już to trzeba przyznać, że wy Moskale nie dalekoście uszli od koczowniczych czasów. Jeżeli porównać naszą kulturę...

— Ja nie Moskal — nieśmiało protestuje Gorochowski.

— Tylko co?

— Ukrainiec...

— Jeden djabeł!

Komitywa zepsuła się nieco, bo i Gorochowski chodził z odętą gębą. Karczewski leżał całymi dniami w białźnie lub włóczył się koło ziemianki. Do rot nie chodził wcale, korzystając z nieobecności Dulskiego.

Kiedys leżał znowu, kurząc obficie dymem, gdy zabeczał płaczliwie telefon.

— Wasza wielmożność, adjutant — wstał żołnierz.

— Niech go djabli... — leniwie zwłókł się Karczewski i przyłożył ucho do słuchawki.

— Czy piąta rota? — odezwał się słaby, nosowy głos.

— Tak.

— Praporszczyk Dulski?

— W Mołodecznie.

— A kto mówi, praporszczyk Karczewskij?

— Tu mówi Karczewski — zimno odpowiedział.

— Aha. Poufnie! Drugą *skrzynkę* dziś na noc trzeba zanieść do *rowu*. Będą wysyłane *cygara*, i zarzniemy *świnie*. Piąty *karabin* postawić...

Drażnił Zbigniewa ten niby — tajemniczy język, który znał każdy ordynans i kucharz,

a który utrudniał porozumienie się i był upokarzająco śmieszny.

Zwolna jednak wyłuskiwał z tej błazeńskiej skorupy twarde, spoiste jądro rzeczy ważnej, groźnej, a niezmiennej. Ledwo, że mógł wierzyć. W pierwszej chwili zachnął się i chciał rzucić w telefon: „to sobie róbcie, mnie nie do tego!” Zwolna jednak słowa, mówione bez cienia wątpliwości i przypuszczenia oporu, kruszyły jego ścianę, którą próbował odgradzić się od istniejącego świata.

Leniwie wciągnął kurtkę z szlifami, opiął na sobie pas z rewolwerem. Obczał sam sobie, sztywniejąc w posłuchu dalekiej woli, która mu szepnęła swoje władcze słóweczko po cienkim nerwie telefonu. Wchodził w natłok spraw dalekich mu właściwie: żelazna porcja, ładunki, szkie odcinka, łączność...

— Ofenzywa! — rzucił chrapliwie i ostro wchodzącemu Gorochoowskiemu.

— Tak? świetnie! — zarumienił się tamten.

— Cóż świetnie?

— Tak, bo widzisz — rozkrochmalił się chłopak — ja już dawno myślę, że ot dzieje się dokoła... Różne rzeczy się dzieją... A ja, jakby nauboczu... Siedzi się w tej ziemiance, chla się tę herbatę... i tak...

Karczewski słuchał nieżyczliwie i nie chciał rozumieć:

— Cóż, w los chcesz się bawić?

— Nie, nie to... Widzisz, nie umiem ja... uczenie... Ale, żeby czemś przyczynić się, wysiłek swój dodać...

— Za Ruś, caria i wieru! — brutalnie urwał Karczewski.

Milczeli obaj, automatycznie przywdziewając odzież i uzbrojenie. Karczewski stał już w drzwiach.

— Obrzydło mi to wszystko — warknął. — Napada, chwyta, wciska... A może ja — prawie ze szlochem wyszarpnął — może ja nie chcę, może inny jestem!...

— I cóż zrobisz? — zaniepokoił się Gorochoowski.

— A no, muszę — uśmiechnął się krzywo — muszę „urządzić się” tak, żeby pod koła nie wpaść.

— I to jedyne?

— To jedyne, żeby zrozumieć, poznać kanty i zaułki obcego świata. Żeby umieć się nim przemykać...

— A ja tam ..

— Plewat! — warknął Karczewski i poszedł do ziemianek żołnierzy.

W ciemniejącej szarzyźnie wieczoru, wyła-

niały się z ziemianek bryły żołdackich gromadek i roily się niezaradnie, grzechocząc kociołkami i łopatkami.

Karczewski obszedł opustoszałe, niby nory spłoszonych zwierząt — ziemianki. Straciły one żywotność swego wnętrza i tylko zużyte, zbyteczne resztki smutnie wspominały pobyt ludzki.

— Stanowis' — półgłosem rozkazał Karczewski, słuchając w niejasnym zdumieniu swego głosu. Czuł się jak roślina, której zaszczerpiono obcą zgoła gałąź i ją tylko ceniono w nim. Wcisnięto mu w duszę obcą marę, która działała niezawodnie ku pożytkowi tych... tam... jego użyto tylko jako punkt zaczepienia, jako pożywkę i nosiciela...

— Na prawo! Riady wzdwoj! Na pleczo! Szagom marsz! — wyrzucał z siebie, prawie nie wiedząc o tem.

Ciemniało coraz bardziej. Doszli do głębokiego rowu, w którym ciemność nocna zgęściła się najbardziej. Wyciągnęli się w długiego węża i szli z karabinami w rękach, przytrzymując grzechotliwe kociołki. Kręcili się po rowach, zbaczali i coraz zbliżali się do pierwszej linji. Przed nimi w czarnej głębi nieba, wykwiwały — na długich, cienkich szypułkach — jaskrawe kwiaty rakiet. Rosły z dna nocy szybko, z syczeniem i naraz rozwijały się w cichym wybuchu.

Przeraźliwe, całkiem białe światło zalewało wtedy okolicę i wraz gasło, oslepiając oczy i zostawiając w nich pstrokate majaczenie barw. Rzadkie kulki wyły cieniutko i płaczliwie nad ich głowami, lecąc rekoszetem. Czasem padały ciężko w ziemię. Daleko w prawo burczało wewnątrz ziemi przelewaniem grzmotu armat.

— Hospodi pomiłuj! — westchnął ktoś cicho. Potem żołnierze zaszeptali ostrożnie.

Niewidzialne w ciemni dwie olbrzymie masy ziemi ciskały za siebie jadowite małe żegadelka. A w pogmatwanej sieci krecich miast roily się sapiące cicho gromady czarnych cieni.

Zajęli nowe nory i siedzieli w nich nieruchomo. Gdzie niegdzie żarzył się czerwony punkcik ogarka. Dreszcz ponocny przebiegał ciała i łączył się z dreszczem niewyraźnej trwogi.

Głuchy pomruk idący z głębi ziemi odbił się echem w ziemiance. Przeciągłe wycie pocisków zadrażało nad nimi.

— Nasza artylerja — bąknął któryś.

Ruszali się zwolna, niemrawo. Ostrożnie uchylali małe drzwi. Błada szarzyzna przecierała się w górze, na ziemi. Tu, u nich było jeszcze ciemno.

Karczewski wyjrzał także. Dziwne uczucie

otuchy napełniło go, gdy gdzieś, z tyłu jęczała ziemia, i wyjąc leciały nad głową pociski.

— Nasza artylerja! — mówił także.

Jęknęło też głucho i z przeciwnej strony. Widać było nawet blady błysk wystrzału. Wielkie masy żelaza przeleciały nad nimi, wtył.

— Niemcy! — zaszeptali.

Niemcy... Jacy też oni są? Czy tacy, jak ci tam... na Syberji?... Prawda, nie byli tam sami... Byli tam przecież i...

I jak obuchem uderzyła myśl, że tu, na przeciwko mogą być też oni... legjoniści... Że zobaczy naprzeciwko siebie szare orzełki... A on będzie krzyczeć w obcym języku: „Wpieriod, rebiata!” Skąd on tu się wziął? Przecież nie chce... Przecież...

— Wsie na lin’ju! — wołał półgłosem Dulski, który skądeś się wziął.

— Praporszczyk Karczewskij! Weźmie pan pierwszy pluton... Czekać tymczasem.

Grzmiało już na całej linii. Widać było pióropusze wybuchów wzdłuż pozycji niemieckiej. Nie słysząc było pojedynczych wybuchów, i zdało się, że owe kity wykwitają wprost stamtąd. Niemcy odpowiadali zrzadka i bili głównie w las gdzie stała artylerja.

I tu jednak, nad okopami pękały z trzaskiem szrapnele, i odłamki wyły niezdarnie, a między

druty wpadały ciężkie granaty i, zarywając się głęboko w wilgotną ziemię, wyrzucały słupy czarnego błota.

Ciało Karczewskiego drżało szybkim, drobnym dreszczem, a oczy utkwili nieruchomo przed siebie. Podszedł do niego Gorochowski i krzyczał coś. Karczewski kiwał głową, choć nic nie rozumiał. Przyjął papierosa i zapalił. Prawda! są papierosy... jak to dobrze! Naraz grzmot jakby nieco przycichł, pióropusze przestały wykwitac na linii niemieckiej.

Wzdłuż okopu biegł Dulski, spocony i śmieszny, z rewolwerem w ręku. Krzyczał:

— Wpieriod! Wpieriod!

— Aha — myślał Karczewski — to on będzie krzyczeć, nie ja. To dobrze.

Żołnierze wygrzebywali się niezdarnie na nasyp, odrzucali roгатki. Wyskoczył i Karczewski. Biegł teraz po łące, która tak długo była niebezpieczną, niedostępną krainą, na którą wychodziło się tylko chyłkiem, w nocy.

Obejrzał się. Cała łąka pokryta była biegnącym, szarym tłumem. Skądeś z prawej strony toczył się zwolna ochryply krzyk:

— Ura-a-a!

Zaterkotały niezdarnie kulomioty. Trzeszczały spokojnie, miarowo, pewne siebie. Zjadliwe osy bzykały ostrzegawczo koło uszu. Ja-

kiś żołnierz upadł tuż przed Karczewskim i leżał nieruchomo. Karczewski przebiegł, i raz jeszcze obejrzał się: szara grudka leżała na zielonej łące, jak kretowisko.

Czemu tylko te niezdolne kulomioty tak trzeszczą. Z okopów niemieckich wystrzeliły czerwone rakiety. Prawie natychmiast jęknęło coś za biegnącymi. Artylerja! Ale za daleko wzięli.

— Wpieriod!

Aha, to Dulski krzyczy. A gdzie Gorochow-ski?... Miał być przecież... Wszystko jedno zresztą! Chwała Bogu, że za daleko biorą. Przenosi ciągle. Tylko te kulomioty...

Kiedy jednak dobiegli do stóp wzniesienia, kulomioty przestały im szkodzić: terkotały niezmienne, ale wachlarz swój roztaczały o kilka metrów nad ich głowami.

Dysząc ciężko biegł Karczewski chyłkiem pod górę, instynktownie ściskając rewolwer. W tej chwili ujrzał Gorochowskiego: stał on wyprostowany tuż nad okopem i z rozmachem ciskał weń granaty.

Karczewski stanął przy nim. Wewnątrz okopu siedział stary Niemiec z wnętrzościami na kolanach i głupkowato kiwał głową. Blisko niego leżała ręka w zielonkawym rękawie. Mdły do nudności zapach krwi uderzył w twarz.

Karczewski odsadził się i jak oszalały jelen przesadził okop. Potem biegł całym pędem wzdłuż jakiegoś rowu. Nie widział nawet, że jest sam.

Naraz za węglem okopu mignęła mu sylwetka ludzka i natychmiast się skryła. Karczewski przyczał się, opadł miękko na ziemię i zaczął pełzać. Palce trzymał na cynglu.

Ciągnął swój kadłub po żółtej ziemi i przerażliwie jasno wpatrywał się w bryły nasypu. Żadna głowa nie ukazała się ponad nim. Dopełznął pierwszy. Oparł się rękami i zajrzał. Ów ktoś tkwił przykucnięty tuż przy nasypie. Był bez broni, tylko w ręku trzymał małą łopatkę i szerokim jej ostrzem zasłaniał sobie głowę.

Karczewski cichym, powolnym ruchem wysunął naprzód rękę z rewolwerem. W tej chwili ujrzał naraz mętne, blade oczy, przeraźliwie wysadzone z orbit. Nieruchome i niewidzące zatrzymały się na nim. Skurczył się w nim mały, kudłaty strach zabobonu. Próbował wycofać się stąd i nie mógł wykonać żadnego ruchu.

I naraz te wielkie oczy zmrużyły się w wąskie szpaczki i zaśmiały porozumiewawczo. Karczewski zawrócił i zerwał się z miejsca. Ale natychmiast uczuł na swych plecach ciężar, i ostre uderzenie szerokiej blachy spadło mu na głowę. Strzelił poza siebie i czuł jeszcze

szarpnięcie rewolweru, gdy już tańczyć mu zaczęły przed oczami niezliczone kolorowe tapety. Słyszał tylko głuchy stukot tuż obok siebie tak, jak gdyby ktoś łopatką uklepywał ziemię.

Wreszcie przemógł się i otworzył oczy. Zobaczył olbrzymie drzewo z zielonemi konarami i białym baldachem kwiatu. Długo mamlął i mełł coś skołowaciałym mózgiem, zanim zrozumiał wielkość owego drzewa. Był to pietrasznik, a wyrastał niewiele wyżej ponad jego twarz. Uniósł ciężką głowę i patrzył dokoła. Lewe oko miał zalepione kruchą, chropawą skorupą. Ścierał ją i łamał wierzchem dłoni. Przejrzał na koniec. O kilka kroków leżał nawznak, żółty jak lalka woskowa, człowiek. Zęby miał obnażone jak zdechły chomik, wąsy nastroszone i jakby przylepione niezręcznie. Zwinięty płaszcz przekreślał naukos jego pierś.

Teraz Karczewski spojrzawszy po sobie dojrzał, że jest bez butów, kurtki i czapki. Obejrzał się ostrożnie wkoło. Nie było widać nikogo. Tylko nieco dalej burczały armaty.

Karczewski posuwał się powoli na rękach, nie zmieniając pozycji siedzącej. Nie patrząc na żółtą twarz ściągnął zwinięty w twardą rurę płaszcz, rozwinął go i włożył. Potem buty. Tylko czapki nie dotknął. Wstał teraz i namyślał się. Po chwili dojrzał swoje okopy. (Jak dziwnie

było je widzieć od tej strony!) Z trudem usiadł na brzegu okopu i spuścił nogi, potem zeskończył.

Szedł, zataczając się, ku pierwszej linji niemieckiej. Mimochodem zauważył drewniane chodniki, wyłożone deskami ściany, deszczułki na każdym zakręcie i niewidzianą w tamtych, własnych okopach czystość.

Szedł teraz coraz prędzej, śmieiej. Wzrastał w nim coraz pełniej rozgałęziony krzak świadomości. W pewnej chwili schwycił się za kieszeń. Odetchnął: pieniądze były. Ale portfel z dokumentami, rewolwer, zegarek?...

— Trzeba jaki karabin po drodze... — kombinował.

Naraz, na zakręcie okopu stanął oko w oko z obdartą, bezbronną trzodą, pędzoną ztyłu przez dwóch żołnierzy niemieckich.

— Ha! Russek — machali doń przez głowy pędzonego stada — paszol, paszol!

Wskazywali mu kierunek i znakami nakazywali przyłączyć się do gromady. Karczewski stał niepewnie.

— A no, cóż, bracie — mruknął brodaczy idący na przedzie stada, ni to kozioł — widać przyjdzie się tobie z nami. Naprzeciwko sile — nie uradzisz.

Karczewski bez słowa wsiąkł w gromadę.

Chorągiew na dachu.

Szli w milczeniu. Za sobą słyszeli szwarga Niemców. Jeden z nich śmiał się szeroko i potwarzał co chwila: „A Dajwel, nach-a-mal!”

Przeszli koło drewnianej kantyny, potem zatrzymali się przy długim baraku z okragłaków. Przy drzwiach stał sztywny podoficer i liczył jeńców, tykając każdego palcem.

Karczewski zawahał się na progu: z wnętrza szedł zatechły smród, i ciasnota poczyniała się tuż koło drzwi.

— Na, Kerl! — popchnął go podoficer.

— Ich bin... ich bin... nicht soldat... — bąkał z trudem Karczewski.

Wepchnięty w tłum starał się uzyskać nieco wolnego miejsca.

— Nie napierać tam! — podniósł się pomruk z końca ciemnego baraku.

— Nie poradzisz: pędzą! — odpowiedzieli z pod drzwi.

Wreszcie podatna masa ludzka przybrała kształty budynku i ustała się. Gdzie niegdzie zakwitły czerwone ogniki papierosów i żarzyły się w mroku, prześwietlając palce. Tu i tam ktoś chrapał głośno.

Długa a tępa lizska szarego żołnierstwa pełzła setką nóg po zakurzonej drodze. Po bokach jej migotały żądła karabinów i ruchliwe, nie związane z gromadą, sylwetki straży.

Jeńcy szli już drugi dzień, powłócząc osłabłymi z głodu nogami i wzbijając słupy kurzu, w które wchodzili dalsi i dalsi. Odcięci byli od świata tym tumanem. Kiedyś dopiero pod wieczór zatrzymali ich. Rozleźli się zaraz i porzucali niechlujnie nad rowami swoje zużyte ciała. Karczewski był tylko jednym z setki: zagubił się szarzyzną swego odzienia i twarzy, urównał się i upodobnił, że sam nie umiał się z tej lepkiej masy wyskrobać i własnej osobności odnaleźć.

Wszyscy leżeli, dysząc bezmyślnie. Czyż woli swej nie oddali błyszczącym żądłom bagnatów straży?

Odpoczywali dłużej, niż zazwyczaj. Ten i ów, odsapnąwszy, szedł przetrzeć się nieco wśród towarzyszy i połapać lotne plotki: dokąd to ich gonia i kiedy... i jak... Rozpoczął się też drobny handel wymienny i pieniężny.

— Żeby tak do wsi puścili! — wzdychał jakiś bezwąsy albinos niedaleko Karczewskiego.

— Nie puszczą! — ziewnął brodac, wstając.

Karczewski podniósł się także. Wieś widać było jak na dłoni: kupa zbitych chat, niby gromada owiec, bieliła się z za rzadkich drzewek.

U skrzyżowania gościńca i wiejskiej drogi stał podoficer i dwóch chłopów w łapciach, białych, parcianych portkach i brązowych świtkach. Chłopi oglądali się na siebie nieporadnie i co chwila podejmowali na nowo próby rozmowy.

— Mała wieś, bardzo mała — mówił powoli i dobitnie starszy z nich — chłopów mało, koni mało...

Podoficer wysłuchiwał oracji i powtarzał:

— Wse czelowiek, wse loszadiej. Doroga nużna. Szosse.

— Mało czelowiek, mało łoszadiej — tłumaczyli chłopci. — Nie możeć mnogo. U was swój czelowiek. Mnogo czelowiek. Plennych.

Karczewski podszedł bliżej i zwrócił się do podoficera:

— Ihr sagen — krztusił się — Dorf hat sehr wenig Pferde, sehr wenig Leuten.

— Ach, pan mówi po niemiecku? — ożywił się podoficer.

— Tak... bardzo mało...

— Pan jest podoficer?

— Ja jestem oficer! — prędko mówił Karczewski.

— Jakto?

— Mundur... obdarli... jak leżałem. Można spytać... jeżeli jest jakiś oficer z 698-go pułku.

— Dobrze, ja sprawdzę — oświadczył podoficer — a tymczasem będzie pan tłumaczem.

— Słucham.

— Niech pan powie tym chamom, że pójdziemy teraz do wsi obliczyć konie i ludzi. A jutro od rana mają stanąć do roboty szosy.

Karczewski tłumaczył drapiącym się w głowy chłopom.

— A to proszu pana — przeciągnął jeden — czy to za karę, za tego buntownika?

— Jakiego znów?...

— Bo to my nie winowate — gorąco tłumaczyli jeden przez drugiego — on ta z miasta... Ale, przyszedł i buntuje, a my nic nie winowate... My go sami zamknęli — siedzi...

Podoficer machnął ręką:

— Idziemy! — powiedział do dwóch żołnierzy. — A pan niech tu będzie. Będzie pan mieszkał w naszym baraku...

— Rozumiem.

Obejrzawszy się, Karczewski, ujrzał półkole zadziwionych twarzy. Żołnierze usuwali się

przed nim z szacunkiem. Uśmiechnął się nieco i miał już przejść, gdy naraz nowa myśl mu błysnęła: oświadczył, że kupi natychmiast kurtkę ze szlifami, czapkę, chemiczny ołówek i papierosy.

W niedługim czasie uzyskał żądane przedmioty. Usiadł nauboczu i z rozkoszą zaciągawszy się podłym tytoniem, malował starannie na szlifach gwiazdkę i linijkę.

Późnym już wieczorem przyszedł podoficer z żołnierzami. Prowadzili jeszcze kogoś między sobą, ale w mroku widać było tylko sylwetkę.

Teraz żołnierze straży spędzali na drodze rozlazłą bandę jeńców i uklepywali ją w długą, czarną glistę. Odeszli jeszcze dalej, może z wiorstę i zajęli zniszczone baraki. Podoficer z kilkoma żołnierzami zajęli mniejszy barak, z szymbami i piecykiem żelaznym. Zabrali też Karczewskiego i człowieka sprowadzonego ze wsi. Podoficer zwracał się teraz do Karczewskiego per „Her Fähnrich“.

W pobrzasku, idącym od piecyka widać teraz nieco postać obcego. Ubranie ma zniszczone, ale gołą głowę wznosi pogardliwie ponad szmaty odzieży. Twarz ma śmigłą, bez zarostu.

— Ach, tak — myśli leniwie Karczewski — to ten, o którym chłopi...

Ciepło idzie od kominka i zapach kawy.

Żołnierze poglądają ciekawie na cywilnego, ale on ich nie widzi.

— To nie moja rzecz! — mruczy ze złością podoficer. — Odeślę go do etapu. Niech go tam badają. Zmiana będzie za tydzień. Odprowadzimy go do etapu i koniec.

— Czy wartę przy nim?... — bąknął któryś z żołnierzy.

Och, podoficer ma tego dosyć. Żadnej warty! Poprostu... tak, tak! poprostu będzie pracował przy szosie. Przecież nie będzie darmo żarł.

— Może pan chorąży zapyta go o nazwisko. Trzeba przecież wciągnąć go na listę prowiantową.

Karczewski z kubkiem kawy w ręce obserwuje dziwnego człowieka: siedzi nieruchomo i patrzy w ogień. Niewiadomo czy bezmyślnie, czy jedną myślą pochłonięty. Wygląda jakgdyby rodził w cichych skurczach bólu nowy świat. A może tylko stępnął ze zmęczenia.

— Czy rozumiecie po rosyjsku? — pyta go Karczewski.

Ocknął się i utkwiał wzrok w Karczewskim. Rudawy promień włosów jarzy mu się nad czołem. Wstrząsnął głową: nie rozumie, albo nie chce mówić.

— A po polsku rozumiecie? — pyta Karczewski dalej.

Szarpnął się teraz i zwrócił w stronę Karczewskiego. Patrzy jakby ponad nim czy poza nim.

— A wy co tutaj? — drapieźnie wychylił się.

— Ja? — Karczewski odstawia kubek — ja... do niewoli... a teraz kazali mi... tłumaczem...

— Jak się nazywa? Nazwisko jego? — niecierpliwi się podoficer.

Obcy człowiek nie zwraca się w stronę podoficera, mówi do Karczewskiego obojętnie:

— Niech mu pan powie... no, powiedzmy, Jan Jankowski...

A więc rozumie po niemiecku? Ale dlaczego „powiedzmy“? No, niech tam. Może kawy?

Nie, kawy pić nie chce. Znowu utkwil oczy w ogień i przestał być, jakgdyby. Mówią o nim i mówią do niego, a on zupełnie nie odpowiada. Nawet Karczewskiemu.

Podoficer mówi z pewnym szacunkiem:

— Polityczny przestępca.

Żołnierze przestali żartować z niego i w milczeniu popijają kawę. Swoją drogą — ta kawa! Dziwnie nie smakuje Karczewskiemu: odstawil kubek niedopity.

Obudziwszy się rano, Karczewski zobaczył rzekomego Jankowskiego w tej samej pozycji. Czyżby nie spał zupełnie? Potem zabrano go do roboty.

Karczewski wyszedł z podoficerem dopiero koło dziesiątej godziny. Podoficer był człowiekiem do rzeczy, z zawodu majstrem drogowym, obecnie służył w bataljonie saperów. Sprawa raportu o Karczewskim była już postanowiona. Tymczasem miał pewną swobodę ruchów i nie musiał pracować. Wlókł się więc beczynn timer rozmawiając z żołnierzami, przypominał sobie język niemiecki. To mogło mu się przydać bardzo w obecnej sytuacji.

Żołnierze opowiadali mu o życiu oficerów-jeńców. Ostatecznie nie było to wcale straszne. Żeby tylko sprawa tej szarży!... Tymczasem dobrze, że może pójść do wsi i kupić mleka albo zielonego tytoniu. Chciał nawet odszukać owego Jankowskiego, żeby mu jakoś dopomóc, ale nie mógł go dojrzeć w wielkim mrowiu, rojącym się wzdłuż drogi, a żołnierzy pytać nie chciał.

Jankowski jednak zjawił się sam piątego, czy szóstego dnia. Głowę miał ciągle niepokrytą, i czerwona czupryna pełgała mu na wietrze chwiejnym płomieniem.

Podszedł obcesowo do Karczewskiego:

— Jesteście Polakiem, obywatelu, tak?

Obywatelu?... Tak, jest Polakiem, ale... Do prawdy dziwny sposób przystępowania do rze-

czy. Może być blisko któryś ze straży, albo nawet jeniec...

Tamten zdawał się nie widzieć niechętnego skrzywienia ust. Może dlatego, że oczy miał rozświetlone od wnętrza i że patrzył nad głowę Karczewskiego, chociaż... Chociaż doprawdy był niższy.

Więc co on mówi tak śmiało? Co, ucieczka? Ależ...

Nie, to nie ma za grosz sensu! Podoficer zaraz się spostrzeże, że nie ma swego tłumacza. Zresztą... narazić go po tem wszystkiem, co zrobił! Przecież raport jest napisany i jutro idzie... A wkońcu — złapią i będzie jeszcze gorzej.

— Tak, tak! — podśmiewuje się tamten — Tak, tak!

Co on widzi, że tak się uśmiecha? Co większego widzą jego oczy, że nie raczy spojrzeć na mur, zbudowany z tak ważkich głazów.

— Więc — podejmuje spokojnie — niech we wsi kupi pan sobie świtkę i inne rzeczy z ubrania. Także nieco jedzenia... Przyda się. A wieczorem niech pan wyjdzie za barak, w pogotowiu. I trzeba zagwizdać jaką polską melodję

Tu oczy jego stały się naraz przenikliwie chłodne:

— Być w pogotowiu! — rzucił.

Skąd to Karczewski zna te słowa? Bodaj, że gdzieś w teatrze... Aha, „Wesele“! Jak to jest?

„Bądź gotów, nim wstanie słońce.
Skoro porzysyłasz gońce...”

Nie, to nie to. A zresztą co za głupie myśli się płaczą. Trzeba rozważyć propozycję tego... Propozycję? No, mniejsza o to, więc — powiedzmy — polecenie, rozkaz.

Czy to warto? Żeby nie ta kwestja szarży! (Co to za bydlę obdarło go wtedy, na polu?) Ale rzeczywiście: to sprawa niepewna, a jeśli to się nie uda... W tej bandzie babrać się w błocie przy kopaniu drogi?

Rozważając i spierając się ze sobą szedł Karczewski do wsi.

Pod wieczór wrócił.

Tobołek ukrył pod kamieniem, i czekał aż podoficer i żołnierze zasną. Wtedy wysunął się zwolna, dopadł swego kamienia i zagwizdał cicho: „nie wyganiaj owczareczku“...

Tuż przy nim zamajaczyła sylwetka ludzka.

— Kto? — zachrypiał Karczewski.

— W drogę! — odpowiedziano mu.

Szli cicho i sprawnie jakąś drożyną, znającą śnać towarzyszowi Karczewskiego. Oczy ich rozdierały zbitą gęstwę nocy zaledwie na kilka kroków przed sobą.

Po jakimś czasie zamajaczyła przed nimi ciemniejsza masa, i poszedł gwar cichy, dostojny.

— Bór — powiedział Jankowski.

— A dokąd my?...

Jankowski stał chwilę z zadartą głową, zważając pilnie na słowa lasu. Poczem znów ruszył tanecznym chodem. Karczewski rzucał okiem za siebie, ale nie słysząc było żadnych kroków, ani nawoływań.

Szli teraz borem, który szumiał chóralnym refrenem starej pieśni.

Przystanęli, aby odsapnąć nieco. Karczewski ściągnął swoje ubranie wojskowe i przymierzał świtkę.

Dziwnie pusto czuły się ramiona nieuhonorowane szlifami. Przygarbiły się też i włożyły w pochyły krok zapłuczny. Buty klapały niezdarnie i zaczępiały się o korzenie.

Ruszyli dalej. Karczewski włókł się ociężale, nie podnosząc oczu. Tak, że w pewnej chwili wpadł na swego przewodnika, który stał przed ciemną masą chaty.

Po długim stukaniu dopiero ozwał się we wnętrzu ruch, i sęczi w drzwiach zaczerwieniły się, jak dukaty.

— Kto? — zamruczał niewyraźny bas.

— Tomasz — odpowiedział Jankowski.

We drzwiach stał rosły, acz przygarbiony chłop z wystrzępioną, żółtawą brodą.

— Chodźta!

Od słów jego powiało zatulnem ciepłem chaty i zapachem ziół. Zarygłował starannie drzwi i poszedł przodem.

— Bukieta mi szwaby zabiły — ozwał się.

Podkreślił lampkę i przysunął im glon razowca. Potem kucnął przy kuchni i dmuchał w węgielki.

— Ten, z wami? — wskazał brodą na Karczewskiego.

Jankowski kiwnął głową.

Prawie przez sen chleptał Karczewski ciepłą polewkę. Rzuciwszy się na siano rozesłane przez dziada, natychmiast zasnął.

Nazajutrz dziad wyprowadził ich do krętej, ledwie przedeptanej drożyny i machnął ręką przed siebie:

— Doprowadzi — rzekł.

Potem uściśnął dłoń Tomasza i sumował coś długo, nim bąknął:

— Może ta jeszcze... wkiej?...

Potem zawrócił ostro. Karczewski siedł ochotczo na spotkanie tego dnia. Wstające słońce prześwietlało go setką radosnych obietnic, a zapach lasu przypominał mu żywo Poddębce.

Wyprostował zhardziały kark i nowym okiem spojrzał na owego Jankowskiego.

Zdziwił się mocno: jakim sposobem ten człowiek zdecydował kierunek jego drogi? Chrząknął buntowniczo. Jankowski szedł sprężysto i, zda się, coś nucił przez zęby.

— Właściwie... nie znamy się jeszcze — zaśmiał się Karczewski — pozwoli pan... Karczewski jestem...

— Karczewski — mruczał tamten — aha, dobrze...

Karczewski nasrożył się nieco, ale musiał się dziś wygadać:

— Jestem... to jest mam majątek na Wołyniu... Ale spory kawałek czasu mieszkałem w stolicy... Byłem w redakcji „Źródła“, a potem... potem tak... mieszkałem... z jednym malarzem...

— Tak, tak! To właściwie nie ma znaczenia — rzucił tamten. — A co pan robił?

— No, właśnie...

Karczewski zmarszczył się nieco: jakto „nie ma znaczenia?“ I co za pytanie. Opowiada przecież. Po chwili jednak uśmiechnął się: zaczął opowiadać o swojej gospodarce. Przedewszystkiem — konie. Jego towarzysz prawdopodobnie nie ujeżdżał nigdy koni? Otóż Karczewski miał wspaniałego ogiera, imieniem

„Ciuch“... Właściwie został on tak nazwany na pamiątkę starego „Ciucha“, który...

— Tak, tak! — uśmiecha się ów. — To właściwie nieważne. Czy tam w Rosji robi się co?

Karczewski rozciągał w zamyśleniu te słowa: co ma się wreszcie robić? Polityka? On się tem nie zajmuje. Owszem znał jednego polityka. O! strasznie zawziętego polityka. Ale cóż, w ciągu dwóch miesięcy zmienił się gruntownie. Mianowicie w szkole wojskowej. A pozatem... hm. Jest pismo polskie w Kijowie, drugie w Moskwie czy Petersburgu. Towarzystwa różne, a jakże, kółeczka, kółka, kwadraciki i trójkąty... Wielcy działacze czy gadacze... No, i tak dalej.

— Nie mogę zrozumieć — odezwał się naraz towarzysz Karczewskiego i spojrzał mu w twarz — nie mogę zrozumieć doprawdy, jaki szkic pan nosi...

— Szkic?

— Hm, tak. Cóż dziwnego? Człowiek jest artystą...

— Chyba nie każdy? — pobłażliwie zaprzeczył Karczewski. — Talent, uprawianie sztuki, tworzenie — to przywilej. Może wypadek nawet.

— Każdy człowiek przecież żyje — mówił jakby do siebie tamten. — Żyje „siebie“ — możnaby powiedzieć. I dlatego właśnie... To się dzieje na wzór wizji. Pamięta pan: „Czemu nie

ukochasz swego upiora? Jest piękniejszy od ciebie. Czemu nie oddasz mu swej krwi i ciała“.

Karczewski zaczął gwizdać jakąś melodję, której słów zresztą nie pamiętał. Towarzysz jego siedł w milczeniu i uśmiechał się. Potem naraz zapytał, jakim sposobem Karczewski stał się tłumaczem niemieckiego podoficera.

Karczewski zaśmiał się z zadowoleniem. Już to musi oddać sobie sprawiedliwość, że niedługo pozwala zalewać się fali wypadków. Tak, to dobrze powiedziane: fali wypadków. Zawsze znajdzie drogę. Zawsze poznaje „plan miasta“ albo raczej „plan świata“. Może to właśnie jest ów „szkic?“ W takim razie zapoznaje się z tym szkicem bardzo prędko.

— A nie kusi pana, panie obywatelu wiejski — zaśmiał się tamten — czy nie kusi pana zbudować nowe miasto, według swego „widzimisię“.

— Nie miałem nigdy za swego boga — „widzimisię“, panie działaczu — odmrunknął Karczewski.

— A to szkoda, a to szkoda. „Widzimisię“ jest bardzo radosnym bogiem. A pańskiego boga już znam, lecz krok jego nie podoba mi się: powłóczy nogami.

Karczewski odsunął swego towarzysza ze ścieżki i rozchylił gałęzie. Byli już na polu.

Karczewski ruszył tedy naprzelaj, przez rolę ku zabudowaniom dworskim, widnym w kępie drzew. Towarzysz jego siedł za nim, śmiejąc się.

Karczewski biegł prawie, skakał po bryłach, tłustej ziemi, zapatrzonej cały w ten zasobny dwór szlachecki. Hej, hej, Poddębce!

Tak się wpił weń oczami, że omal nie wpadł pod koła bryczki.

— Z drogi, psia!... — warknął stangret.

Karczewski odrzucił hardo głowę i naraz:

— Redaktorze! Szarek!... — wyjąkał.

Chacewicz wystawił ku niemu nieufnie swą assyryjską brodę, ale Szarek poznał go natychmiast:

— Ba! nasz „manifestacyjny pijak“. Nie poznajesz, redaktorze? Karczewski.

Chacewicz odezwał się naraz całkiem ludzkim głosem:

— Cóż tu kolega robi?

— Z niewoli... uciekłem... idę... — bąkał niedowierzająco Zbigniew. — Ale skąd wy... skąd wy tu?

Chacewicz się zaśmiał. Przecież to jego majątek, Gościniec. Zajmuje się teraz nieco więcej gospodarstwem. Zresztą „Źródło“ dawno już zrobiło kłapę. A Szarek jest — na wakacjach.

Chorągiew na dachu.

Nigdy jeszcze Zbigniew nie słyszał redaktora, mówiącego tak naturalnie.

— Siadajcie z nami — zdecydował naraz Chacewicz — coś trzeba obmyśleć.

Karczewski obejrzał się naraz na swego towarzysza. Stał za rowem, na roli. I Karczewski uczuł, że rów ten jest bardzo szeroki. Być może, że to samo myślał i tamten, gdyż nie próbował go przebyć.

— Ten... z wami? — wskazał nieznacznie brodą Chacewicz.

— Tak... niby...

— Panie, może pan... z nami?...

Ale tamten przesadził naukos rów i swobodnym krokiem począł się oddalać. Za chwilę zdjął czapkę i rozpałił w słońcu wicherę włosów.

Karczewski wzruszył ramionami. — „Jedźmy“ — powiedział Chacewicz. Konie poderwały bryczkę i za chwilę zatoczyły z fantazją dokoła gazonu.

Stolica wydawała się Karczewskiemu tem piękniejsza, im dokładniej uprzytamniał sobie sumę wypisaną na książce czekowej, którą czuł na piersiach. Wybacał nawet pozamazywane połowy szyldów i obdarty wygląd przechodzących oddziałów.

Zaszedł do restauracji, gdzie już czekał na niego Szarek.

— Więc? — zagadnął go z tłustym uśmiechem.

Ale Karczewski nie chciał odrazu mówić o interesach: tak dobrze czuł się w szarym garniturze, tak czysto był ogolony, i tak przyjemnie było popijać wino i siedzieć przy białym obrusie.

— Nie możesz trzymać w banku — perswadował mu Szarek — marka spada... Nie jesteś wcale zabezpieczony.

Tłumaczył mu, że skoro już sprzedał ziemię, to albo musi kupić zaraz coś innego (co zresztą nie da dochodu, tylko zabezpieczenie), albo — i to byłoby najlepsze — trzeba puścić w obrót...

— A pamiętaj — kończył, mrużąc oko —
że Mellita kosztuje...

— No, dobrze, ale jak...

Szarek miał na wszystko radę. On Karczewskiemu da wskazówki, mogą się nawet razem zabrać do interesów. Oto na przykład możnaby dwadzieścia wagonów...

Tu Szarek zniżył całkiem głos i przechylił się przez stół.

Po chwili wydobył się z tego szelestu słaby protest Zbigniewa:

— No, dobrze... ale przecież to nie wolno?...

— Ach, mój kochany. Czy to kto będzie na te tam zakazy... Wszyscy tak robią. Tak już jest.

— Ha, skoro tak już jest...



286389

BIBLIOTEKA
A. G. SYRKINA
== w Wilnie ==